CHAOS W SPRAWIE POLOWAŃ

„Rzeź dzików?"
– Warzecha w obronie myśliwych

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 4/307 21–27 STYCZNIA 2019

Agent „Roman",
czyli tajemnice szefa
Pracodawców RP

ANDRZEJ NOWAK
ZE STAŁYM
FELIETONEM
W „DO RZECZY"

Łysiak o czarnej karcie
Powstania Styczniowego

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład: 79 tys. egzemplarzy

KTO SIEJE NIENAWIŚĆ

Jaka będzie polityka po zabójstwie Pawła Adamowicza?

TRE MONTI
SKI & BIKE RESORT

NAJLEPSZA INWESTYCJA W CENTRUM KARPACZA!

Stały dochód wypłacany **co miesiąc**
i brak kosztów eksploatacyjnych!

130 przestronnych apartamentów

30 dni pobytu właścicielskiego

Bogata infrastruktura i atrakcje regionu

Lokalizacja w centrum Karpacza – idealna do inwestowania

wprost NIERUCHOMOŚCI

numer telefonu
22 299 00 22

sprzedaz@tremonti.pl

www.tremonti.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Prawnego.

eprasa.pl e3336b6748

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Tragedia i strategia

Zabójstwo Pawła Adamowicza to kolejny przykład przepaści między tolerancyjnym liberalizmem a konserwatywnym nacjonalizmem w Europie; powinno być ono ostrzeżeniem dla całego kontynentu" – napisał kilka dni temu w swoim komentarzu redakcyjnym „Financial Times". Dziennik zaapelował też, aby śmierć prezydenta Adamowicza skłoniła „wszystkie strony, ale przede wszystkim PiS i kontrolowane przez tę partię media publiczne, do potępienia ekstremizmu i wszelkich przejawów przemocy na tle politycznym".

RYSUNEK TYGODNIA

Doprawdy, wstydzę się, że kiedyś uważałem to pismo za rzetelne, miarodajne, wyważone. Pomysł, żeby działania psychopatycznego zabójcy przypisać „konserwatywnemu nacjonalizmowi", a ten powiązać z Prawem i Sprawiedliwością oraz ekstremizmem – trudno o coś głupszego. A przecież, czy mi się to podoba, czy nie, właśnie „FT" uchodzi za głos rozsądku i spokoju. Niebywałe, na jakie dno spadła gazeta, właśnie próbując za wszelką cenę zachować swoje przywileje i pozycję, część tradycyjnej europejskiej prasy.

Komentarz brytyjskiego dziennika, tak poważanego w sferach rządowych, biznesowych i intelektualnych w całej Europie, Stanach Zjednoczonych i wszędzie, gdzie ma wpływ język angielski, nie jest jedynym przykładem podszczuwania i podżegania do jeszcze bardziej zaciekłej wojny w Polsce. To samo niemal zaraz po tragicznej śmierci prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza zaczęły robić, na wyścigi, gazety niemieckie. I to te najbardziej renomowane. W „Süddeutsche Zeitung" przeczytałem, że główną przyczyną zamachu na prezydenta Gdańska była „silna polaryzacja polskiej sceny politycznej i klimat agresji, za który odpowiedzialność ponosi przede wszystkim prawica". Podobny ton, niemal słowo w słowo, można było znaleźć we „Frankfurter Allgemeine Zeitung", gdzie śp. Pawła Adamowicza przedstawiono jako nieskazitelnego bohatera walki o demokrację, prześladowanego przez prawicowy, narodowo-radykalny reżim.

Cytuję te pisma, bo spodziewam się, że przekazują one, na razie jeszcze nie wprost, w końcu pogrzeb tragicznie zmarłego prezydenta Gdańska odbył się raptem w sobotę, ton i opowieść, jaką będzie posługiwać się opozycja. Zresztą i tu widać pierwsze oznaki nadchodzącej przyszłości: słowa prezydenta Poznania o tym, że winny jest Jarosław Kaczyński, czy – w sposób nieco bardziej zawoalowany – pomysły organizowania w kolejnych miastach lekcji o mowie nienawiści. Oczywiście nienawiści takiej, jak ją widzą ideologowie lewicy. Jakoś dziwnie jestem pewien, że wśród pokazywanych przykładów tej „mowy nienawiści" nie znajdą się ani „Klątwa", ani „Kler", ani wypowiedzi agresywnych działaczy KOD lub obywateli RP. Nic z tych rzeczy.

Nie ma zatem chyba wątpliwości, jak opozycja, a przynajmniej jej najbardziej radykalna część, będzie chciała wygrać tę tragedię: walka z nienawiścią i ekstremizmem ma być taranem, za pomocą którego będą chcieli zdobyć władzę. W sumie nic zaskakującego. I, biorąc pod uwagę przewagę medialną, być może operacja będzie udana. Wystarczy tylko odpowiednio często i konsekwentnie wbijać ludziom do głów, że prezydenta Gdańska zabił „klimat agresji", i reszta ułoży się sama.

Skuteczność polityczna takiej kampanii będzie zależeć w dużej mierze od tego, jak zachowa się PiS. Do tej pory, w pierwszych dniach po tragedii, z małymi wyjątkami, do których zaliczam nieszczęsny pomysł prezydenta, żeby urządzać wspólny marsz przeciw przemocy, politycy prawicy zachowują się roztropnie. Przykładem tego była rezygnacja z wystawienia swojego kandydata w Gdańsku lub ograniczenie i stonowanie wypowiedzi. Jednak samo wycofanie się nie wystarczy. Tym bardziej że można się spodziewać, iż tragiczna śmierć prezydenta Gdańska będzie osią, wokół której opozycja zbuduje swoją opowieść w czasie nadchodzących kampanii. My – ofiary, oni – sprawcy. My – liberałowie, oni – zamordyści. Tak to ma wyglądać i tak to może wyglądać, obawiam się. Tak to będzie wyglądać, bo w polskiej tradycji politycznej nic nie mobilizuje bardziej niż krew ofiary, nawet jeśli jest to ofiara szaleńca i bandyty, a nie ciasnego ideologa lub przesiąkniętego partyjnymi miazmatami frustrata. Odpowiednio wielu profesorów będzie twierdzić w różnych mediach co innego i to może wystarczyć, by taka opowieść o „zabójstwie politycznym" przekonała opinię publiczną.

Jedyne, co pozostaje w takiej sytuacji, to zachować zimną krew i nie ulegać emocjonalnemu szantażowi. Czas pokaże, czy politycy prawicy będą to potrafili. ©℗

eprasa.pl e3336b6748

TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR SEMKA
SZOK I POLITYKA
Jaka polityka po zabójstwie Pawła Adamowicza?

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WZORZEC NARUTOWICZA

22 WOJCIECH WYBRANOWSKI
ZABÓJCA Z OLIWY

KRAJ

26 ROZMOWA Z BŁAŻEJEM SPYCHALSKIM
TRZEBA MIEĆ NADZIEJĘ
Rzecznik Andrzeja Dudy: W sporach o politykę potrzebny jest krok w tył

28 ROZMOWA Z WŁADYSŁAWEM KOSINIAKIEM-KAMYSZEM
SZACUNEK DLA POLITYCZNYCH OPONENTÓW

30 ŁUKASZ WARZECHA
DZIKOŚĆ RZĄDZENIA

32 ROZMOWA Z PROF. TADEUSZEM WOLSZĄ
JESTEŚMY NARODEM BOHATERSKIM

34 RADOSŁAW WOJTAS
SKŁADKA NA CUD

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
FERIE U MAŁYSZA

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
PRZYJEMNOŚCI PO KAWAŁKU
Najlepsze seriale roku 2019

42 WIESŁAW CHEŁMINIAK
WSZYSTKO JEST ŻYJĄCĄ ŚMIERCIĄ

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 JAN PARYS
KOSZTOWNA LEKKOMYŚLNOŚĆ
Rok 2019 w polityce zagranicznej

54 PIOTR ZYCHOWICZ
ROLA KLIENTA

HISTORIA

58 WALDEMAR ŁYSIAK
CHŁOP VERSUS BUNTOWSZCZIK
Czy wrogość wieśniaków wobec Powstania Styczniowego zdławiła insurekcję?

66 PIOTR WOYCIECHOWSKI
TAJEMNICE SZEFA PRACODAWCÓW RP

ŚWIAT

70 ROZMOWA Z DAVIDEM DAVIESEM
CZEKA NAS BITWA O BREXIT
Członek Izby Gmin z ramienia Partii Konserwatywnej o brexicie

72 OLIVIER BAULT
PODWÓJNE STANDARDY

74 JACEK PRZYBYLSKI
FORTUNA ZA WOLNOŚĆ

EKONOMIA

78 ROZMOWA Z ANDRZEJEM ADAMCZYKIEM
TO NIEMCY CHCĄ UDERZYĆ W TRANSPORT
Trwa największa rozgrywka gospodarcza w Unii

82 TOMASZ WRÓBLEWSKI
CHINY – IMPERIUM SEZONOWE

86 STEFAN SĘKOWSKI
POPEK WALCZY W ZŁEJ SPRAWIE

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
MODA: ZWOLNIĆ, PROSZĘ
Przemysł modowy od podszewki

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
ODCHUDZAJ SIĘ OSTROŻNIE
Nie wystarczy mniej jeść

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (57), ZYCHOWICZ, KOPER (65), WARZECHA (77), GABRYEL, RYBIŃSKI (81), KOMUDA (92), NOWAK (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl e3336b6748

Najlepszy Bank Korporacyjny w Polsce w 2018 roku

według Global Banking and Finance Review

Reprezentujemy swoich klientów i Polskę na **World Economic Forum w Davos**

90 lat

Bank Pekao

Bank Polska Kasa Opieki Spółka Akcyjna z siedzibą w Warszawie, ul. Grzybowska 53/57, 00-950 Warszawa, wpisany do rejestru przedsiębiorców w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, KRS: 0000014843, NIP: 526-00-06-841, REGON: 000010205, wysokość kapitału zakładowego i kapitału wpłaconego: 262 470 034 zł.

eprasa.pr e3336b6748

Drodzy Czytelnicy,

Dzisiaj w listach międzynarodowo, choć istotnie z punktu widzenia Polski. Zapraszamy do korespondencji. Nasz e-mail: listy@dorzeczy.pl.

„Niemieckie przejęcie" – Łukasz Zboralski, „DRz" 2/2018

Dziękuję za podjęcie moim zdaniem bardzo ważnego tematu. Myślę, że perspektywa wyjazdu pracujących w Polsce Ukraińców do Niemiec jest dużym zagrożeniem dla polskiej gospodarki. Rozejrzyjmy się wokół siebie, mam na myśli zwłaszcza mieszkańców większych miast. Z iloma pracownikami z Ukrainy mamy codziennie do czynienia np. w handlu, gastronomii, budowlance? I wyobraźmy sobie, że oni wszyscy nagle wracają do siebie lub wyjeżdżają dalej do Unii. Możemy mieć spory kłopot. Nie wierzę w to, że zostaną w Polsce z powodu jakiegoś specjalnego sentymentu do naszego kraju. Pojadą tam, gdzie lepiej płacą, bo znaczna część z nich zarabia na Zachodzie, ale chce kiedyś wrócić do swoich rodzin, żyć u siebie. Nie zostaną, jeśli np. w Niemczech mogą zarobić kilka razy więcej. Dlatego szanujmy pracowników ze Wschodu i stwarzajmy im jak najlepsze warunki, bo dzięki ich pracy rozwija się nasza gospodarka.

Marcin Wilk, Łódź

„Czyj ten Berlin?" – Cezary Gmyz, „DRz" 3/2018

Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Chcielibyśmy być bogaci i postępowi jak Niemcy, tymczasem reportaż Cezarego Gmyza z Berlina zamieszczony w ostatnim numerze „Do Rzeczy" może wyleczyć ze ślepego zapatrzenia w kraj prowadzony przez „Mutti". Jeden reportaż to oczywiście zdecydowanie za mało, polskie media powinny jak najczęściej opisywać konsekwencje posunięć polityków Zachodu, byśmy w Polsce – gdzie to, co modne na Zachodzie, przychodzi z opóźnieniem – mogli powielać dobre wzorce i unikać pewnych błędów. Sytuacja w niektórych dzielnicach Berlina, walka o władzę arabskich klanów opisane przez red. Gmyza wywołują moje rozczarowanie i gniew na to, co się dzieje z Europą. Czy naprawdę jesteśmy bezbronni? Minęło wiele lat od mojej wizyty w Berlinie, w którym czułem się bezpiecznie, który mi się podobał i mi imponował. Boję się, że niebawem takiego Berlina może już nie być. Które miasto będzie kolejne?

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Pieczeń na przedzie

Dzień dobry, jakże się cieszę z powrotu „Pieczeni rzymskiej" na pierwsze strony „Do Rzeczy". Bardzo za to dziękuję!

Pozdrawiam
Małgorzata Dobrowolska

KONDOLENCJE

Dominikowi Zdortowi

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

ŚP.

Ojca

składają przyjaciele z „Do Rzeczy"

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Ewa Polak-Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress)
Współpraca: **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Anna Rezulak/KFP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 79 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl e3336b6748

Meteorolodzy ostrzegają kierowców: śnieg i oblodzenie na drogach

Synoptycy z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej alarmują: w wielu częściach Polski możliwe są oblodzenia. Najgorsza sytuacja ma dotyczyć województw: zachodniopomorskiego, pomorskiego, lubuskiego, północnej części wielkopolskiego i większości kujawsko-pomorskiego.

Niebezpieczeństwo na drogach mogą zwiększać nie tylko opady śniegu, lecz także zamarzanie mokrej nawierzchni dróg i chodników po opadach deszczu ze śniegiem i mokrego śniegu. Możliwe też będą zawieje i zamiecie śnieżne. ***(jap)*** ©℗

FOT. MICHAŁ KOŚĆ/FORUM

SONDAŻ: PIS Z DUŻĄ PRZEWAGĄ

Prawo i Sprawiedliwość wciąż utrzymuje dużą przewagę nad politycznymi przeciwnikami – wynika z ubiegłotygodniowego sondażu CBOS. Na tę partię (wraz z jej koalicjantami) głosować chciałoby 39 proc. badanych. To mniej o 2 pkt procentowe niż w grudniowym sondażu.
Również 2 pkt procentowe w porównaniu z grudniem straciła Platforma Obywatelska. Na tę partię oddać głos obecnie chciałoby 22 proc. ankietowanych.
Na trzecim miejscu pod względem poparcia znalazł się ruch Kukiz'15 (7 proc. i spadek o 2 pkt w porównaniu z grudniem), a listę przekraczających sondażowo próg wyborczy zamyka PSL (6 proc.). ***(luz)*** ©℗

POWRÓT ŚWIŃSKIEJ GRYPY

W kilku miejscach kraju odnotowano ogniska wirusa grypy AH1N1, czyli tzw. świńskiej grypy, o której głośno było w 2009 r. W Szpitalu Klinicznym we Wrocławiu w ubiegłym tygodniu zamknięto oddział kardiologiczny dla odwiedzających, gdy objawy choroby stwierdzono u ośmiorga pacjentów. Zostali odizolowani od pozostałych – tych, którzy nie muszą pozostawać na oddziale, zaczęto z niego wypisywać.
Ogniska świńskiej grypy wykryto również w Małopolsce. Zarażonych pacjentów ma Szpital Uniwersytecki w Krakowie, jest też 11 chorych na świńską grypę w Szpitalu św. Łukasza w Tarnowie. Wirus stanowi największe zagrożenie dla dzieci, starszych ludzi oraz osób o obniżonej odporności. ***(luz)*** ©℗

KONDOLENCJE

14 stycznia 2019 r.
zginął tragicznie

ŚP.

PAWEŁ ADAMOWICZ

przez 20 lat Prezydent Gdańska.
Rodzinie i Najbliższym
przekazuję wyrazy głębokiego współczucia.
Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie.

Sekretarz Stanu
w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Piotr Dardziński
wraz ze współpracownikami

eprasa.pl e3336b6748

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

O chłopcu, który przeżył własną śmierć

Ten życiorys nie przebił się na czołówki największych polskich mediów. O 21-letnim Timie Guido dowiedziałem się z tekstu na jego temat na łamach „Więzi" pióra Tomasza Kyci, berlińskiego korespondenta tego pisma. Muszę przyznać, że jego opowieść o małym Timie poruszyła mnie jak mało która.

6 lipca 1997 r. w Oldenburgu lekarze przeprowadzili aborcję. Matka dowiedziała się od lekarzy, że jej dziecko obciążone będzie zespołem Downa i pod wpływem tej diagnozy rodzice zdecydowali się na usunięcie ciąży w siódmym miesiącu. Tyle że usunięte z łona matki dziecko przeżyło. Przez pierwsze dziewięć godzin chłopiec leżał zawinięty w ręcznik bez żadnej opieki medycznej. Ważył 690 gramów i miał 32 cm długości. Temperatura jego ciała spadła do 28 st. C.

Gdy odkryto, że „skazaniec" przeżył, na szczęście zwyciężyły ludzkie odruchy. Podjęto decyzję o udzieleniu mu pomocy i przewieziono go do kliniki dla noworodków, chociaż specjaliści nie wierzyli w jego dłuższy pobyt na tym świecie. Wróżono mu rok, maksymalnie dwa lata życia. Zabieg aborcyjny wycieńczył jego organizm. Nie wykształciły się w pełni jego płuca, miał zniekształcone stopy. Szczęście nie opuszczało jednak Tima. Jak opisuje Tomasz Kycia, dziecko znalazło rodziców zastępczych – Simone i Bernharda Guido.

Rodzice zaangażowali się w walkę o zdrowie dziecka. Przeszło wiele operacji. Tim był dzieckiem autystycznym, nie mówił, miał problemy z zaakceptowaniem otoczenia. Przetrwał zmagania ze swymi słabościami. Pomogły hipoterapia i specjalistyczne przedszkole, które wspomagało jego rozwój. Pokochał delfiny. Tim nauczył się chodzić, biegać za piłką i nawiązał kontakt z rodzeństwem – Marco i Pablo – dwojgiem innych zaadoptowanych dzieci z zespołem Downa. Potem zyskał kolejne dwie adoptowane siostry z zespołem Downa: Melissę i Naomi.

Stał się znany w mediach jako „niemowlę z Oldenburga", gdzie się urodził. Przechodził kolejne terapie, które miały mu umożliwić podjęcie odpowiedniej pracy zawodowej. Gdy wydawało się, że jako 21-letni chłopiec wejdzie w dorosłość, dopadła go choroba płuc. Aborcja uszkodziła ten narząd i teraz organizm nie przetrzymał kolejnej choroby.

„Boże Narodzenie i wieczór sylwestrowy spędził w gronie rodzinnym. Był w dobrej formie, mieliśmy przepiękne święta" – mówi jego matka. Przybrani rodzice Tima na jego 18. urodziny napisali książkę „Tim żyje!".

Jeśli ostatnio tyle mówiliśmy o tym, jakim złem jest odebranie komuś życia, to pomyślmy nie tylko o gdańskiej tragedii. Pomyślmy też o małym Timie. Jaki jest nasz stosunek do ludzkiego życia, każdego życia? ©℗

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/EAST NEWS

NASTĘPCZYNI RADWAŃSKIEJ?

Iga Świątek wygrała w zeszłym tygodniu pierwszy mecz w Wielkim Szlemie. I chociaż odpadła w drugiej rundzie Australian Open po szybkiej porażce z Włoszką Camilą Giorgi, to i tak o 17-letniej zawodniczce mówi się, że może zajść nawet dalej niż nasza najsłynniejsza tenisistka, Agnieszka Radwańska. Młoda Polka zdobyła też 110 pkt do rankingu WTA i zanotuje awans o ok. 30 pozycji (na mniej więcej 140. pozycję). W zeszłym roku Polka awansowała z 690. na 175. miejsce. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl e3336b6748

Rosjanie chcą mieć prawo strzelania do samolotów pasażerskich

Ministerstwo obrony Federacji Rosyjskiej opublikowało projekt dekretu, który zezwala między innymi na zestrzeliwanie pełnych pasażerów samolotów cywilnych naruszających przestrzeń powietrzną Rosji. Jeśli zostanie on oficjalnie zatwierdzony, to Rosjanie już od przyszłego miesiąca będą mogli strzelać do maszyn, których piloci nie zareagują na rozkaz jak najszybszego lądowania. Rosjanie podkreślają, że chodzi m.in. o samoloty, które zostały porwane przez terrorystów. I dodają, że prawo takie wprowadziło na świecie już wiele innych państw. Nowe przepisy będą też dotyczyć samolotów wojskowych i dronów.

FOT. MAXIM SHEMETOV/REUTERS/FORUM

To nie wszystko: Rosja chce mieć też oficjalne prawo do strzelania w określonych sytuacjach do samolotów wojskowych obcych państw na wodach międzynarodowych.

Nowy dekret zaniepokoił m.in. władze Ukrainy. W lipcu 2014 r. nad kontrolowanym przez Rosję Donbasem doszło do zestrzelenia za pomocą wyrzutni Buk lecącego z Amsterdamu do Kuala Lumpur pasażerskiego samolotu malezyjskich linii lotniczych MH17. Zginęło wówczas 298 osób. Zespół międzynarodowych śledczych w zeszłym roku ogłosił zaś, że winę za zestrzelenie samolotu ponoszą władze w Moskwie.

W 1983 r. piloci Związku Sowieckiego zestrzelili z kolei południowokoreański samolot – zginęło wówczas 269 osób. To po tej tragedii Organizacja Międzynarodowego Lotnictwa Cywilnego zaleciła wprowadzenie poprawki do Konwencji o międzynarodowym lotnictwie cywilnym o zakazie użycia broni przeciwko cywilnym statkom powietrznym.

W zeszłym tygodniu doszło do niebezpiecznego incydentu nad Cieśniną Tatarską. Podczas lotu szkoleniowego w piątek zderzyły się dwa rosyjskie bombowce Su-34. Załogi obu maszyn się katapultowały. ***(jap)*** © ℗

Katarzyna Pinkosz nagrodzona

Zarząd Stowarzyszenia Dziennikarze dla Zdrowia przyznał Katarzynie Pinkosz prestiżowy tytuł Dziennikarz Medyczny Roku 2018. Uroczyste uhonorowanie zaszczytnym tytułem odbyło się 18 stycznia.

To kolejny sukces dziennikarki „Do Rzeczy". Wcześniej Katarzyna Pinkosz została wyróżniona m.in. w konkursie dla dziennikarzy „Kryształowe Pióro" w kategorii choroby serca za artykuł „Zatrzymać udar", który ukazał się w tygodniku „Do Rzeczy". Dziennikarka otrzymała również I nagrodę specjalną za swoją książkę „Wybudzenia. Powrót do życia. Polskie historie". ***(jap)*** © ℗

FOT. ARCHIWUM KATARZYNY PINKOSZ

PŁACE POLAKÓW WCIĄŻ IDĄ W GÓRĘ

Zakończenie roku 2018 było bardzo dobre dla pracowników z sektora przedsiębiorstw. Przeciętne wynagrodzenie przekroczyło magiczną barierę 5 tys. zł i wyniosło 5274,95 zł brutto. To oznacza wzrost w stosunku do grudnia roku poprzedniego o 6,1 proc. – podał Główny Urząd Statystyczny. Średnia płaca brutto daje na rękę ok. 3740 zł.

Najmniejszy wzrost wynagrodzeń w ciągu minionego roku odnotowano w rolnictwie (1 proc.), a największy w górnictwie i przemyśle wydobywczym (10,6 proc.).

Analitycy uważają, że w 2019 r. trend wzrostowy się utrzyma, ale nie będzie już tak dynamiczny.

(jap) © ℗

eprasa.pl e3336b6748

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Niewielki językoznawca

Pan Borys Budka – nie ukrywam, że jeden z moich ulubieńców w obozie totalnej opozycji – podzielił się z narodem refleksją, że „zbrodnie zaczynają się od słów". Bardzo głęboka myśl. Ale da się ją pogłębić jeszcze bardziej: wszystko, cokolwiek człowiek robi, zaczyna się od słów. Rewolucja, cudzołóstwo, reforma ortografii – wszystko trzeba najpierw pomyśleć, a to już wymaga znalezienia odpowiednich słów, a potem albo kogoś namówić, albo mu narzucić, czego też bez słów zrobić się nie da.

Istnienie w dyskursie publicznym pewnych wypowiedzi, których większość może nie akceptować, to cena wolności słowa

Dla przykładu – cenzura prewencyjna zaczyna się od słów „mowa nienawiści". Słów, które nie mają jasnego znaczenia, a więc mają znaczenie takie, jakie nada im ten, kto je wymyśli i narzuci ich używanie innym.

Postulat „oczyszczenia dyskursu publicznego z mowy nienawiści" podnosi obóz lewicowo-liberalny już od dawna, ale okazją do kolejnego wzmożenia stał się mord dokonany na Pawle Adamowiczu. Co prawda związek miedzy zbrodnią dokonaną przez cierpiącego na schizofrenię paranoidalną recydywistę z jakkolwiek rozumianą „mową nienawiści" jest nader wątły – ale lewica ma dobrze przećwiczone rzucanie postulatów, z którymi trudno się nie zgodzić, i uzasadnienie nimi działań o skutkach dokładnie z postulowanymi sprzecznych.

Rugowanie z publicznej debaty nienawiści to oczywiście cel zbożny, każdy to przyzna. Ale prawo wypracowało zupełnie wystarczające do tego instrumenty – skargę o zniesławienie, pojęcia takie jak „naruszenie dóbr osobistych", „groźba karalna" etc. Jeśli mimo to głoszenie nienawiści uchodzi niekiedy płazem, to nie dlatego, że nie ma z nią czym walczyć – tylko że, po pierwsze, systemy prawne są niedoskonałe, po drugie, istnienie w dyskursie publicznym pewnych wypowiedzi, których większość może nie akceptować, to cena wolności słowa – uważanej tradycyjnie za wartość nadrzędną.

Pojęcie „mowy nienawiści", regulacje i lekcje szkolne przeciwko niej, wymyśliła lewica po to właśnie, aby tę wartość niepostrzeżenie dla ogółu odrzucić i zastąpić inną, lansowaną przez „demokrację liberalną": poprawnością. Czyli aby pozbawić ludzi prawa do mówienia rzeczy innych niż akceptowane przez lewicowo-liberalne salony. O to chodziło już „wielkiemu językoznawcy" Stalinowi, i o to samo chodzi dziś jego niewielkim uczniom. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Niebezpieczne marzenia

Prawdziwie uczciwych sędziów trzeba cenić, bo choć oczywiście nie jest ich mało, to jednak giną w masie koniunkturalistów, karierowiczów i miernot. Ot weźmy np. sędzię Teresę Kamińską z NSA, która na jednym ze spotkań zorganizowanych przez lewicową fundację Batorego wypaliła uczciwie, że marzy o zemście na obecnej władzy. Zamiast opowiadać dyrdymały o obronie demokracji wyłożyła kawę na ławę. Albo weźmy sędziego Sławomira Jęksę, który wydając wyrok, nawet nie ukrywał, że wpływ na jego orzeczenie miały nie obowiązujące przepisy kodeksowe, lecz sytuacja polityczna, której on w ten sposób się sprzeciwia. Uczciwie i bez ściemy.

Warto jednak, by bujający w obłokach marzeń sędziowie zdali sobie sprawę, że bywają one niebezpieczne. Bo co np. mogłoby się stać, gdyby ci Polacy, których skrzywdziły zbyt często nieudolne, przewlekłe, niesprawiedliwe działania funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości – miast marzyć o sprawiedliwości, zaczęli marzyć o zemście? Oj, działoby się.

Opozycja też ma marzenia. Obok tych o władzy ma też nowe. Marzenie o walce z hejtem i szczuciem w życiu publicznym. Że niby, jak sugerowali opozycjoniści, w mediach też ma być merytorycznie i bez agresji. W lewicowo-liberalnych publikatorach takie dictum wywołało zapewne przerażenie większe niż repolonizacyjne pogróżki PiS, no bo jak oni tak – sojusznika pałką w plecy, i to przed wyborami?

W ramach walki z hejtem opozycyjni działacze zorganizowali wiec „przeciw nienawiści", a jego gwiazdami okazali się: podupadły aktor przekonujący, że księża katoliccy to… (i tu wstaw brzydkie słowo), oraz aktywistka znana z zakłócania wulgarnymi okrzykami PiS-owskich spotkań. Cóż, jakie marzenia, taka walka. ©℗

eprasa.pl e3336b6748

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Milczenie owiec

W 38 lat po ucieczce z włoskiego więzienia za kratki trafił wreszcie Cesare Battisti. W połowie lat 70. był młodym bandziorem. Zradykalizował się w więzieniu. Gdy wyszedł, natychmiast wrócił do bandyterki, ale napadał i mordował w imię nowo zapoznanej religii: komunizmu bandyckiego. Napady już nie nazywały się napadami, a „proletariackim uwłaszczeniem", mordy – „militaryzacją walki klas". Jako członek Zbrojnych Proletariuszy na rzecz Komunizmu Battisti zastrzelił dwóch policjantów. Strzelał w plecy.

Jako członek Zbrojnych Proletariuszy na rzecz Komunizmu Battisti zastrzelił dwóch policjantów. Strzelał w plecy

Takim właśnie sfanatyzowanym mordercom, którzy we Włoszech położyli trupem ponad 500 osób, w tym pięciokrotnego premiera Aldo Moro, schronienia udzieliła Francja prezydenta Mitteranda. Battisti spędził trochę czasu w Meksyku. Gdy wrócił nad Sekwanę, jako heros walki o lepsze jutro i autor kryminałów, stał się ozdobą postępowych salonów. Jednak w 2004 r. we Francji powiał nowy polityczny wiatr. Battisti, skazany przez włoski sąd na dwa dożywocia, miał być wydany Włochom. Ponad 1,5 tys. postępowych intelektualistów podpisało list protestacyjny, m.in. Daniel Cohn-Bendit, pisarz Pennac, pisarka Vargas, Wu Ming, François Hollande. Nie mogło zabraknąć Roberta Saviano („Gomorra"). W końcu zaopatrzyli Battistiego w forsę, fałszywy paszport i wyekspediowali go do Brazylii, gdzie trafił pod opiekuńcze skrzydła bolszewickiego prezydenta Luli (teraz odsiaduje 10 lat za korupcję). Naturalnie nikogo za pomoc ściganemu mordercy nie spotkała żadna kara. Jednak w grudniu w Brazylii naród przegonił lewicowców i Battisti musiał uciekać do Boliwii, która bez zbędnych ceregieli 14 stycznia wydała go Włochom.

Tym razem, pomijając wymierających włoskich jaskiniowych komunistów, nikt nie protestuje. Nawet francuska kawiorowa lewica milczy. 15 lat temu w owczym pędzie na wyścigi podpisywali protest. Oczywiście teraz nikt się nie bije w piersi. Panuje żenujące milczenie postępowych owiec. Battisti jest już passé. Mamy nowy etap i nową prawdę. Owce znów zmieniły poglądy. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Jednym głosem, choć dziś

Długo myślałem, jak przygotować tę rubrykę. Jakie tweety po tragedii, która wydarzyła się w Gdańsku, wybrać. Hejt, wzajemne oskarżenia, hipokryzję? Może po prostu posłuchajmy, jak mówić jednym głosem. I wyciągnijmy wnioski.

Prosimy was, żeby w tym momencie powstrzymać się od wzajemnego obwiniania. Nie brnijmy w to dalej! Nie dzielmy się! Bądźmy w tej chwili razem i przekażmy nasze wsparcie Pawłowi Adamowiczowi – Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy.

Módlmy się wszyscy za Prezydenta Adamowicza. Pawle, jesteśmy z Tobą – Donald Tusk.

Na Miłość Boską! Proszę zamilknąć, módlmy się razem! – Piotr Gliński.

Pan Prezydent Paweł Adamowicz odszedł. Łączę się w żalu i modlitwie z Jego Najbliższymi, Przyjaciółmi i wszystkimi Ludźmi dobrej woli. Proszę Pana Boga o wsparcie dla Rodziny Zmarłego. Wrogość i przemoc przyniosła najtragiczniejszy skutek i ból. Nie wolno nam się z tym pogodzić – Andrzej Duda.

Smutek i żal ściska mi gardło. Pawle, zawsze pozostaniesz w naszych sercach. Byłeś wyjątkowym człowiekiem – Grzegorz Schetyna.

Gdy brakuje słów, pozostaje modlitwa. Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj Mu świeci... – Władysław Kosiniak-Kamysz.

Wyrazy współczucia i wsparcia dla rodziny, przyjaciół, wszystkich Polaków, którzy w ostatnich godzinach byli myślami i sercami przy Prezydencie Gdańska. Musimy zrobić wszystko, żeby takie tragedie się nie powtarzały – Katarzyna Lubnauer.

Zabójstwo Prezydenta Pawła Adamowicza jest dla nas wszystkich ogromną tragedią. To wielkie zło, które budzi potępienie, wielki smutek i żal. Najgłębsze wyrazy współczucia dla pogrążonej w rozpaczy Rodziny. Pokój Jego duszy – Mateusz Morawiecki.

Nóż był jeden, przebitych nim serc – tysiące – jeden z anonimowych internautów. ©℗

eprasa.pl e3336b6748

FOT. PAWEŁ GROMADA

DUŻO ZA DUŻO

Dramat prezentera Piotra Janiaka, bardziej znanego pod zmienionym imieniem Olivier. Otóż, jak donosi „Super Express", notowania Oliviera Janiaka w show-biznesie zaczęły spadać, co on sam boleśnie odczuwa, głównie finansowo. Bo Janiak żyje głównie z konferansjerki, a to właśnie na tym polu wiedzie mu się coraz gorzej. Podobno prezenter sam jest sobie winien, bo nie zawsze podczas prowadzonych przez siebie imprez wypada dobrze i profesjonalnie. – Niestety, wykorzystując swoją pozycję, potrafi drwić z obecnych na sali gości, a z jego ust padają niesmaczne żarty i niestosowne komentarze, formułowane tak, by ośmieszyć gości – mówi w „Super Expressie" organizator komercyjnych imprez. Ponoć jeszcze niedawno stawka, którą brał za poprowadzenie takiej imprezy, nie spadała poniżej 20 tys. zł. Teraz spadła nawet do 8 tys. za imprezę! Powiedzielibyśmy, że to wciąż za dużo. O jakieś 8 tys.

KREDYT NA TOREBKĘ

Show-biznes, a jeszcze bardziej marzenie, by stać się jego częścią, to zło. Przekonała się o tym boleśnie jedna z młodych dziewcząt, 23-letnia Dominika, która tak bardzo chciała zostać internetową influencerką, że postanowiła zaciągnąć kredyt na ten cel. Kiedy okazało się, że inwestycja się nie zwraca, a długi tylko rosną, Dominika... zorganizowała zbiórkę w sieci. Jej cel to 30 tys. zł. – Chciałam być jak inne dziewczyny, kupować drogie torebki, chodzić na zakupy, spełniać marzenia i zachcianki, mimo że ledwo wkroczyłam w dorosłość. Moja chęć upodobniania się do rówieśników przerosła moje racjonalne myślenie. Wzięłam kredyt i pożyczkę, by móc wydawać na przyjemności – pisze dziewczyna. – Pieniądze się rozeszły, rzeczy materialne zwyczajnie zniszczyły, kosmetyki zużyły, a ja zostałam z niczym – żali się. Cóż, z takim tupetem jej miejsce jest w show-biznesie. Nigdzie indziej. Wspomnicie nasze słowa.

ZNANA I LUBIANA?

Aktorka, celebrytka, a ostatnio początkująca piosenkarka Julia Wieniawa to jedna z najbardziej perspektywicznych gwiazdek młodego pokolenia. Podobno już teraz na swojej aktywności i kontraktach reklamowych zarabia około miliona złotych rocznie. Po niedawnym głośnym rozstaniu z aktorem Antkiem Królikowskim Wieniawa przekonuje w wywiadach, że myśli teraz głównie o pracy i karierze. – Na razie skupiam się na pracy. W 2019 r. kończę płytę i mam parę sporych projektów aktorskich. Nie spodziewałam się, że wszystko potoczy się tak błyskawicznie. To, co zrobiłam w ciągu ostatnich dwóch lat, było na mojej liście marzeń rozłożone na lat kilkanaście – chwali się. – Wiem, że popularność to również odpowiedzialność. Muszę pamiętać, że wiele młodych osób się w jakimś stopniu na mnie wzoruje. Staram się więc dbać o wizerunek. Jestem o wiele silniejsza niż kiedyś, bardziej pewna siebie. Znam już swoją wartość – zapewnia. – Mnie się albo bardzo lubi, albo nienawidzi – dodaje. Są jeszcze tacy, którym Wieniawa Julia jest całkiem obojętna. A nawet tacy, którzy nie wiedzą, kto to taki. Tym ostatnim zazdrościmy najbardziej!

FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS

DĘTA SPRAWA

Małgorzata i Radosław Majdanowie przybyli do telewizji śniadaniowej, gdzie raz na zawsze postanowili rozprawić się z aferą wokół naszyjnika z miksem ich oddechów, który to mieli wystawić na aukcję Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Majdanowie przekonywali, że nic takiego nigdy nie wystawiali, choć jednocześnie przyznali, że w naszyjniku mogły być ich oddechy. – To jest jakiś absurd. Szkoda nam było, że tego typu niepotrzebne fake newsy odciągają uwagę od prawdziwych aukcji. Co więcej, właściciele tej firmy twierdzą, że oni nie mają z tym nic wspólnego i ta aukcja nie pojawiła się na prawdziwej stronie WOŚP – tłumaczyli na zmianę. – Kiedyś faktycznie mieliśmy taki moment, że podszedł do nas przedstawiciel firmy, która produkuje takie naszyjniki, poprosił nas, żebyśmy spróbowali, więc my, starając się być otwarci, nadmuchaliśmy to – dodawali. Wychodzi na to, że taka trochę dęta ta afera. A nawet dmuchana.

ODROBINA SZALEŃSTWA

Karolina Szostak przebojem wkroczyła do show-biznesu dzięki swojej wadze. Tak, tak. Z mało znanej prezenterki sportowej została autorytetem w dziedzinie odchudzania. Schudła bowiem aż 30 kg. Potem napisała na ten temat książkę i udzieliła dziesiątków wywiadów. Po drodze zaś została celebrytką. Podobno swoje schudnięcie zawdzięcza oczyszczającej diecie, opartej na surowych warzywach i owocach. Wagę udaje jej się utrzymywać, choć jak mówi, na diecie już nie jest. – Ja już się nie odchudzam. Kaloryfer z mięśni na brzuchu nie jest moim celem. Wprawdzie smakowite focaccia z rozmarynem oraz spaghetti aglio e olio zamieniłam na sałaty, ryby i owoce morza, ale nie popadam w przesadę – wyznaje. – Raz na jakiś czas pozwalam sobie na odrobinę parmezanu – podkreśla. Karolina Szostak zjadła parmezan. A ty co szalonego zrobiłeś w tym miesiącu? ©℗

eprasa.pl e3336b6748

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, tylko w tym kraju można tak szydzić z osób wegepozytywnych, iż dzień wegetarian wypadł w piątek.

Z tego powodu tego dnia na korpostołówce nie było wiadomo, kto jest porządnym weganinem, a kto katolem, który nie je mięsa w każdy piątek. Siara w chooy przed Europą, znowu :(

Podobno urządzenia odpowiedzialne za odbiór sygnałów z kosmosu odebrały coś, co może być uznane za próbę kontaktu z nami ze strony obcej cywilizacji. Z tej okazji naszło nas kilka refleksji.

Po pierwsze: jeśli mielibyśmy się spotykać z kosmitami, w jakim języku się z nimi porozumiewać i jak się do nich zwracać? Podejrzewamy, iż skoro angielski jest językiem międzynarodowych korporacji, to nic nie stoi na przeszkodzie, iżby znali go także osobokosmici. Problem pojawia się jednak, kiedy zastanowimy się, jak rozpoznamy ich płeć kulturową i w jaki sposób się do nich zwracać?

Obawiamy się, iż w przestrzeni kosmicznej może istnieć więcej niż 51 płci i w związku z tym zwykłe „sir or madam" może nie wystarczyć. Nie wiemy, jak wygląda biologia osobokosmitów, ale jesteśmy pewni, iż jeśli kiedyś nas odwiedzą, to z radością zaprosimy ich na jakiś wykład uniwersytecki, iżby wyjaśnili, jak kwestie gender, płci biologicznej (która nie istnieje) rozwiązuje się w tak bardzo postępowym miejscu.

W naszym Krakowie na chwilę pojawił się pomysł, iżby zakazać rodzicom podwożenia osobodzieci samochodami do szkół. Naszym zdaniem była to OSOM inicjatywa, ale of kors w takim ciemnym społeczeństwie nie miała szans powodzenia.

Gdybyśmy mieli odpowiednio wyedukowane i świadome społeczeństwo, to z chęcią przyjęłoby ono nie tylko ten, ale również kolejne zakazy związane z poruszaniem się samochodami w przestrzeni miejskiej.

Ile mógłby zaoszczędzić NFZ na zakazie podwożenia seniorów do przychodni i aptek. Jak dobrze byłoby wyeliminować ruch pod marketami i zakazać jazdy po zakupy samochodem, a w dalszej kolejności zakazać podwożenia pracowników do pracy (of kors za wyjątkiem urzędników wymyślających tego typu zakazy).

A osobodzieci do szkół mogłyby chodzić pieszo lub jeździć przeładowaną komunikacją miejską, po raz kolejny pokazując, że popularność komunikacji zbiorowej jest wyższa niż transportu prywatnego samochodowego. © ℗

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI
w Ciechocinku „Pod Tężniami"

Leczymy m.in.:
- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu
dwa badania lekarskie
wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie:
20.01 - 24.02.2019 r. oraz 24.02 - 31.03.2019 r.

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Klinika Uzdrowiskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00

eprasa.pl e3336b6748

dwaj panowie g

Marszałek Sejmu Marek Kuchciński ma wiele zalet, ale stalowe nerwy do nich nie należą. Jak opowiadają wiewiórki, oczywiście Kaczor Dyktator miał być na sali sejmowej podczas minuty ciszy dla Pawła Adamowicza. Nie zdążył, gdyż marszałek zaczął za wcześnie

Ponieważ wszyscy o tym mówią, chcielibyśmy wtrącić i my swoje dwa grosze do dyskusji o mowie nienawiści. Otóż na podstawie uważnych obserwacji zachowania rozmaitych redakcji i polityków podczas żałoby zwykłej oraz narodowej stwierdzamy, że najlepszą bronią w walce z mową nienawiści jest oczywiście mowa nienawiści. Ech, dlaczego nie jesteśmy zdziwieni?

Krótkie wyjaśnienie dla mniej zorientowanych. Mowa nienawiści to takie coś, kiedy mówicie, że normalne dziecko powinno mieć mamę i tatę, albo kiedy sądzicie, że jeśli ktoś coś ukradł, to można to publicznie mu wytknąć. Natomiast kiedy ktoś mówi o dorzynaniu watahy albo wybijaniu jak mamuty, to wtedy mamy do czynienia z elegancką debatą publiczną.

Żeby nie być gołosłownym, przypominamy fragment wypowiedzi Misia Kamińskiego z programu w Złonecie. Czas akcji: trzy dni przed atakiem na Pawła Adamowicza. „Ludzie pierwotni zabijali mamuta. PiS jest takim mamutem. Są oczekiwania niektórych liberalnych polityków, mediów, że to już jest ten strzał, który zabije PiS, a oni drgną w dół, a później idą w górę. Wobec PiS trzeba stosować taktykę polowania na mamuta przez ludzi pierwotnych. Ten mamut sobie chodził, oni za nim biegali i walili w niego kamieniami. Jeden kamień tego mamuta nie powalił, ale suma...". Z niecierpliwością czekamy na wykład Misia Kamińskiego o mowie nienawiści.

Mamy też mocną kandydatkę do tytułu Hienki Roku. Z Hieną Roku się wstrzymujemy, bo przed nami dwie kampanie wyborcze i w związku z tym niejedno dno do przebicia, ale na Hienkę zasłużył już dziennik „Fakt" za wielokrotne użycie na sześciu stronach dzień po śmierci Pawła Adamowicza nazwy „Młodzież Wszechpolska". Trudno jest przebić „Gazetę Wyborczą", a tu proszę – „Faktowi" się udało.

Dodatkowego smaczku ekscytacji „Faktu" Młodzieżą Wszechpolską jako praprzyczyną wszelkiego zła dodaje to, że w tym samym czasie politycznym tematem numer jeden w Niemczech było powstanie nowej partii Przebudzenie Niemieckich Patriotów. To tacy goście, którzy uważają AfD za miękiszonów, a w programie mają dokładnie to, czego się można spodziewać po nazwie. Czekamy na obszerne publikacje „Faktu" w tej sprawie.

Marszałek Sejmu Marek Kuchciński (zwany przez nas czasem pieszczotliwie Kuchtą) ma wiele zalet (chwilowo nie potrafimy ich wymienić), ale stalowe nerwy do nich nie należą. Stąd kłopot. Jak opowiadają wiewiórki, oczywiście Kaczor Dyktator miał być na sali sejmowej podczas minuty ciszy dla Pawła Adamowicza. Nie zdążył, gdyż marszałek Kuchta zaczął za wcześnie.

Nie był to pierwszy taki przypadek. Pamiętacie, jak podczas obrad Zgromadzenia Narodowego na Zamku Królewskim w zeszłym roku okazało się, że prezydent Andrzej Sebastian pojawił

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl e3336b6448

Głupia sprawa z tym szczytem bliskowschodnim. Mike Pompeo potraktował Polskę tak jak ambasador Mosbacher, czyli uznał, że władze Vistula County nie mają tu nic do gadania i ogłosił, co chciał i kiedy chciał

się już w trakcie hymnu? Przyczyna była ta sama. Kuchciński nie wytrzymał i zaczął za wcześnie. Rację więc mają ci, którzy powtarzają: Kaczora Dyktatora trzeba chronić przed współpracownikami. Z wrogami świetnie poradzi sobie sam.

Apropos współpracowników – potwierdzamy, liczba osobników pielgrzymujących do Kaczora Dyktatora z petycjami o nowego szefa TVP rośnie. Tyle tylko, że im bardziej Kaczor Dyktator jest do czegoś namawiany, tym bardziej nie chce tego zrobić. Szanujemy tę postawę, kierujemy się w życiu podobną zasadą.

Apropos dziennikarzy – ledwie tylko ujawniliśmy strategię Eine Total-opposition na rok wyborczy (zadusić PiS polityką miłości, wzywaniem do stabilizacji, rozsądku i spokojnej konsumpcji), a już TVN ogłosił nowe zasady korzystania przez swoich dziennikarzy z mediów społecznościowych: mają być grzeczni i nie polemizować z politykami. To oczywiście przypadek. My w ogóle w życiu najbardziej lubimy przypadki.

Jako dziennikarze informacyjni nie powinniśmy zajmować stanowiska w sprawach, o których potem opowiadamy albo możemy potencjalnie opowiadać na antenie/portalu. Po publicznym zajęciu stanowiska w danej sprawie przez dziennikarza informacyjnego relacjonowanie tej sprawy przez niego będzie obarczone ryzykiem stronniczości. Nie wszyscy jesteśmy publicystami" – poinformował TVN swoich pracowników. Co prawda dojście do tego wniosku zajęło TVN ponad 20 lat, ale lepiej późno niż wcale.

Głupia sprawa z tym szczytem bliskowschodnim w Polsce. Rozmowy toczyły się od pół roku, a ich efekt miał być ujawniony w postaci pięknego rządowego newsa w tym tygodniu. Niestety, Mike Pompeo potraktował Polskę tak jak ambsador Mosbacher, czyli uznał, że władze hrabstwa Vistula County nie mają tu nic do gadania i ogłosił, co chciał i kiedy chciał. Uważnie śledzimy teraz wystąpienia irańskich ajatollahów. Nie możemy się doczekać chwili, kiedy obok wielkiego szejtana – Ameryki, zostanie wreszcie wymieniony mały szejtanek – Polonia.

Apropos tarć międzynarodowych. Jak doskonale wiecie, służby specjalne mogą sprawić, że człowiek zapomina języka w gębie. I to właśnie spotkało niejakiego Staszka, który po pracy w dyplomacji postanowił sprawdzić się w biznesie. Co prawda, Staszek naprawdę ma na imię Weijing i jest uznawany przez ABW za szpiega, ale to inna sprawa. Dość powiedzieć, że Staszek, który jest absolwentem polonistyki i od lat przebywa w Polsce, po zatrzymaniu nagle zażądał tłumacza. Wcale się temu nie dziwimy. Chińskie służby specjalne mają dłuższą tradycję niż państwowość większości krajów na Starym Kontynencie.

Mamy i przykłady międzynarodowej współpracy. Kukiści są niezmiernie podekscytowani nawiązaniem bliskich kontaktów z Ruchem Pięciu Gwiazd. Owa partia, wraz z prawicową Ligą, rządzi dziś Włochami. Też została założona przez artystę estradowego, tyle że nie rockmana, ale komika. Współpraca ma rozkwitać zarówno przed wyborami do europarlamentu, jak i w samym europarlamencie.

Znacie posłanki Kukiza Barbarę Chrobak i Agnieszkę Ścigaj? My też nie. Istnieją jednak i bardzo chcą zostać europosłankami. Co prawda znają tylko język polski, ale mają to, co najważniejsze – rachunek bankowy, który chętnie przyjmie pensję w walucie euro. Źli kukizowcy mówią, że Chrobak tak bardzo pragnie zostać wybrana, że dogaduje się w tej sprawie z Zizou Ziobrą. A Tyszka Stanisław nie musi się z nikim dogadywać – on po prostu wie, że będzie kandydował.

Kronika towarzyska. Beacie Kempie najserdeczniejsze gratulacje z okazji narodzin wnuka. To kolejny radosny rozdział historii zapoczątkowanej słynnym weselem córki Kempy w Sycowie jesienią 2016 r. Dlaczego słynnym? No, nie na każde wesele zjeżdża pół rządu i nie każdą mszę świętą koncelebruje ojciec Tadeusz z Torunia. ©℗

eprasa.pl e3336b6748

Piotr Semka

Uznanie, że mord na Pawle Adamowiczu był zbrodnią polityczną, a nie czynem szaleńca, już ustawia PiS w roli moralnego sprawcy. Dla opozycji pokusa, by grać tą sprawą politycznie, będzie bardzo silna

Szok i polityka

Trudno było o bardziej okrutne zabójstwo – trzy ciosy zadane 15-centymetrowym nożem, dosięgające serca. Trudno było o bardziej spektakularną śmierć – na oczach setek ludzi zgromadzonych w sercu Gdańska. Trudno było wreszcie o bardziej wyrazistą politycznie ofiarę – zginął jeden z najbardziej opozycyjnych wobec rządu prezydentów miast. Wspominam o tym, aby uświadomić, jak potencjalnie wybuchową mieszankę emocji mogła wzbudzić ta śmierć. I jednocześnie, aby tym wstępem stworzyć punkt odniesienia do oceny, jak z tym dramatem poradzili sobie w ciągu paru dni po śmierci Pawła Adamowicza politycy władzy i opozycji, liderzy opinii i Kościół.

CZŁOWIEK SPRZECZNOŚCI

Paweł Adamowicz miał bardzo złożoną polityczną tożsamość. Wychował się na gdańskiej ulicy Mniszki, w rodzinie przybyszy z Wileńszczyzny. Każdy, kto zna Gdańsk, wie, że jest to uliczka cudem ocalałych z wojny stareńkich domków, których podwórka graniczą z parafią św. Brygidy. Nic dziwnego, że przyszły prezydent Gdańska jako młody chłopiec został ministrantem w najbardziej opozycyjnej parafii miasta. Wyrastał w cieniu starszego o cztery lata brata Piotra, internowanego w stanie wojennym, który wprowadził go w świat gdańskiej opozycji.

Pierwszy raz na scenę polityczną wskoczył w maju 1988 r. na strajku okupacyjnym na Uniwersytecie Gdańskim. Adamowicza nazywano wtedy „Baby Face". Był trochę niezgrabny, łatwo się czerwienił, nie najlepiej przemawiał. Miał w sobie coś z chłopców, których wybierano na gospodarza klasy. Kojarzył się z pracowitością i solidnością. Dzięki dobrej opinii, którą zdobył podczas strajku, został po 1990 r. kolejno: radnym, szefem rady miasta, a wreszcie w 1998 r. prezydentem Gdańska z ramienia Akcji Wyborczej Solidarności. Dzisiaj mało kto pamięta, że w latach 90. utożsamiany był z konserwatywnymi katolikami – sierotami po Ruchu Młodej Polski. Adamowicza z czasem wessała Platforma. Tyle że ta spod znaku Macieja Płażyńskiego. Liberałowie z kręgu Tuska pokpiwali wtedy z prezydenta „ministranta". Ten wygrywał kolejne kadencje i coraz lepiej radził sobie na fotelu gospodarza metropolii nad Motławą. W Gdańsku latami mówiło się, że Tusk chętnie by go kimś zastąpił, ale wciąż nie było dostatecznie silnego kandydata.

Aby wyprzedzić rozmaite plany wysadzenia go z siodła, Adamowicz wybrał ucieczkę do przodu. Postanowił być bardziej postępowy niż platformersi. Rozbudował kult Wałęsy, przewodził paradom równości, inicjował programy tolerancji w gdańskich szkołach, urządził jubileusz Trybunału Konstytucyjnego w mocno antypisowskim sosie. Nauczył się tajników i narzędzi władzy, rozbudował i unowocześnił Gdańsk, ale i zbrutalizował się w sporach z adwersarzami. W dobie politycznego manicheizmu, w którym arbitrem była „Gazeta Wyborcza", dostał i zaakceptował rolę postępowca. To pomagało mu chronić się od wielu kłopotliwych pytań. A jednocześnie czasem wychodził z niego

eprasa.pl e3336b6748

FOT. KAROLINA MISZTAL/REPORTER

młody Paweł z ulicy Mniszki, wychowany w kulcie orzełków z koroną. Nie zdecydował się, by po katastrofie smoleńskiej nadać gdańskiej alei Zwycięstwa imienia Anny Walentynowicz, ale parę lat potem zadbał o budowę jej pomnika pod jej domem we Wrzeszczu. Zaakceptował też bez problemów idee Marszów Niepodległości 11 listopada, a potem Marszów Wyklętych, jak gdyby czuł, że coś jest winien cieniom wileńskiej AK.

To właśnie ten splot sprzecznych cech przynosił mu kolejne wygrane w wyborach i cztery miesiące temu pozwolił mu pokonać już w pierwszej turze wystawionego przez PO Jarosława Wałęsę. A po śmierci być żegnanym przez tłumy gdańszczan.

OPOZYCJA – WYCISZENIE CZY KRZYK?

Politycy PO stanęli wobec dylematu – czy przyjąć postawę wyciszenia i uszanować prośbę rodziny Pawła Adamowicza, by nie wykorzystywać tragedii politycznie ani ideologicznie, czy ulec silnemu w Gdańsku resentymentowi antypisowskiemu. Jednak nie było żadnych podstaw do łączenia Stefana W. z rządzącą partią. Grzegorz Schetyna i inni czołowi politycy postanowili unikać wyrazistych wypowiedzi po śmierci byłego członka PO. W trakcie sejmowego pożegnania Adamowicza lider Platformy skupił się w Sejmie raczej na wyliczaniu zalet zmarłego. Enigmatycznie mówił, że „Pawła zabiła nienawiść – nienawiść obłąkana, nienawiść zorganizowana". Było to dość dwuznaczne, ale nie było bezpośrednio skierowane przeciw PiS. Pozytywnie zwrócił na siebie uwagę prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, który na poniedziałkowym spotkaniu pod Pałacem Kultury zwołanym przez KOD wzywał, by powstrzymać się od polityki. Jednak spora część demonstrantów KOD udała się spod Pałacu Kultury pod Zachętę, by wysłuchać słynnego wiersza Tuwima o mordercach Narutowicza „Pogrzeb prezydenta Narutowicza".

W podobny sposób wypowiadał się tuż po zamachu Bogdan Borusewicz i weteran gdańskiej opozycji PRL Jacek Taylor, którzy zaczęli mówić o mordzie politycznym i moralnie obciążali za niego PiS. Tezę o mordzie politycznym z winą PiS w tle przyjęli też zagończycy PO – Bartłomiej Sienkiewicz czy Kazimierz Marcinkiewicz. Również Donald Tusk, który już w poniedziałek 14 stycznia przybył z Brukseli do Gdańska i wystąpił w roli duchowego spadkobiercy zamordowanego prezydenta. Jego słowa brzmiały jak wezwanie do politycznej krucjaty: „Chcę ci dzisiaj, kochany Pawle, obiecać, w imieniu nas wszystkich gdańszczan, Polaków i Europejczyków, że dla ciebie i dla nas wszystkich obronimy nasz Gdańsk, naszą Polskę i naszą Europę przed nienawiścią i pogardą, przyrzekamy ci to".

Osobne, najtwardsze miejsce w obozie opozycji zajęła „Gazeta Wyborcza". Od razu ogłosiła, że doszło do mordu politycznego porównywalnego z zabójstwem Gabriela Narutowicza. Podobnie publicystka „Polityki" Ewa Siedlecka wezwała bez ceregieli: „Nie pozwólmy sobie związać rąk naszą przyzwoitością". Ostrzegła, że nagłaśniając apel rodziny Adamowicza o niewykorzystywanie jego śmierci do celów politycznych, „PiS przejmuje narrację w sprawie zabójstwa". Jednak dowody na powiązania Stefana W. z rządzącą partią były tak słabe, że trzeba było sięgać po mocno naciągane teorie. Wojciech Czuchnowski z „GW" ogłosił, że w polskich zakładach karnych (w jednym z nich przebywał morderca Adamowicza) więźniowie rzekomo mogą oglądać tylko TVP, w której atakowano Adamowicza, i to miało być dowodem na odpowiedzialność władzy za mord. Strażnicy więzienni szybko wyśmiali takie wyssane z palca „rewelacje", informując, że więźniowie mają dostęp także do innych stacji. Nie zmieniło to linii „GW", że to PiS jest moralnie odpowiedzialny za mord. Wygląda, że będzie to dogmat powtarzany z uporem przez najbliższy czas i być może motyw dwóch najbliższych kampanii. To kolejny przykład, gdy „GW" za swój obowiązek uznaje narzucanie partiom opozycji pryncypializmu.

OPANOWANIE PIS

Ewa Siedlecka wyraziła irytację, że PiS przejął inicjatywę po gdańskiej tragedii. Jest w tym sporo racji. Prawo i Sprawiedliwość błyskawicznie zawiesiło na kołku wszelkie urazy wobec prezydenta Gdańska. Inicjatywę wykazał prezydent Andrzej Duda, zwołując w poniedziałek 14 stycznia szybki szczyt liderów partii w kwestii wspólnego marszu w Gdańsku. Zaproszenie przyjęły PSL, Nowoczesna i partia Petru (później rezygnując z obecności), ale nie przybyli przedstawiciele Platformy. W tej sytuacji pomysł upadł, ale głowie państwa nikt nie mógł zarzucić braku dobrej woli. Tego samego wieczoru prezydent udał się na wiec pamięci pod Pałacem Kultury. Nie był bierny także rząd. Minister zdrowia nadzorował osobiście opiekę nad śmiertelnie rannym prezydentem Gdańska, a Mateusz Morawiecki wysłał rządowy samolot, aby żona Adamowicza mogła jak najszybciej wrócić do kraju. Zarządzono żałobę narodową w dniu pogrzebu, a w ubiegły wtorek do momentu pogrzebu – w województwie pomorskim. W katedrze warszawskiej na mszy za duszę gospodarza Gdańska stawili się prezydent Duda i najważniejsze osoby w państwie. Nie tylko nie wyznaczono rządowego komisarza, oddając to stanowisko Aleksandrze Dulkiewicz, pierwszej zastępczyni Adamowicza, lecz także jeszcze Jarosław Kaczyński ogłosił, że PiS nie wystawi kandydata w kwietniowych wyborach na nowego prezydenta Gdańska.

Politycy PO, tacy jak Joanna Kluzik-Rostkowska, przyjęli wszystkie te gesty rządzącej partii z lekceważeniem. „Decyzja PiS o rezygnacji z wystawienia kandydata w Gdańsku słuszna. Tyle że wynika wyłącznie z politycznej kalkulacji [...]. Nie ma żadnego związku ze szlachetnością czy

eprasa.pl e3336b6748

pokorą wobec sytuacji" – pisała Kluzik-Rostkowska.

Skala ataków na telewizyjne „Wiadomości", które skądinąd mogły darować sobie w dniu śmierci Adamowicza przypominanie agresywnych wypowiedzi polityków PO – mogła wskazywać, że poza programem informacyjnym TVP – opozycji nie było się do czego przyczepić. No chyba że do spóźnienia się Kaczyńskiego i paru innych posłów PO na minutę ciszy w Sejmie ku czci Adamowicza.

Na wysokości zadania stanął metropolita gdański abp Sławoj Leszek Głódź. Już w wieczór tragedii odwiedził w szpitalu gasnącego Pawła Adamowicza, a po jego śmierci bez zwłoki zaproponował rodzinie pochówek prezydenta w bazylice Mariackiej. W poruszających słowach wezwał, by tragedia była impulsem do walki z nienawiścią w polityce. W czasie premiery filmu „Kler" często utożsamiano najbardziej odrażającą moralnie postać filmu z metropolitą gdańskim. Teraz, w chwili tragedii, abp Głódź potrafił wznieść się ponad dawne urazy i ująć wszystkich swym człowieczeństwem. Tym różnią się projekcje „Kleru" od prawdziwego Kościoła.

I jeszcze jedna refleksja. Tuż po zranieniu prezydenta Gdańska jego rzeczniczka poprosiła osoby wierzące o modlitwę za jego życie. Jeden z internautów skomentował: „Tam, gdzie zaczyna się tragedia, tam kończy się rozdział Kościoła od państwa".

ZAMIANA RÓL CZY ODMIENNE STANDARDY?

W jakimś sensie w zeszłym tygodniu doszło do odwrócenia ról z okresu po katastrofie smoleńskiej. Tak jak ponad osiem lat temu przyjaciele Lecha Kaczyńskiego wspominali o atmosferze niechęci wokół prezydenta za życia – tak teraz ludzie z kręgu Adamowicza wypominali wcześniejsze ataki na gospodarza Gdańska. Tak jak w 2010 r. publicyści krytyczni wobec Lecha Kaczyńskiego podkreślali, że śmierć nie może zamknąć pola do ocen jego prezydentury – tak i teraz po prawej stronie pojawiły się obawy, że mord na prezydencie Gdańska posłuży do jego świeckiej kanonizacji. O ile jednak osiem lat temu w krytykę pochówku na Wawelu zaangażował się np. Andrzej Wajda – o tyle po prawej stronie nikt znany nie skrytykował decyzji abp. Głodzia o złożeniu ciała prezydenta w bazylice Mariackiej. W ofensywie jest dziś raczej strona liberalna.

Kamil Dziubka, reporter Onetu, w oskarżycielskim tonie wypomniał politykom PiS, że dziś chylą czoła przed zmarłym, a jeszcze niedawno z nim wojowali. „Przypominam, że półtora miesiąca temu MKiDN zmniejszyło o 3 mln zł dotację na sztandarowy projekt Pawła Adamowicza, czyli Europejskie Centrum Solidarności" – pisał dziennikarz. „Liczą się czyny, nie słowa". To przykład nowej linii ataku. Każdy spór czy różnica zdań z prezydentem Gdańska za jego życia mogą być teraz traktowane jako oskarżenie wobec tych, którzy z nim się nie zgadzali. Podobnie jak po Smoleńsku odezwały się głosy wzywające do refleksji nad stopniem wrogości w polskiej polityce. Nie ma w tym nic dziwnego.

Na sprzeciwie wobec nienawiści można wybudować atmosferę walki z przeciwnikiem politycznym. Czyli mówiąc lapidarnie – nienawidząc nienawiści, też można nienawidzić innych

Każdy mord publiczny jest szokiem i wywołuje chęć jakiejś przemiany w kierunku dobra. W polskiej debacie publicznej padają mocne i bardzo złe słowa, z różnych stron. Przezwyciężyć to można tylko wspólnie. Co rusz pojawiają się głosy, że warto zawiesić na kołku swoje ambicje i zastanowić się nad jakąś formułą, która jest możliwa dla wszystkich, aby powiedzieć, że odrzucamy konsekwencje nienawiści.

Tyle że w przypadku śmierci w Gdańsku już sama diagnoza przyczyn mordu na Adamowiczu nie ułatwia komunikacji między zwaśnionymi obozami. Uznanie, że mord był zbrodnią polityczną, a nie czynem szaleńca, już ustawia PiS w roli moralnego sprawcy.

Pasuje to do retoryki Adama Michnika, który od dawna dzieli Polskę na spadkobierców Gabriela Narutowicza i tych, którzy są spadkobiercami jego morderców. To wygodne ustawianie jednych w roli szlachetnych, a drugich w roli naznaczonych zbrodnią.

Taki chwyt psychologiczny powoduje uczulenie na prawicy na sytuację, w której na sprzeciwie wobec nienawiści można wybudować atmosferę walki z przeciwnikiem politycznym. Czyli mówiąc lapidarnie – nienawidząc nienawiści, też można nienawidzić innych.

Przykładem na to, jak jedno zdanie może zmienić sens w większości słusznego apelu, był zainicjowany przez pismo „Liberte" apel: „Powstrzymajmy mowę nienawiści". Zawierał wezwania do refleksji nad zaostrzaniem się dyskursu publicznego w Polsce. Zawierał jednak też jedno zdanie o potrzebie Lex Adamowicz, które zajmie się penalizacją mowy nienawiści w przestrzeni publicznej. Problem w tym, że już sama nazwa Lex Adamowicz sugeruje, że prezydent Gdańska zmarł wskutek akcji motywowanej politycznie. Tymczasem wszystko – jak na razie – wskazuje, że mieliśmy do czynienia z czynem osoby mającej kłopoty z psychiką. A wszelkie ustawy penalizujące mowę nienawiści mogą okazać się pałką na wolność słowa. Jednostronną, bo to lewica ma ambicje, by jeden hejt uznawać za zło absolutne, a inny np. za wolność sztuki. Dobrą ilustracją tego problemu była informacja z warszawskiego teatru, w którym grana jest od ponad roku głośna sztuka „Klątwa". Media doniosły, że we wtorek 15 stycznia, dzień po śmierci Adamowicza, podczas spektaklu zamiast sceny, w trakcie której mowa jest o zbiórce pieniędzy na wynajęcie płatnego zabójcy Jarosława Kaczyńskiego, była minuta ciszy. W ten sposób media przypomniały, że scena ta była odgrywana od miesięcy i nikogo to nie oburzało. Trzeba było sytuacji, gdy rzeczywistość dodała jej upiornego kontekstu, by aktorzy zawahali się w swej dezynwolturze. Jak szybko wrócą do odgrywania scenariusza „Klątwy" w dawnym kształcie?

Równie dużo emocji wywołała deklaracja prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego, że gdański mord to impuls do wprowadzenia zajęć w szkołach o tolerancji. Tyle że w zaprezentowanym materiale szkolnym wśród symbolicznych ofiar hejtu byli imigranci, a nie było księży katolickich – częstych ofiar nienawiści.

Rok podwójnej kampanii wyborczej będzie kipiał od emocji politycznych. Dla opozycji pokusa, by grać sprawą Adamowicza, będzie bardzo silna. Pozostaje tylko wiara w jakieś granice politycznej przyzwoitości wynikłe z lęku przed reakcjami elektoratu. Bo to on będzie jurorem w tej sprawie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

NOWOCZESNY SPOSÓB NA NOWE AUTO!

SIXT drivesmart by bp

Unikalny program długoterminowego najmu samochodów opracowany wspólnie przez Sixt rent a car oraz BP. W naszej ofercie znajdziesz bogato wyposażone auta wielu marek w każdym segmencie. Okres najmu od 6 do 24 miesięcy. Po zakończeniu umowy po prostu zwracasz nam auto i wybierasz nowe. Proste i nowoczesne!

TYLKO **750 zł** MIESIĘCZNIE

Fiat 500
bp limited edition

TYLKO **1060 zł** MIESIĘCZNIE

Toyota Yaris

Wyróżnia nas niska opłata miesięczna, bez kosztów wstępnych oraz szeroki wachlarz świadczeń zawartych w cenie:

- **Ubezpieczenie** – pełne ubezpieczenie AC/OC
- **Assistance 24h** – pomoc drogowa 24h
- **Opony** – opony letnie i zimowe
- **Serwis** – przeglądy, serwis, naprawy
- **Karta paliwowa** – paliwa w korzystnej cenie

Więcej informacji na www.sixtdrivesmart.pl

eprasa.pl e3336b6748

Wzorzec Narutowicza

Rafał A. Ziemkiewicz

W polskiej polityce matryca Niewiadomskiego-Narutowicza wykorzystywana jest już instynktownie

Wszystko jest do mdłości przewidywalne i – niestety – absolutnie nie do uniknięcia. Ta powtarzalność i nieuniknioność wszystkiego, co musi być politycznym skutkiem mordu dokonanego przez szaleńca na prezydencie Gdańska, nadaje się na jakąś naukową pracę o tym, jak pewne wydarzenia programują zachowania całych narodów, a już na pewno ich elit, na wiele dziesięcioleci.

Bo wszystko, co się dzieje – po raz kolejny – po śmierci Pawła Adamowicza jest odtwarzaniem wzorca największego bodaj sukcesu w dziejach polskiej polityki: arcyskutecznego wykorzystania przez Piłsudskiego i wspierającej go wtedy lewicy oraz liberalnej inteligencji zbrodni psychopaty na pierwszym Prezydencie RP Gabrielu Narutowiczu do zdyskredytowania prawicy i złamania jej dominacji na scenie politycznej. Endecja, której po pierwszych wyborach brakowało zaledwie trzech głosów do samodzielnego wyboru prezydenta, w kolejnych skurczyła się do 10-procentowego marginesu i nigdy już nie odzyskała dawnej siły. A gorliwie kultywowana legenda o „politycznej nienawiści", która jakoby zabiła Narutowicza, wrosła w samo centrum świadomości polskiego inteligenta – m.in. za sprawą znakomitego wiersza Tuwima, bo od czasów Mickiewicza nauczyliśmy się jako naród zastępować polityków i mężów stanu poetami.

Ten wiersz, „Na pogrzeb prezydenta Narutowicza", odczytywali z patosem działacze KOD, którzy zgromadzili się tuż po informacji o śmierci Pawła Adamowicza pod warszawską siedzibą PiS przy ul. Nowogrodzkiej, a potem, na wezwanie prezydenta Trzaskowskiego, pod warszawskim Pałacem Kultury. Ten sam wiersz sparafrazowany przez Marcina Wolskiego rozgrzewał kiedyś zbolałe serca sympatyków PiS od pierwszych chwil po tragedii w Smoleńsku – co budziło wściekłe oskarżenia o „mowę nienawiści" ze strony mediów liberalnych.

Sprawa Narutowicza, nigdy niezdemistyfikowana i „nieprzepracowana", jest może najlepszą ilustracją często na naszych łamach przywoływanego stwierdzenia, że „fałszywa historia jest matką fałszywej polityki".

@

W polskiej polityce wzorzec Niewiadomskiego-Narutowicza wykorzystywany jest już instynktownie. Kiedy, proszę wybaczyć bezduszność opisu, padnie jakiś trup, jakkolwiek powiązany z polityką, instynkt każe wskoczyć okrakiem na jego trumnę i szarżować na niej na wrogie szeregi. Nieważne, co jest w akcie zgonu i jakie były okoliczności zdarzenia – to one muszą zostać dostosowane do politycznej kampanii, nie odwrotnie.

Także dlatego, że wzorzec dostarcza sprawnych narzędzi przypisywania odpowiedzialności za tragiczne zdarzenie praktycznie każdemu, komu chce się ją przypisać – stąd się biorą pojęcia „atmosfery nienawiści", „odpowiedzialności moralnej". Historyczny morderca prezydenta Narutowicza nie był w żaden sposób organizacyjnie ani ideowo powiązany z endecją (przeciwnie, był związany z piłsudczykami – najbliższy współpracownik Komendanta protegował go do służby w elitarnym 5. pułku legionów „zuchowatych", a potem w kontrwywiadzie), jego mętne, mistycyzujące poglądy, które wygłaszał na procesie, łączyły z ideami narodowców tylko najbardziej powierzchowne podobieństwa. Nie ulegało też wątpliwości, że nie był częścią spisku, działał sam, w obłędzie, który kazał mu „złożyć ofiarę na ołtarzu narodowego odrodzenia" z życia prezydenta i z siebie samego.

Ale wystarczyło, że Narutowicz był w ostatnich dniach życia brutalnie atakowany przez endeków, by mordercę prezydenta powiązać na całe dziesięciolecia z jego politycznymi wrogami.

Metoda, jaką wtedy stworzono, jest niezawodna, bo wrogów ma każdy, każdy bywa obiektem publicznej krytyki i ataków – a już politycy szczególnie, to wynika z ich zawodu. Więc o każdym zmarłym można głosić, że zabiła go „atmosfera nienawiści", za którą winę ponoszą polityczni przeciwnicy.

Śmierć małżeństwa Jaroszewiczów wykorzystali postkomuniści (mało kto już dziś pamięta) do histerycznego oskarżenia rozliczeń z PRL i dekomunizacji, których zresztą nie było, ale których się jeszcze wtedy bali. Przemowy postkomu-

eprasa.pl e3336b6748

POSUBOTNIK

FOT. GRZEGORZ BANASZAK/REPORTER

nistów w mediach brzmiały jednakowo, jak spod sztancy – to hasła dekomunizacji, lustracja, nienawiść do PRL doprowadziły do okrutnej zbrodni, popełnionej na byłym premierze i jego żonie. Jak zawsze tak i wtedy ta gra trumnami opłaciła się, skonsolidowała postkomunistów i pomogła im zachować hegemonię na lewicy.

Skutecznie wykorzystano także śmierć Barbary Blidy. Dzisiaj, gdy sprawę zamknęło pięć prawomocnych wyroków sądowych (choć wskutek stronniczości mediów wielka część społeczeństwa zwyczajnie o nich nie wie), możemy powiedzieć z całą pewnością, że nakaz jej zatrzymania był zasadny, a funkcjonariusze zgrzeszyli tylko naiwną uprzejmością. Z raportu komisji sejmowej wynika też jednoznacznie, że była minister wcale nie popełniła samobójstwa, tylko nieumiejętnie próbowała się samookaleczyć, by uniknąć przesłuchania. Te fakty jednak nie przeszkodziły w zbudowaniu narracji o „zaszczuciu" przez PiS „dumnej Ślązaczki", która wolała śmierć niż szykowane jej upokorzenia – narracji, która bardzo przyczyniła się do mobilizacji wyborczej przeciwko PiS i zwycięstwa PO-PSL w 2007 r.

Czy można być tak naiwnym, by sądzić, że w imię jakiejś mgliście pojmowanej „przyzwoitości" znękana trzyletnim pasmem niepowodzeń „totalna opozycja", zafascynowana sposobem, w jaki PiS powrócił do władzy, i starająca się jego drogę jakoś skopiować, przepuści taką okazję, by mieć „swój Smoleńsk"?

@

Wzorzec nieustannie przywoływany traci ostrość, budowane są też kontrwzorce. Oczywiście po tragedii w Smoleńsku również spodziewano się „efektu Narutowicza" – prezydent Kaczyński był przecież celem nieustających, brutalnych ataków, całego „przemysłu pogardy" ze strony obozu liberalnego. Owych nadziei na „Przebudzenie" (jak zatytułowała swój film, dziś można powiedzieć, że raczej oparty na „chciejstwie" niż dokumentujący faktyczną przemianę polskiej mentalności po szoku katastrofy i upokorzeniu rosyjskim „śledztwem") najbardziej spodziewała się – i bała – PO. Dlatego rozwinęła cały kolejny przemysł prowokowania i wyszydzania żałoby i patosu, którym żył PiS.

Jeśli wcześniej istniały w obozie liberalno-lewicowym jakieś tabu w pastwieniu się nad zmarłymi, to musiały pójść w kąt w obliczu grozy utraty władzy i zemsty Kaczyńskiego („on nas wszystkich wsadzi teraz do więzienia" – miał według relacji Roberta Krasowskiego w „Polityce" panikować Tusk bezpośrednio po katastrofie). Zastosowana wtedy strategia była prosta: z jednej strony, poniżając nieżyjącego prezydenta i ofiary, organizując rozmaite prowokacje odczłowieczające żałobników, ośmieszające ich, „niszczące godnościowe podstawy" ich narracji (jak sam zdefiniował swą działalność Janusz Palikot), prowokować smoleńskich celebrantów do agresji. Z drugiej – wykorzystywać tę agresję do propagandowego sformatowania PiS jako „smoleńskich nienawistników" i zamknąć w getcie irytacji, a nawet gniewu poszczutej przeciwko nim „fajnej" Polski, która nie chce wciąż wdychać dymu kadzideł i „dusznych oparów polskiego mesjanizmu".

Ta strategia udała się tylko częściowo. Rzeczywiście, poczucie gniewu i doznanej „Pogardy" (by przypomnieć kolejny z „formacyjnych" filmów Marii Dłużewskiej i Joanny Lichockiej) mocno zradykalizowało PiS i przesunęło przyzwolenie na agresję, usprawiedliwioną „szczaniem na znicze" i innymi przejawami zbydlęcenia przeciwników. Nie spowodowało to jednak trwałej marginalizacji PiS jako „szukających zemsty nienawistników".

Śmierć Pawła Adamowicza – podobnie jak wcześniej śmierć zamordowanego z nienawiści do PiS Marka Rosiaka i podobnie jak stosunkowo niedawno samospalenie w proteście przeciwko PiS Piotra Szczęsnego – była na swój sposób oczekiwana, nie jako jego konkretnie śmierć, ale jakaś kolejna śmierć, pasująca do tak dobrze przećwiczonego i czekającego na kolejne użycie wzorca. Wszystkie reakcje, mechanizmy, odruchy jej wykorzystania są już przećwiczone i właściwie same się narzucają. Od pierwszej chwili. W tym wypadku tą pierwszą chwilą były głosy rozbrajające ewentualne skrupuły po „naszej" stronie.

Profesor Maciej Kisilowski, ekspert z uczelni Sorosa w Budapeszcie, często publikujący w polskich i zagranicznych pismach, już w pierwszych godzinach po tragedii opublikował w serwisie Politico.eu kuriozalną przestrogę, by nie poddać się teraz żadnym wezwaniom do „pojednania narodowego" czy „wyciszenia sporu", których na pewno użyje PiS-owska władza po to, by wykorzystać śmierć Adamowicza tak samo, jak Hitler wykorzystał spalenie Reichstagu. Dziennikarka „Polityki" Ewa Siedlecka wzywała równolegle: „nie bądźmy dłużej kneblowani własną przyzwoitością", a Eliza Michalik apelowała, by „skończyć wreszcie z taryfą ulgową wobec Kaczyńskiego" (!).

Maszyna, mówiąc krótko, ruszyła. Czy wyprodukuje oczekiwaną przez opozycję zmianę nastrojów społecznych?

Potem – z góry wiadomo, mniej lub bardziej idiotyczne próby wmówienia, że Stefan W. zabił, bo słyszał krytykę WOŚP i oglądał „plastusie" w TVP, pełne agresji i nienawiści wiece „przeciwko nienawiści", wskazujące, że „nienawiść" to PiS…

Maszyna, mówiąc krótko, ruszyła. Czy wyprodukuje oczekiwaną przez opozycję zmianę nastrojów społecznych, czy skończy się, jak w wypadku śp. Piotra Szczęsnego, chwilowym wzmożeniem w obrębie własnego, najbardziej „żelaznego" elektoratu? Na to pytanie pewnej odpowiedzi jeszcze nie znamy, trzeba będzie poczekać na badania opinii publicznej za dwa, trzy tygodnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

Wojciech Wybranowski

Zabójca z Oliwy

Po zabójstwie prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza podczas gdańskiego finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy pozostają do wyjaśnienia liczne wątpliwości

Nigdy nie pracował, nie uczył się, za to lubił ostro żyć. Miał nasilające się problemy natury psychicznej, zdarzało mu się „słyszeć głosy", a matka ostrzegała przed niepokojącym zachowaniem syna. 13 stycznia Stefan W. zamordował prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Prokuratura sprawdza, z kim się kontaktował przed zabójstwem i czy ktoś mógł wiedzieć o jego planach.

„Stefanek" – mówi o nim jego kolega z Gdańska-Oliwy. Tak żartobliwie nazywali Stefana W. znajomi z tzw. dzielni. Nigdy nie miał ich wielu, uchodził za typ samotnika, część z tych, którzy mieli z nim bliższe relacje, teraz pospiesznie usuwa jego profil ze znajomych na Facebooku. Mało kto chce o nim dziś także rozmawiać. „Nie był towarzyskim typem, ale tym znajomym, których miał, lubił imponować, miał taki ciąg, żeby go uważali za » gościa «" – mówi nam o Stefanie W. jeden z nich. Być może dlatego wśród niewielu zdjęć, które Stefan W. zamieszczał na swoim profilu społecznościowym, sporo jest tych z wyprawy na Karaiby albo zamieszczona jest fotografia, na której stoi w towarzystwie popularnego kulturysty, Roberta Burneiki, znanego jako „Hardcorowy Koksu".

13 stycznia Stefan W., 27 lat, zaledwie cztery tygodnie po wyjściu z zakładu karnego, w którym spędził ponad pięć lat, wybrał się na Targ Węglowy w Gdańsku, na organizowany tam finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Przedostał się na scenę najprawdopodobniej przez błędy osób zabezpieczających imprezę oraz dzięki sfałszowanemu identyfikatorowi „Media" i trzykrotnie ugodził prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza nożem. Następnego dnia Adamowicz zmarł – według prokuratury bezpośrednią przyczyną śmierci prezydenta Gdańska był wstrząs krwotoczny. Stefan W. po dokonaniu ataku przez blisko minutę, nieniepokojony, krążył po scenie, wznosił w górę ręce w geście podpatrzonym u zawodników sportów walki i krzyczał: „Nazywam się Stefan W. [...]. Siedziałem niewinny w więzieniu. Platforma Obywatelska mnie torturowała. Dlatego właśnie zginął Adamowicz".

– Z punktu widzenia procesowego nie znamy motywów jego działania. W trakcie składania wyjaśnień nie powtórzył już tego, co – jak wynika z zarejestrowanych nagrań – krzyczał ze sceny – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" prok. Grażyna Wawryniuk z Prokuratury Okręgowej w Gdańsku. Dodaje też, że w trakcie składania wyjaśnień zabójca prezydenta Adamowicza do tej pory nawet słowem nie powiedział, dlaczego zaatakował właśnie gdańskiego włodarza.

Już po zatrzymaniu Stefana W. część mediów podała – powołując się m.in. na informacje mające pochodzić rzekomo od bliskich ofiary lub źródeł śledztwa, że mężczyzna miał odgrażać się, że zrobi w Warszawie „coś wielkiego", sugerować zamach na wielką skalę. Miał też mówić, że nienawidzi polityków, którzy wsadzili go do więzienia.

– Nie informujemy o treści złożonych przez niego zeznań, wszystkie są teraz sprawdzane. Powtórzę: nawet słowem nie odniósł się do motywów swojego czynu, w trakcie składania wyjaśnień nawet nie powtórzył tego, co wykrzyczał na scenie – mówi nam prok. Grażyna Wawryniuk.

W piątek Polska Agencja Prasowa poinformowała, powołując się na źródła śledztwa, że Stefan W. miał chcieć wedrzeć się do Pałacu Prezydenckiego w Warszawie. Pytani przez nas o to śledczy mówią jednak, że na tym etapie postępowania nie są w stanie potwierdzić, czy doszło do takiego zdarzenia, czy chory na schizofrenię mężczyzna je sobie wymyślił.

– Tak jak panu powiedziałam, sprawdzamy, co wydarzyło się od momentu, gdy Stefan W. opuścił zakład karny. Wszystkie pojawiające się informacje są weryfikowane. Poprosiliśmy o zabezpieczenie i przekazanie nam monitoringu spod Pałacu Prezydenckiego, sprawdzimy, czy

eprasa.pl e3336b6748

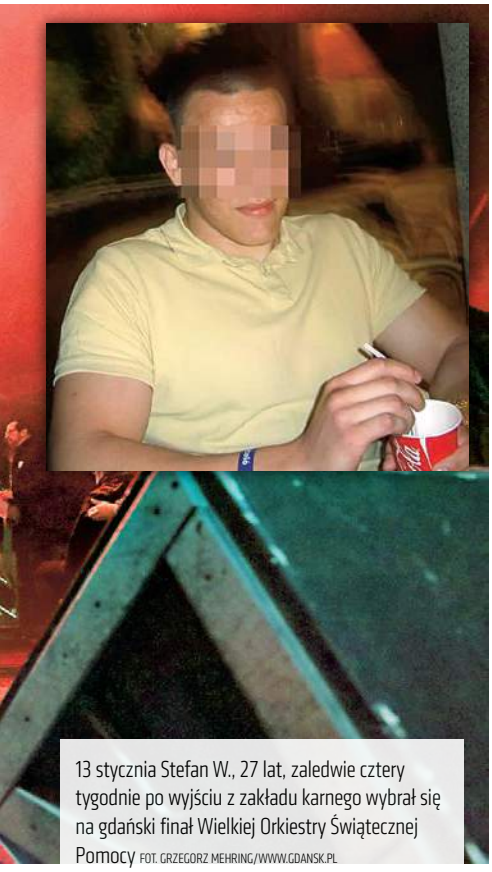

13 stycznia Stefan W., 27 lat, zaledwie cztery tygodnie po wyjściu z zakładu karnego wybrał się na gdański finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy FOT. GRZEGORZ MEHRING/WWW.GDANSK.PL

takie zdarzenie miało miejsce – twierdzi Wawryniuk.

Śledczy muszą też ustalić, czy i jaki wpływ na dokonanie zbrodni miała pogłębiająca się choroba psychiczna mordercy, w jaki sposób udało mu się przedostać w to miejsce, do którego osoby postronne nie miały wstępu. I wreszcie – czy ktoś z jego znajomych mógł wiedzieć o zamiarze morderstwa lub nawet pomóc mu w przygotowaniu się do tego czynu.

– Ustalamy osoby, z którymi miał kontakt, zmierzamy do stwierdzenia tego, czy ktokolwiek mógł mu pomóc albo czy którakolwiek z osób, z którymi miał styczność, mogła mieć informację, że mężczyzna planuje zamach na prezydenta – mówi nam prok. Wawryniuk.

Coraz więcej za to wiadomo już o przeszłości Stefana W. Kolejne informacje, które napływają ze służby więziennej, z ustaleń prokuratury i policji oraz od lekarzy psychologów, pozwalają na tym etapie wykluczyć, że zbrodnia, którą popełnił, mogła mieć charakter mordu politycznego.

„SPUŚCIĆ KOMUŚ WPIER..."

Niewielkie mieszkanie w kamienicy w Oliwie, wielodzietna rodzina. Matka, wykształcona, ciężko pracująca jako przedszkolanka, ojciec (zmarł kilka lat temu) na rencie. Z trudem wiążą koniec z końcem, by zapewnić dzieciom utrzymanie i dobre wykształcenie. Ze „Stefankiem" miewają problemy, nie chce chodzić do szkoły, często wagaruje. Wpada w złe towarzystwo, włóczy się z kolegami po opuszczonych, podupadłych budynkach, nauczyciele przyłapują go pijącego alkohol na skarpie w pobliżu szkoły. Jak wynika z dotychczasowych ustaleń śledczych, pojawiają się też problemy z narkotykami i skłonność do niczym nieuzasadnionej agresji.

– Część przesłuchanych świadków wyznała, że lubił się popisywać, na dyskotekach szukał zaczepki, prowokował awantury. Na tym etapie nie ustaliliśmy jeszcze, czy trenował sporty walki, na pewno bywał częstym gościem lokalnej siłowni, „wyciskał", podobno zażywał „koks" – słyszymy od osoby z kręgów policyjnego śledztwa [po zamachu na Adamowicza we krwi zabójcy nie wykryto śladów alkoholu ani dopalaczy – przyp. red.].

„Dziennik Bałtycki" przytacza opowieść jednego z sąsiadów Stefana W., który twierdzi, że młody mężczyzna w dzieciństwie miał sprawiać wrażenie niezrównoważonego.

– Już jako nastolatkowi zdarzyło się, że bez powodu rozbił koledze na głowie szklaną butelkę. Nigdy nie ukrywał, że lubił bić ludzi, i chętnie się tym chwalił, mówił, jak fajnie jest spuścić komuś wp…dol – mówił mężczyzna w rozmowie z „DzB".

Skłonność do agresji prawdopodobnie wynikała z problemów natury psychicznej. Matka Stefana W. zeznała w śledztwie, że w młodości korzystał z porad w gdańskiej poradni zdrowia psychicznego. Według nieoficjalnych informacji podejrzewano początki schizofrenii. Później, już w trakcie pobytu w więzieniu, do którego mężczyzna trafił w 2013 r., choroba prawdopodobnie się nasiliła.

– Jesteśmy dopiero na etapie sprawdzania sytuacji zdrowotnej sprawcy przed momentem zdarzenia. Gromadzimy dokumenty i informacje o chorobach, które mógł przechodzić, zostaną one przekazane biegłym celem wydania stosownej opinii – mówi nam jeden z gdańskich śledczych. – Jednak są to czynności, które zostaną wykonane w dalszym etapie, nie tu i teraz.

W rodzinie Stefana W. się nie przelewało. Brakowało pieniędzy, zwłaszcza po śmierci ojca, który zginął w wypadku samochodowym. Pensja mamy nie wystarczała, młodzieniec opuszczał zajęcia szkolne i włóczył się po popularnych niewielkich klubikach z automatami do gier. Często można w nich zarówno łatwo zagrać w bilard, strzelankę, jak i kupić narkotyki. Na to potrzeba było jednak pieniędzy. Wtedy pojawiły się rozboje. Z opowieści osób znających zabójcę Adamowicza wynika, że swoją przestępczą karierę zaczynał od kradzieży telefonów komórkowych, zrywanej dziewczynom na ulicy biżuterii, drobnych ulicznych wymuszeń.

Edukację zakończył na szkole podstawowej, bo nauka go nie pociągała. Nigdy też nigdzie oficjalnie nie pracował. Za to miał inną pasję: broń, zwłaszcza noże. Ta wiedza najprawdopodobniej przydała mu się, gdy do zabójstwa Adamowicza wybrał potężny nóż desantowy, którym mógł przebić ciepłą kurtkę, marynarkę i odzież ofiary.

NAPAD JAK Z FILMU

Przełom lat 2012 i 2013 to nie tylko na Wybrzeżu plaga napadów na małe agencje bankowe. Powtarzają się regularnie, łupami bandytów padają niewielkie kwoty. Tak jest i w przypadku napadu na placówkę SKOK we Wrzeszczu 8 maja 2013 r. Do niewielkiego pomieszczenia wchodzi Stefan W., wówczas mający 22 lata. Twarz zakrywają mu ciemne okulary, w rękach trzyma strzelbę śrutówkę. Terroryzuje pracowniczkę banku, żąda wydania pieniędzy. Nie ma tego dużo, ok. 2 tys. zł, więc tydzień później napada na kolejną gdańską placówkę SKOK. Tym razem wiatrówkę zastępuje rewolwer alarmowy z amunicją hukową, z którego strzela w sufit. Rabuje ok. 7 tys. zł. Za te pieniądze wyjedzie na kilkanaście dni na Wyspy Kanaryjskie.

Fotografiami z egzotycznego wypadu pochwalił się na swoim profilu faceboo-kowym. Piękne widoki, palmy i samotność. Na żadnym ze zdjęć, które zamieścił Stefan W., nie ma ani damskiego, ani męskiego towarzystwa.

„Jemu odpowiadało towarzystwo starszych kumpli. A panienki? Jakieś tam były, ale nigdy nie widziałem, żeby wrzucał zdjęcia z dziewczynami" – napisał nam jeden z facebookowych znajomych Stefana W.

„Przed napadami pamiętam go jako normalnego chłopa. Chodził na siłownię, graliśmy razem w »Tibię« (ktoś tam z jego rodziny miał nieźle zarabiający serwer prywatny). Byłem z nim na manifestacji przeciwko ACTA, pamiętam, jak mi opowiadał, że ma zamiar zmierzyć się z dzikiem w lesie (siłować się z nim czy coś) i wrzucić to na YouTube. Taki pozytywny wariat" – opisywał na portalu Wykop internauta, który twierdzi, że jest znajomym Stefana W.

Po powrocie z Wysp Kanaryjskich Stefan W. jeszcze przez nieco ponad dwa

eprasa.pl e3336b6748

tygodnie pozostaje na wolności. W tym czasie napada jeszcze na dwa banki – kolejną placówkę SKOK i placówkę Credit Agricole na gdańskiej Zaspie. W tym drugim przypadku ma już wspólnika, mężczyznę, który czeka na Stefana W. z zamówioną wcześniej taksówką. Ucieczka z miejsca napadu kończy się dla bandytów zatrzymaniem. Trafiają do aresztu śledczego. Już w trakcie procesu Stefan W. mówił, że skoro pieniądze należały do „systemu bankowego", to znaczy, że były niczyje i on mógł je wziąć.

Karą, która groziła rabusiom, było 15 lat pozbawienia wolności, ale i prokuratura, i sąd wzięły pod uwagę dotychczasową niekaralność sprawców oraz ich młody wiek.

Stefan W. został 29 maja 2014 r. skazany na karę łączną pięciu lat i sześciu miesięcy pozbawienia wolności, jego wspólnik na rok i 10 miesięcy więzienia. Pół roku później Sąd Apelacyjny w Gdańsku utrzymał wyrok w mocy.

NARASTAJĄ PSYCHICZNE PROBLEMY

– Zakończył odbywanie kary pozbawienia wolności 8 grudnia 2018 r. Karę odbył w całości – informuje nas Elżbieta Krakowska, rzeczniczka prasowa Służby Więziennej. Odmawia odpowiedzi na pytania o problemy, które sprawiał więzień w trakcie pobytu, a także o jego relacje z innymi osadzonymi.

Tymczasem – jak wynika z dotychczasowych ustaleń śledztwa – Stefan W. co najmniej trzykrotnie składał wniosek o warunkowe skrócenie kary. Za każdym razem kończyło się decyzją odmowną. Powód? Zachowanie więźnia. Nasze źródła mówią, że strażnicy i opiekunowie odnotowywali, iż był agresywny, prowokował współwięźniów do bójek, kilkakrotnie był izolowany. W trakcie ponadpięcioletniej odsiadki trzykrotnie otrzymał karę dyscyplinarną, tylko raz – pochwałę, a prognoza kryminologiczno-społeczna w jego przypadku była negatywna.

Czy pobyt w więzieniu nasilił u niego chorobę psychiczną? Kiedy w 2013 r. sąd skazywał go na karę pozbawienia wolności w wymiarze pięciu lat i sześciu miesięcy, biegli uznali go za człowieka będącego w pełni władz umysłowych. Tymczasem już w trakcie pobytu w zakładach karnych Stefan W. musiał korzystać z profesjonalnej pomocy psychiatrycznej w Oddziale Psychiatrii Sądowej w Szczecinie, gdzie miano zdiagnozować u niego schizofrenię paranoidalną.

Stefan W. na swoim profilu facebookowym pochwalił się fotografiami z egzotycznego wypadu FOT. FACEBOOK

Chcieliśmy wiedzieć, czy Służba Więzienna miała sygnały, że Stefan W. w trakcie odbywania kary mógł paść ofiarą przemocy ze strony innych współwięźniów, co ewentualnie mogłoby spowodować u niego zaburzenia natury emocjonalnej i psychicznej.

– Brak jest jakichkolwiek informacji, aby osadzony był ofiarą szykan ze strony innych skazanych – twierdzi ppłk Elżbieta Krakowska, rzecznik Służby Więziennej.

Dziennik „Rzeczpospolita" ujawnił, że w trakcie osadzenia Stefan W. był badany przez psychiatrów ponad 20 razy, zapisano mu także leki, które miał regularnie zażywać. Już dziś wiadomo, że odstawił je na kilka tygodni przed wyjściem z więzienia.

Portal trójmiejskiego wydania „Gazety Wyborczej" ujawnił – a policja potwierdziła tę informację – że tydzień przed opuszczeniem więzienia przez Stefana W. jego matka informowała policję, iż stan psychiczny syna się pogarsza. Według kobiety syn miał „słyszeć głosy" i mówić, że „nienawidzi polityków", oraz obwiniać ich o to, że znalazł się w więzieniu. Policja o sprawie informowała zakład, w którym Stefan W. odbywał karę, i poprosiła o podjęcie przewidzianych prawem działań, ale kierownictwo zakładu karnego Gdańsk-Przeróbka nic dalej z tym nie zrobiło.

Służba Więzienna twierdzi, że psychiatrzy, którzy zajmowali się Stefanem W. w trakcie odbywania kary, nie stwierdzili u niego zaburzeń, które kwalifikowałyby go do zastosowania wobec niego przepisów o dalszym przymusowym systemie terapeutycznym. „Służba Więzienna zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa nie może informować o charakterze ewentualnych chorób skazanego, jednak możemy stwierdzić, że w przypadku Stefana W. nie zostały wyczerpane przesłanki z ustawy o bestiach" – czytamy w przesłanym nam oświadczeniu.

Z kolei od osoby związanej z organami ścigania słyszymy, że Stefan W. miał ponoć współosadzonym opowiadać, że najchętniej pozabijałby tych, którzy wpakowali go za kratki. Nasz informator mówi, że w mężczyźnie mogło narastać przekonanie, iż skoro „pieniądze były niczyje" – jak mówił w trakcie procesu – to do więzienia trafił bezpodstawnie, a więc został skrzywdzony.

KILKA WAŻNYCH PYTAŃ

Do napadów na banki Stefan W. przygotowywał się, korzystając z Internetu i podpowiedzi, sugestii oraz wskazówek, które znajdował m.in. na forach internetowych. Czy w ten sam sposób przygotował się do zabójstwa Adamowicza, czy ktoś wcześniej mógł wiedzieć o jego planach, a może nawet podżegać – chorego, jak wiele na to wskazuje – mężczyznę do zbrodni? To pytanie, na które prokuratura teraz stara się odpowiedzieć. Musi też znaleźć odpowiedź na pytanie, czy impreza finałowa Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy była właściwie zabezpieczona i dlaczego blisko minutę po zamachu na Adamowicza zabójca jeszcze mógł krążyć po scenie i chełpić się przed widzami popełnioną zbrodnią.

Dzisiaj ani odpowiedzialna za ochronę wydarzenia agencja Tajfun, ani organizatorzy imprezy ze sztabu Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy nie mają sobie nic do zarzucenia, ale wątpliwości nie brakuje, także co do tego, kto i dlaczego przy organizacji gdańskiego finału WOŚP uznał, że nie musi on podlegać wymogom ustawy o organizacji imprez masowych. Wreszcie – w jaki sposób Stefan W. przedostał się do chronionej strefy, w pobliże VIP-ów. Według medialnych informacji posłużył się w tym celu sfałszowaną, wydrukowaną na domowej drukarce plakietką z napisem „media", a to może wskazywać, że organizatorzy wydarzenia nie zadbali w sposób właściwy o bezpieczeństwo przebywających tam VIP-ów. Prokuratura dopiero jednak, bada czy Stefan W. w ogóle posiadał taki identyfikator.

– To, czy Stefan W. posłużył się plakietką „media", w jaki sposób ją zdobył, czy wykonał ją sam, czy ktoś mu dostarczył wzór – to wszystko jest obecnie na etapie sprawdzania – mówi nam prok. Wawryniuk.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

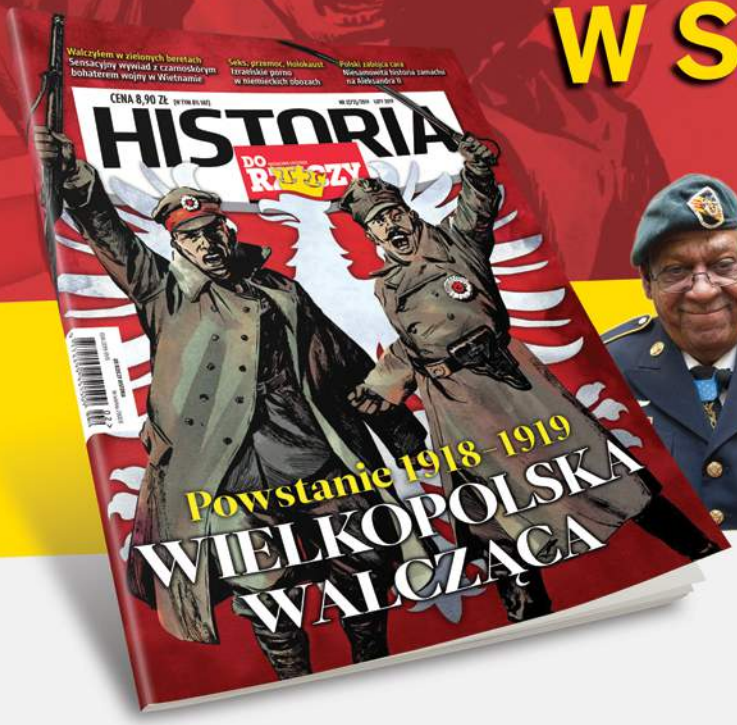

WALCZYŁEM W WIETNAMIE
WYWIAD Z BOHATEREM ZIELONYCH BERETÓW

Marek Rezler – **Wielkopolska Walcząca**
Marcin Bartnicki – **Niemiecki plan ataku na Warszawę**
Piotr Zychowicz – **Seks, przemoc i Holokaust**
Piotr Włoczyk – **Tajemnica syberyjskiego meteorytu**
Nikołaj Iwanow – **Zagadka zdrady generała NKWD**
Zvika Greengold – **Byłem asem pancernym Izraela**
Piotr Semka – **Rosenbergowie: śmierć atomowych szpiegów**
Sławomir Koper – **Polski zabójca cara**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl e3336b6748

Z Błażejem Spychalskim, sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta RP, rzecznikiem prezydenta Andrzeja Dudy
rozmawia Kamila Baranowska

Trzeba mieć nadzieję

KAMILA BARANOWSKA: Po tragicznej śmierci prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza pojawiły się komentarze, że takie są efekty wojny polsko-polskiej, nakręcanej przez polityków, i że czas na opamiętanie.

BŁAŻEJ SPYCHALSKI: Ta tragedia, to morderstwo powinno wszystkich nas uczulić na to, jakie słowa, jakie opinie wypowiadamy w debacie publicznej. Powinniśmy być bardzo ostrożni w ferowaniu sądów czy wyroków. To test na odpowiedzialność zarówno całej klasy politycznej, jak i wszystkich komentatorów naszego życia publicznego. Szukanie zbyt łatwych interpretacji nie jest dobrym rozwiązaniem.

W „Gazecie Wyborczej" i „Rzeczpospolitej" mogliśmy przeczytać o „próbie politycznego zabójstwa" i o „politycznej zbrodni". Wiceprezydent stolicy Paweł Rabiej tuż po ataku na prezydenta Adamowicza stwierdził, że „to ich wina". Ich, czyli rządzących.

Mogę raz jeszcze odwołać się do tego, co powiedziałem przed chwilą. Lepiej zastanówmy się, co zrobić, by do takich sytuacji więcej nie dochodziło, by na tego typu wydarzeniach było bezpieczniej.

Ludzie, którzy pojawili się na marszach przeciwko nienawiści w Gdańsku, Warszawie i innych miastach mówili dziennikarzom, że mają dość politycznych sporów, że atmosfera polityczna w Polsce staje się nie do zniesienia, że warto wyhamować emocje. Może jednak powinno to dać politykom wszystkich partii do myślenia?

Każdy z nas, polityków, powinien przede wszystkim sam dokonać refleksji nad stylem i poziomem debaty publicznej i nad temperaturą sporu politycznego. Proszę też jednak zauważyć, że debata publiczna w Polsce, jeśli chodzi o poziom emocji, ekspresji sporu politycznego, jest podobna do innych państw. Na przykład poziom ekspresji sporu we Francji nie jest niższy. Jeśli ktoś chce zobaczyć, jak silny i brutalny może być spór polityczny, niech włączy amerykańskie telewizje. Oczywiście, nasza polityka mogłaby być lepsza, bardziej wyważona, skupiona na sprawach merytorycznych, a nie na emocjach, ale też trzeba mieć świadomość, że w demokracji tak już jest. Tam, gdzie ścierają się różne stanowiska, zawsze są i będą różnice zdań i emocje temu towarzyszące. Do tego mamy nowe formy przekazu, które wyostrzają sądy, premiują radykalne opinie i nakręcają poziom emocji.

Nie udało się prezydentowi przekonać wszystkich liderów partyjnych, by pójść we wspólnym marszu przeciwko nienawiści. Pomysł był dobry, dlaczego nie wyszło?

Dla nas najważniejsze było uszanowanie zdania rodziny śp. Pawła Adamowicza i wycofanie się z tego pomysłu było tego konsekwencją.

Platforma z góry odrzuciła zaproszenie na rozmowy w tej sprawie. Jak to interpretować?

Przede wszystkim dziękujemy wszystkim tym ugrupowaniom, które na spotkanie w pałacu prezydenckim przyszły. To bardzo ważne, tym bardziej że chodziło o rzeczową rozmowę i wypracowanie wspólnego stanowiska wobec tej tragedii.

Jaki wpływ to, co się wydarzyło w Gdańsku, będzie miało na polską politykę? W tym roku czekają nas dwie kampanie wyborcze, w przyszłym wybory prezydenckie.

Pamiętam wiele deklaracji, które miały miejsce po śmierci Świętego Jana Pawła II, a także po katastrofie smoleńskiej. Jak to się skończyło, wszyscy wiemy. Jestem jednak przekonany, że jeżeli każ-

eprasa.pl e3336b6748

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

dy z nas – uczestników życia publicznego – zarówno politycy, jak i przedstawiciele świata mediów, dokonają pewnego rachunku sumienia i zastanowią się, czy może nie warto zrobić małego kroku w tył, to może istotnie coś się na lepsze zmieni. Życie pokaże, ale zawsze warto mieć nadzieję.

Kiedy zapadła decyzja, że w Polsce ma się odbyć konferencja na temat Bliskiego Wschodu?

Przygotowania takich wydarzeń trwają zwykle kilka miesięcy i tak też jest w tym przypadku. Proszę pamiętać, że to jest konferencja międzyrządowa i współpraca między polskim rządem i administracją USA odbywa się na poziomie rządowym, ministerialnym.

Dla wszystkich było to zaskoczenie. Zwłaszcza że polska opinia publiczna dowiedziała się o wszystkim z amerykańskich mediów, dopiero później pojawiły się wspólne oświadczenia polskiego MSZ i Departamentu Stanu. Nie tak to chyba powinno wyglądać.

Oficjalny komunikat w tej sprawie został wydany przez stronę polską i amerykańską dokładnie w tym samym czasie. Rozmowy toczyły się od miesięcy i kiedy sprawy zostały dopięte, podano to do informacji publicznej. Nie doszukiwałbym się tu sensacji.

A czy pałac prezydencki był zaskoczony ostrą reakcją Iranu, w której stwierdzono, że „Polska jest gospodarzem rozpaczliwego antyirańskiego cyrku"?

Szczyt ma dotyczyć generalnie rozwiązywania problemów na Bliskim Wschodzie, nie tylko Iranu. Stoimy na stanowisku, że na temat sytuacji Bliskiego Wschodu trzeba rozmawiać, trzeba szukać najlepszych dróg rozwiązywania problemów i Polska może odegrać tu pozytywną rolę jako gospodarz takiego spotkania.

W jakich nastrojach pałac prezydencki wszedł w rok 2019? Na poprzednim roku cieniem kładzie się nieudane referendum konstytucyjne, a także nowelizacja ustawy o Sądzie Najwyższym, która cofa zmiany wprowadzone przez prezydenta i przez niektórych jest odbierana jako porażka.

To był bardzo intensywny rok pracy pana prezydenta. W sferze polityki międzynarodowej wydarzyło się bardzo wiele pozytywnych rzeczy. Począwszy od uczestnictwa Polski w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, przez deklarację o strategicznym partnerstwie, którą prezydent Andrzej Duda podpisał wraz z prezydentem Donaldem Trumpem, a która w sposób zdecydowany zwiększa bezpieczeństwo Polski, przez zaawansowane prace nad pomysłem Fort Trump, a kończąc na inicjatywie Międzymorza, w którą do niedawna mało kto wierzył, a która dziś szybko się rozwija. Jeśli chodzi o sferę krajową, to miniony rok był rokiem 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości i uważam, że wydarzenia towarzyszące obchodom tej rocznicy okazały się dużym sukcesem. Ukazał się nawet sondaż, w którym pytano Polaków, co według nich było najważniejszym wydarzeniem w 2018 r. i przytłaczająca większość odpowiedziała, że uroczystości setnej rocznicy odzyskania niepodległości. To pokazuje, że organizacja obchodów mocno wryła się w pamięć ludzi i była dla nich czymś ważnym i w ich ocenie udanym.

W zamyśle prezydenta kluczowym punktem obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości miało być referendum konstytucyjne. Nie wyszło.

Traktujemy to jako element bardzo ważnej ogólnokrajowej debaty o tym, czy nasza konstytucja i zapisy, które się w niej znajdują, nie powinny zostać raz jeszcze przemyślane i zmienione. Debata konstytucyjna, zainicjowana przez pana prezydenta, odbiła się szerokim echem wśród Polaków. Senat niestety nie poparł wniosku prezydenta o przeprowadzenie referendum. Szkoda.

Prezydent ma o to żal do swojego obozu politycznego?

Prezydent żałuje, że senatorowie pozbawili Polaków szansy wypowiedzenia się w kwestii tak ważnej jak konstytucja.

Nie udało się też odesłać sędziów Sądu Najwyższego na emeryturę. Prezydent podpisał nowelizację swojej ustawy, która cofa wprowadzone przez niego zapisy.

To wynika z postanowienia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, więc trudno z tym dyskutować. Wielokrotnie podkreślaliśmy, że przestrzegamy prawa, wyroków sądów.

Powiedział pan ostatnio, że prezydent oczekuje, że parlament zajmie się w końcu projektem ustawy o pomocy dla frankowiczów. Coś się dzieje w tej sprawie?

Prezydent pod koniec zeszłego roku sam odnosił się do tej sprawy i informował, że nie jest zadowolony z tempa prac nad prezydenckimi projektami ustaw. W pałacu prezydenckim odbyło się spotkanie ministra Pawła Muchy z Tadeuszem Cymańskim, który kieruje podkomisją, zajmującą się ustawą frankową, i ministrem KPRM Jackiem Sasinem i padła na nim obietnica, że jeszcze w styczniu odbędzie się posiedzenie podkomisji i projekt ustawy, przepracowany już przez podkomisję, trafi na komisję. Padło na tym spotkaniu, że być może na wiosnę udałoby się tę ustawę uchwalić. Jesteśmy więc dobrej myśli i mamy nadzieję, że tak właśnie będzie, bo to ważne zobowiązanie wyborcze pana prezydenta i ważna pomoc dla wielu osób.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

Z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, prezesem PSL
rozmawia Marcin Makowski

Szacunek dla politycznych oponentów

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

MARCIN MAKOWSKI: Czy myśli pan, że po morderstwie prezydenta Pawła Adamowicza w polskiej polityce coś się realnie zmieni? A może to naiwność i – jak twierdzi wielu komentatorów – zmiany będą, ale na gorsze?

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ: Pamiętam momenty w naszej najnowszej historii, które miały zmienić wszystko. To była śmierć Jana Pawła II, katastrofa smoleńska… szczególnie odchodzenie Ojca Świętego, obserwowane z Krakowa, dawało nadzieje, że tym razem będziemy lepsi. Potem kolejny moment uniesienia narodowego, pogrzeb prezydenta Lecha Kaczyńskiego z małżonką. Staliśmy wszyscy pod swoimi sztandarami – PSL, Solidarność, inne partie i ruchy. Wszyscy razem. Wtedy też wydawało się, że będzie lepiej, i dzisiaj znowu się tak wydaje. Tyle że to trzecia szansa na wyciągnięcie wniosków. Pytanie, czy ją znów zmarnujemy?

Nie ma pan wrażenia, że już ją zmarnowaliśmy?

Chciałbym wierzyć, że nie. Dostrzegam w przestrzeni publicznej stonowanie języka, ale z drugiej strony pewne gesty i czyny, które sugerują, że i tej szansy nie wykorzystamy.

Skupmy się może przez chwilę na pozytywach. Co pana w tych dniach zaskoczyło?

Sądzę, że w większości przypadków politycy, dziennikarze, wszyscy Polacy bardziej uważają na słowa. Od strony formalnej cieszy decyzja przekazania władzy jako komisarzowi wiceprezydent Gdańska oraz deklaracja partii o niewystawianiu kandydatów w przyspieszonych wyborach. Dobre i umiarkowane było również przemówienie Grzegorza Schetyny w Sejmie przed minutą ciszy. Tych kilka gestów, nawet jeśli odosobnionych, dawało nadzieję na uspokojenie nastrojów.

Szybko jednak polityka wróciła na właściwe tory, a o decyzji Jarosława Kaczyńskiego o niewystawianiu kandydata z ust niektórych posłów usłyszałem, że to zachowanie cyniczne, bo i tak PiS nie ma szansy w Gdańsku wygrać.

W każdym geście możemy się doszukiwać cynizmu. Jeśli tak zrobimy, to tym bardziej pogłębimy podziały. Powiem szczerze, że jeśli już mam krytykować, to nie tyle polityków, ile telewizję publiczną. Po tym, co zobaczyłem w „Wiadomościach", ręce mi opadły. Sądzę, że materiał o śp. prezydencie Adamowiczu był źle odebrany nawet przez część polityków PiS.

Jest pan autorem listu do prezesa Kaczyńskiego z żądaniem odwołania Jacka Kurskiego. Sądzi pan, że przyniesie jakiś skutek?

Dodajmy, że listu, pod którym – dobę od publikacji – podpisało się już ponad 14 tys. internautów. Żeby było jasne – w tym, co zrobiłem, nie było jakiejś strategii politycznej. Zareagowałem po prostu na SMS-y, telefony i e-maile wyborców, którzy obejrzeli materiał i byli zszokowani. W dniu śmierci zamordowanego na służbie prezydenta realizuje się politykę niszczenia wspólnoty – kompletny bezsens. To jest złe i głupie.

Co pana konkretnie oburzyło w cytowanym materiale?

Cała jego filozofia. Nigdy się dziennikarstwem nie zajmowałem, ale tego dnia zrobiłbym materiał o człowieku, jego życiu, spotkaniach, które w tym czasie się odbywają, o marszach ciszy i modlitwie. A nie wyciągał jednostronnie cytaty polityków opozycji z przeszłości, stawiając tezę, że tylko oni nakręcają nienawiść. Można było relacjonować rzeczywistość, zamiast kreślić własny, fałszywy scenariusz. Jeśli nawet fotograf prezydenta Dudy skrytykował tamto wydanie, to uzmysławia nam skalę upadku TVP.

Niektórzy politycy i dziennikarze poszli jednak o krok dalej niż pan, twierdząc, że winę za śmierć Pawła Adamowicza ponosi Telewizja Polska, która

eprasa.pl e3336b6748

ostro go podczas kampanii samorządowej krytykowała. Uważa pan, że to słuszne zarzuty?

Jeżeli chcemy, żeby to, co się wydarzyło, zmieniło nas, to wszyscy – z jednej i z drugiej strony – musimy dać sobie na wstrzymanie. Nie marsz do przodu na oślep w przepaść, ale kilka kroków do tyłu. Nie porywałbym się na rozstrzyganie podłoża psychologicznego zamachu, bo go w tej chwili po prostu nie znamy. Takie oskarżenia są przedwczesne, o ile nie błędne.

Wie pan, że w kuluarach mówi się, że mógł pan swoim listem uratować stanowisko Jacka Kurskiego? Nawet jeśli Nowogrodzka sondowała jego przyszłość, w przypadku tak wyraźnej presji politycznej ruchy kadrowe zostały wstrzymane.

Jeśli tak było, to podjęto błędną decyzję. Nie ci, którzy wnioskują o zmianę stylu funkcjonowania TVP, powinni czuć się zakłopotani, że cokolwiek blokują, tylko ci, którzy nie potrafią odważnie zrobić tego, co należy. Do tej pory prezesowi Kaczyńskiemu dziejąca się obok polityka nie przeszkadzała w działaniu według własnego scenariusza. Był przecież w Sejmie złożony wniosek o odwołanie Krzysztofa Jurgiela i też niektórzy mówili, że zablokuje on zmiany na stanowisku ministra rolnictwa. A jakoś nie zablokował, bo został odwołany. Jak prezes chce, to może. Pytanie, czy chce.

W liście apelował pan o uwzględnianie różnych poglądów w TVP. Na Twitterze odpisał panu szef „Wiadomości", twierdząc, że miał pan okazję prezentować swoje poglądy na antenie kilka dni temu.

Owszem, byłem kilka dni temu. A wie pan, kiedy byłem wcześniej? Dwa lata temu. W trakcie całej obecnej kadencji Sejmu – dwa razy. W ciągu trzech lat w „Gościu" przedstawiciel PSL pojawił się cztery razy. Na ponad 700 emisji. To nie oddaje naszego poparcia, nawet jeśli przyjmiemy ostatnie parlamentarne 5 proc. Czy to szansa na prezentowanie różnych poglądów w telewizji publicznej? Wątpię.

Mówiąc bardziej ogólnie o mediach, czy dostrzega pan w nich, również w stacjach, portalach i prywatnej prasie, zbyt mocne zaangażowanie polityczne i podkręcanie nastrojów?

Niestety, to widać. Na co dzień rządzą kliknięcia, a za nimi tematy, które są kontrowersyjne i ostre. Można powiedzieć, że wszystkie media wpadły w tę ślepą uliczkę, ale będę się upierać, iż od niektórych powinniśmy wymagać więcej. Oczywiście to nie jest usprawiedliwienie dla podmiotów prywatnych, aby nie trzymały wysokich standardów. Zbyt wiele w nich ostatnio skrajności, a za mało środka.

Nie ma pan wrażenia, że często media prywatne spychają opozycję do skrajnego narożnika, nawołując do wyrazistszego języka i stawania na barykadzie? Wyłamuje się pan z tego dyskursu i często od tych mediów obrywa.

Myślę, że nie tylko ja, lecz także cały PSL nie jesteśmy ulubieńcami żadnych mediów. Może ze względu na to, że wolimy szukać tego, co łączy, i nie jesteśmy skrajni. Nie odpalamy co chwilę politycznych fajerwerków, ale też nie chcemy się zmieniać. Może krótkodystansowo przynosi nam to straty, spycha się nas na boczny tor, ale nie chciałbym, żebyśmy pod wpływem jakiegoś szantażu zmieniali swoje charaktery. Gdybym się zdecydował na radykalny zwrot, straciłbym wiarygodność. Po prostu taki jestem, czy to się komuś podoba, czy nie.

Przy okazji morderstwa prezydenta Adamowicza w przestrzeni publicznej pojawiły się pomysły wprowadzenia nowych rozwiązań prawnych. Głównie w zakresie penalizowania tzw. mowy nienawiści oraz ściślejszego zabezpieczania imprez masowych. Czy to dobry kierunek?

Jeżeli chcemy wyciągać wnioski z tragicznych sytuacji i chcemy, żeby oddziaływały one na nas nie tylko w pamięci historycznej, to trzeba, aby jakiś pozytywny impuls po nich pozostał. Być może zmiana ustawy o imprezach masowych jest konieczna, ale nie można tych zmian pisać pod wpływem emocji. Trzeba dokładnie przeanalizować sytuację, sprawdzić, co zawiodło, i dopiero na tej podstawie wyciągać wnioski. Dobrze jednak, że taka refleksja w rządzie jest. Tutaj jesteśmy gotowi do współpracy. Jeśli natomiast chodzi o „język nienawiści", zmiana w prawie nic tutaj nie da, bo jeśli nie zmienią się nasze obyczaje, to ostrzejsze zapisy pozostaną martwe. Tutaj też chcemy iść w PSL w ponadpartyjnym sojuszu, ale nie na bazie ustaw, bo o nie pokłócimy się na starcie. Wystarczy, że zaczniemy traktować politycznych oponentów z szacunkiem. Potrafiliśmy się przecież wszyscy spotkać niedawno przy jednym stole i rozmawiać o zielonej energii i od PiS do PO zgodzić się, że w tym kierunku musimy jako państwo zmierzać. Było też po zamachu spotkanie u prezydenta. Wielokrotnie wcześniej sam na takie spotkania chodziłem, bo chciałem dać przykład.

Grzegorz Schetyna specjalnie tego kursu nie popiera.

A z drugiej strony Jarosław Kaczyński nie chodził do prezydenta Komorowskiego na rady bezpieczeństwa narodowego. Do niczego takie zachowanie nie prowadzi, podobnie jak krzyczenie na PSL, że jesteśmy zdrajcami, bo się bratamy z Dudą. To jest chore, że zwykła dyskusja uczestników życia publicznego budzi aż takie emocje. Doszło do tego, że ta nienawiść przeszła na rodziny. Ostatnio usłyszałem, że nie trzeba się dzielić już opłatkiem na Wigilię, bo i tak jesteśmy podzieleni.

Podzieleni, tak jak opozycja i Koalicja Obywatelska?

My od początku mówiliśmy, że do KO nie przystąpimy, bo to wewnętrzna inicjatywa Platformy i Nowoczesnej, i niech taką zostanie. Uważam jednak, że jest potrzeba stworzenia szerszej formuły na nadchodzące wybory.

Czy opozycja musi sobie zrobić rachunek sumienia w kwestii wzajemnego zaufania i partnerstwa?

Ja mam doświadczenie koalicji sejmikowych z PO i tutaj złego słowa nie mogę powiedzieć. To, na co się umawialiśmy, zostało zrealizowane. Oczywiście wina za brak zaufania w polityce nie leży tylko po stronie rządowej. My również musimy się zastanowić, co możemy zrobić lepiej, i wyciągnąć wnioski.

Jakie pana zdaniem wnioski wyciągnie Grzegorz Schetyna z sondaży, które wskazują, że właściwie tylko pan miałby szansę zostać premierem z ramienia opozycji?

Ja w wyścigu o bycie liderem opozycji nie biorę udziału i dzielić stanowisk przed wyborami nie zamierzam. Spokojnie pracujemy nad programem, który zaproponuje wyborcom coś więcej niż „bycie antypisem". Opozycja nie musi być przecież lustrzanym odbiciem władzy, gdzie jest jeden przywódca. Chciałbym, abyśmy odróżniali się pluralizmem. Na razie między nami nie toczą się żadne rozmowy o personaliach.

Zna pan ten żart: Kosiniak premierem, Kamysz prezydentem, a Władysław...

Marszałkiem (śmiech).

Trochę chyba łechce ego?

Ja już wielu widziałem, którzy przed wyborami mienili się królami polskiej polityki. Nie pójdę ich drogą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

FOT. MAREK MALISZEWSKI/REPORTER

Dzikość rządzenia

Łukasz Warzecha

Afera z sanitarnym odstrzałem dzików pokazała, jak łatwo rozpętać w Polsce absurdalną histerię, ale też jak trudno cokolwiek dobrze zorganizować

Planowe odstrzały, mające na celu redukcję populacji poszczególnych gatunków zwierząt, są standardem, nie tylko w Polsce zresztą, lecz także w całej Europie. Przeprowadza się je co roku. Także UE wydaje rekomendację, wyznaczającą pożądany ogólny pułap populacji. Dla Polski oznaczałoby to ok. 135 tys. dzików. Jest ich jednak znacznie więcej. W ubiegłych latach normę odstrzału do wykonania dla polskich myśliwych wyznaczano na pułapie nawet ponad 200 tys. rocznie, wliczając w to odstrzał sanitarny, związany z ASF – chorobą, która atakuje je od ok. pięciu lat.

Wbrew sielankowemu obrazowi dzikiej przyrody, kreowanemu przez zawodowych ekoaktywistów, redukcja populacji – zwłaszcza gatunków, które nie mają naturalnych wrogów lub mają ich niewielu – jest konieczna. Polski Związek Łowiecki wykonuje zadania na rzecz gospodarki narodowej i myśliwi są do tego zobowiązani. Na każdy sezon, na podstawie szacunków spływających z kół łowieckich, nadleśnictwa tworzą tzw. plany hodowlane. W ich ramach prowadzone są odstrzały redukcyjne. Jeśli koło nie wykona nałożonego planu, to grożą mu kary – nawet utrata prawa do polowania w obwodzie, zwanego potocznie dzierżawą obwodu.

MECHANIZM RÓWNOWAGI

Myśliwi, wbrew krzywdzącemu obrazowi „morderców zwierząt", kolportowanemu przez sfanatyzowanych radykałów, działają więc jako bardzo istotny element w mechanizmie utrzymania przyrody w równowadze. Ona sama jest już na tyle zdominowana przez człowieka, przynajmniej na większości obszarów w Europie, że nie jest w stanie regulować się sama.

Z odstrzałem dzików, szczególnie sanitarnym, sprawa jest jednak bardziej skomplikowana. Owszem, ich liczba przez lata rosła drastycznie. To one wyrządzają ogromne szkody w uprawach, ryjąc w poszukiwaniu pożywienia, a także z powodu namnożenia, coraz śmielej podchodzą pod ludzkie siedziby i stają się zagrożeniem dla ludzi. Zgodnie z prawem łowieckim polowanie nie może odbywać się bliżej niż 150 metrów od zabudowań. Myśliwi wskazują, że wiele obwodów łowieckich jest tak ukształtowanych, że niemal uniemożliwia to odstrzał. Tymczasem dziki odznaczają się bardzo wysoką rozrodczością, na poziomie 350–400 proc., i aby utrzymać ich populację na niezmienionym poziomie, w każdym sezonie łowieckim powinno się ich odstrzeliwać tyle, ile jest w danym obwodzie – choć brzmi to paradoksalnie.

Dziki to nie tylko polski problem. Niemieckie media już niemal 10 lat temu alarmowały o pladze dzików zapuszczających się coraz głębiej w obręb berlińskiej aglomeracji i powodujących m.in. wypadki samochodowe. Do redukcji dziczej populacji byli wtedy wynajmowani myśliwi, którym zalecano strzelanie przede wszystkim warchlaków poniżej 15. tygodnia życia, tak aby powstrzymać mnożenie się dzików. Liczby strzelanych dzików u naszych sąsiadów wciąż rosły, również z powodu ASF. W tym sezonie w Niemczech odstrzelono już 800 tys. dzików, ale nie wybuchła wokół tego afera podobna jak w Polsce. Nikt nie mówił o „rzezi".

Co więcej, gdyby w Niemczech polowanie próbowali zablokować aktywiści prozwierzęcy, jak to się dzieje w Polsce, zostaliby spacyfikowani przez policję. U nas takie blokady pozostają na razie bezkarne, ale PZŁ konsultuje się z prawnikami, jak można by zacząć egzekwować prawo do legalnych polowań. Blokujący marnują przecież cudze pieniądze – organizacja każdego polowania czy odstrzału kosztuje.

ZALECENIA A ŻYCIE

W sprawie sanitarnego odstrzału dzików myśliwi znaleźli się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Pierwszy

eprasa.pl e3336b6748

wątek to niebywały chaos organizacyjny i sprzeczne komunikaty płynące z Ministerstwa Środowiska.

– Weźmy głośną kwestię odstrzału prośnych loch. „Każda locha od końca huczki (okres godowy dzików) jest ciężarna, oznacza to okres od połowy listopada aż do wyproszeń" – tłumaczy myśliwy z jednego z kół łowieckich okręgu warszawskiego, a zarazem weterynarz. Mówi, że myśliwy niemal nie jest w stanie z odległości stwierdzić, czy ma do czynienia z odyńcem czy lochą, i dlatego oficjalnie już wystosowane przez ministra Kowalczyka zalecenie, aby do prośnych loch nie strzelać, w praktyce oznacza, że myśliwi w ogóle nie będą strzelać do większych osobników. – Najpierw mam dzikowi wykonać USG, zanim do niego strzelę? – irytuje się mój rozmówca. I dodaje, że jego zdaniem bez odstrzału loch, w tym niestety także ciężarnych, nie da się utrzymać w ryzach populacji dzików. Abstrahując od ASF.

Tyle że z jednej strony mamy pismo ministra, zalecające niestrzelanie do prośnych (a więc w praktyce – do wszystkich) loch, a z drugiej ustalane przez ministerstwo ryczałty za dokonany odstrzał. Za lochę – 650 zł, za dzika – dwa razy mniej. Jak to się ma do oszczędzania loch, z których prośna jest większość?

Inny przykład chaosu to kwestia polowań zbiorowych, wielkoobszarowych. Ich efektywność jest kwestionowana przez myśliwych, ale tak kazano im działać. Podczas spotkania przedstawicieli kół łowieckich, którego byłem świadkiem, zirytowany prezes jednego z nich mówił, że w swoim obwodzie ma dwa turystyczne szlaki konne, pełne ludzi w każdy weekend, oraz trzy stoki narciarskie. – Jak mam tam zrobić wielkoobszarowe polowanie? – pytał. Jednak to już też nieaktualne – najpierw polowania wielkoobszarowe zarządzono, potem je odwołano. Prezesi kół łowieckich nie nadążają z przekazywaniem kolejnych zaleceń, wyjaśnień i komunikatów myśliwym. Mnożą się wątpliwości, nawet natury fiskalnej (ryczałty za dokonywany odstrzał sanitarny muszą być w specjalny sposób rozliczane i opodatkowane).

Drugi wątek to wątpliwa skuteczność zmasowanego odstrzału dzików jako sposobu przeciwdziałania epidemii ASF. Nie przeprowadzono żadnej analizy pokazującej, czy to skuteczna metoda, zaś tzw. wektorów rozprzestrzeniania się tej choroby może być wiele. W Polsce nie prowadzi się np. odstrzału krukowatych, które, poprzez żerowanie na ścierwach dzików, przyczyniają się do roznoszenia pomoru. Swoje robią także wałęsające się psy, które potrafią zaatakować dzika – oczywiście również zarażonego. To one są jednym z głównych źródeł przenoszenia ASF do gospodarstw, bo są z nich często wypuszczane w ciągu dnia. Myśliwym nie wolno jednak do nich strzelać – chyba że uchwycą je w momencie ataku na dziką zwierzynę. Nawet jednak, gdyby takie prawo, niegdyś istniejące, im przywrócono, wielu z nich by z niego nie korzystało z obawy przed fanatyczną nagonką, która zdarzała się praktycznie w każdym takim przypadku.

ASF NA CELOWNIKU

Bardzo interesująco o epidemii ASF mówił niedawno w wywiadzie dla portalu Fronda.pl były minister środowiska Jan Szyszko:

„– Najpierw musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy ta choroba [ASF] jest chorobą totalnie niszczącą populację dzika. Zacznijmy od tego, że w 2014 r. znaleziono dwa martwe dziki leżące na łące przy granicy z Białorusią. Za pięć godzin cała Europa wiedziała już, że Polska jest zapowietrzona… Do tej pory, czyli przez 5 lat, pośród miliona strzelonych dzików rozpoznano około 3 tysięcy zarażonych, co daje 0,3 proc. Czy zatem jest to rzeczywiste zagrożenie dla populacji? Ponieważ ilość dzików wciąż przyrasta, co łatwo zaobserwować już nawet w miastach, a odstrzeliwanych jest coraz więcej sztuk, przy czym wirus ASF wciąż jest obecny, to czy stanowi on rzeczywiście problem dla dzika? Czy jest problemem dla człowieka? Na Ukrainie czy Białorusi, gdzie mięso świńskie i dzicze spożywane są w postaci kiełbas – czy słyszeliśmy, by ktoś tam zachorował na ASF? […] Oni to jedzą i nie chorują. Podobnie jak z ptasią grypą. Zjedzenie zakażonego mięsa nie wywołuje choroby u człowieka. Prasa już by szybko podała, gdyby zarejestrowano taki przypadek. Przecież jak ktoś się udławi ością, zaraz wszędzie się o tym pisze. […] A jak byśmy wystrzelali wszystkie dziki w Polsce, to nadal byłby ASF czy nie?

– Byłby…

– A skąd, jak nie byłoby chorych dzików? Człowiek by go roznosił?

– Tak. Ten Ukrainiec czy Białorusin, który miał kontakt z chorym dzikiem czy świnią, a potem przyjechałby do nas do pracy, na przykład na fermie w Wielkopolsce, zaraziłby stado. A jeszcze wilk – przeszedłby przez granicę, zjadłszy uprzednio chorego dzika, ślina wilka zostałaby na trawie, chłop poszedłby do lasu na grzyby i na gumowcach przyniósłby zarazki do chlewni. Także kruk, który zeżarł padłego dzika, a potem przyleciał do Polski, zostawił odchody przy oborze. I jest już ASF. To po co mamy wystrzeliwać dziki?".

Z jednej strony myśliwi byli piętnowani za „mordowanie dzików" przez celebrytów i radykałów, niemających pojęcia o życiu poza miastem i przyrodzie poza ogrodem zoologicznym. Z drugiej byli poddawani ogromnej presji ze strony Ministerstwa Rolnictwa. Ze strony ministra Ardanowskiego na zamkniętych spotkaniach z liderami środowiska łowieckiego miały padać oskarżenia o lenistwo, o uchylanie się od wykonywania planu odstrzału dzików, a nawet groźby, że w razie, gdyby PZŁ nie był w stanie przetrzebić populacji tych zwierząt w stopniu tak głębokim, jak podobno oczekują rolnicy (jakkolwiek nikt tych oczekiwań nie zbadał), trzeba będzie PZŁ rozwiązać i powołać w jego miejsce innego typu struktury. Część młodszych myśliwych oraz tych, których troską są reforma środowiska łowieckiego, poprawa jego wizerunku i zwalczenie patologii, dopatruje się w tym głębszego politycznego zamiaru. Wskazują, że od niespełna roku funkcję łowczego krajowego i prezesa zarządu PZŁ sprawuje Piotr Jenoch, który postawił sobie za cel oczyszczenie środowiska, choć wcześniej wydawał się związany blisko z Lechem Blochem, szefem PZŁ przez dwie dekady – człowiekiem starego układu łowieckiego. Dzisiaj jednak od Blocha się odcina. To nie każdemu może odpowiadać. Po mianowaniu Jenocha pojawiały się teksty oskarżające go o niejasne punkty w życiorysie. Jenoch zaprzeczał. Uderzenie w PZŁ przy okazji konfliktu o odstrzał dzików miałoby być uderzeniem starego układu w młodsze pokolenie myśliwych.

Sprawa sanitarnego odstrzału dzików została sprowadzona do celebryckich rzewnych wynurzeń w telewizjach śniadaniowych, podczas gdy to w gruncie rzeczy bardzo ekspercka, ale i polityczna kwestia. Łatwiej byłoby się nią zajmować, gdyby dyskusja ograniczała się do fachowców, zamiast obejmować także zawodowych obrońców zwierząt oraz tych, którzy dzika widzieli jedynie na zdjęciu w Internecie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

FOT. WOJCIECH MATUSIK/FORUM

Z prof. Tadeuszem Wolszą, historykiem, członkiem rady przy Muzeum II Wojny Światowej
rozmawia Maciej Pieczyński

Jesteśmy narodem bohaterskim

MACIEJ PIECZYŃSKI: Inicjatorem budowy Muzeum II Wojny Światowej i jego pierwszym dyrektorem był prof. Paweł Machcewicz. Jego koncepcję, zaprezentowaną na łamach „Gazety Wyborczej", podchwycił rząd PO-PSL. Czy Machcewicz to „historyk niezależny" czy raczej „człowiek Tuska"?

PROF. TADEUSZ WOLSZA: Nie znam osobistych relacji prof. Pawła Machcewicza z Donaldem Tuskiem. Słyszałem, że premier obdarzył profesora zaufaniem. Mogę natomiast ocenić dorobek naukowy prof. Machcewicza. Jest ode mnie młodszy, korzystał też z moich publikacji. Mamy podobne zainteresowania naukowe. Napisał wartościową książkę na temat międzynarodowych aspektów funkcjonowania polskich władz na emigracji („Emigracja w polityce międzynarodowej", Warszawa 1999). Za pionierską można też uznać jego „Monachijską menażerię" – monografię poświęconą inwigilacji Radia Wolna Europa przez MBP i SB. Różnimy się odnośnie do oceny Jana Nowaka-Jeziorańskiego, generalnie jednak nie mam większych uwag do tej publikacji.

Już w 2013 r. Jarosław Kaczyński zapowiedział, że po wygranych przez PiS wyborach w Muzeum II Wojny Światowej potrzebne będą zmiany, bo muzeum powinno „wyrażać polski punkt widzenia". A to znaczy, że wcześniej nie wyrażało. Zgadza się pan z tą tezą?

Uważam, że niektóre ważne wydarzenia z historii Polski lat 1939–1945 zostały w pierwszej wystawie stałej muzeum zbyt mało wyeksponowane. Wystawa powinna pełnić funkcję edukacyjną. Tymczasem widz z przygotowanej przez poprzednią dyrekcję ekspozycji nie dowiedział się zbyt wiele o Polakach ratujących Żydów. To bardzo poważne zaniechanie ze strony autorów ekspozycji. Zabrakło ponadto innych istotnych wydarzeń, jak np. szerszych informacji o martyrologii polskiego duchowieństwa (np. w niemieckich obozach koncentracyjnych). Dalej idąc tym tropem, pominięto losy Maksymiliana Kolbego, ważnej w naszych narodowych dziejach postaci. Z nieznanych mi powodów nie zaistniał szerzej rtm. Witold Pilecki, bohater lat wojny, wykreowany przez Anglosasów na jedną z najodważniejszych postaci XX w. Bardzo skromnie została potraktowana Armia Krajowa – największa armia okupowanej Europy. To tylko niektóre przykłady.

Profesor Marek Jan Chodakiewicz nazwał wystawę „sowiecką propagandą". Propaganda oznacza celowe działanie. Czy intencją twórców placówki było pomniejszenie zasług narodu polskiego?

Opinia prof. Chodakiewicza jest bardzo surowa, być może nie wyraziłbym się w ten sam sposób, ale co do treści, niestety, się zgadzam. Cenię dorobek poprzedniej dyrekcji muzeum. To wybitni naukowcy. Nie podejrzewam ich o brak wiedzy. Jednak skoro wiedzę mają, to pozostaje doszukiwać się innych intencji.

Jedną z pierwszych zmian, których dokonała nowo powołana przez wicepremiera prof. Piotra Glińskiego dyrekcja muzeum, była rezygnacja z wyświetlania filmu dokumentalnego, który opowiadał o współczesnych konfliktach zbrojnych. Przesłanie było mniej więcej takie: przemoc i cierpienie na świecie nie zakończyły się wraz z II wojną światową. Film miał być przestrogą... Dlaczego z niego zrezygnowano?

Nowa dyrekcja uznała, że film odbiegał tematycznie od koncepcji muzeum. Wspomnienie najkrwawszego w dziejach konfliktu, którym była II wojna światowa, to wystarczająca przestroga na przyszłość – naprawdę nie potrzeba do tego dodawać opowieści o Syrii czy Donbasie.

Zdaniem byłego już kierownictwa muzeum następcy naruszyli prawo autorskie, ingerując w treść wystawy. Sprawa trafiła do sądu. „Zmiany, które wprowadza nowa dyrekcja, mają charakter polityczny i wypaczają ośmioletnią pracę wielu wybitnych historyków" – komentował w mediach społecznościowych Marcin Meller. Dziennikarz nawoływał do „obrony nadrzędnych wartości – autonomii kultury oraz prawdy historycznej".

Muzeum II Wojny Światowej jest dobrem nas wszystkich. Zmiany w wystawie

eprasa.pl e3336b6748

nie były głębokie, były natomiast konieczne, aby podkreślić wagę konkretnych wydarzeń, ważnych z punktu widzenia właśnie prawdy historycznej. Nie jestem prawnikiem. Uważam jednak, że nowa dyrekcja mogła dokonać modyfikacji w wystawie. Rada Muzeum II Wojny Światowej zaakceptowała je jednogłośnie.

Kolejny zarzut: naruszenie autonomii kultury. Paweł Machcewicz w jednym z wywiadów zasugerował, że jeśli obecnej władzy nie podobało się zbudowane zgodnie z jego wizją muzeum, to powinna wybudować swoje, zamiast przejmować już istniejącą instytucję.

Jednak nowa dyrekcja nie zniszczyła wizji prof. Machcewicza, tylko ją uzupełniła, dodając np. bardziej rozbudowane wątki odnoszące się do Ireny Sendlerowej, rodziny Ulmów, Maksymiliana Kolbego. Z zakamarów wydobyła także Pileckiego. Chodziło – jak sądzę – o to, aby w polskim muzeum doszedł do głosu polski przekaz.

Narzucony przez polski rząd, wybrany przez Polaków.

To już pan powiedział. W tej chwili przygotowujemy wystawę czasową na okoliczność kolejnej okrągłej rocznicy wybuchu II wojny światowej.

Jak będzie ona wyglądać?

To będzie ekspozycja przedstawiająca w sposób wyczerpujący postawy i osiągnięcia Polaków podczas II wojny światowej. Goście muzeum dowiedzą się, jak np. wyglądało życie codzienne pod okupacją niemiecką i sowiecką… Jakie były plany Komendy Głównej AK. Co zamierzały władze RP. Jaki był wkład Polskich Sił Zbrojnych w walkach z Niemcami. Autorzy zwrócą dużą uwagę na niemieckie i sowieckie zbrodnie (Holokaust i Katyń, obozy zagłady, egzekucje, łapanki, deportacje).

Jednak życie codzienne już Machcewicz chciał przedstawiać. Jak sam stwierdził, właśnie opowieści o losach cywilów najbardziej mu zabrakło w Muzeum Powstania Warszawskiego.

Nasza wystawa będzie połączeniem tych dwóch punktów widzenia. Pokażemy zarówno bohaterów spod Wizny, Tobruku, Monte Cassino, lotników z Dywizjonu 303 oraz żołnierzy Armii Krajowej przygotowujących się do powstania powszechnego, jak i losy zwykłych ludzi pod niemiecką i sowiecką okupacją. Przybliżymy realia, w których przyszło żyć polskiej ludności cywilnej. Goście muzeum dowiedzą się, jak mieszkańcy miast i wsi chodzili ubrani, co można było kupić do jedzenia, jak wyglądały konspiracyjne edukacja, nauka, kultura, sport itp. Jednak pokażemy też herosów – gen. Władysława Andersa, gen. Stanisława Maczka, gen. Stanisława Sosabowskiego oraz Irenę Sendlerową, rodzinę Ulmów, Szmula Zygielbojma, działaczy Żegoty… Bohaterstwo musi zostać mocno podkreślone, bo jesteśmy narodem bohaterskim. Naszej historii nie musimy się wstydzić. Mogą się natomiast wstydzić swojej historii Niemcy i Rosjanie. Oczywiście nie będziemy przemilczać ciemnych kart naszej wojennej przeszłości (np. problemu szmalcowników). Trzeba jednak znać proporcje.

Na początku stycznia pojawił się pomysł, by na terenie muzeum powstała kaplica katolicka. Ostatecznie nie został on zaakceptowany przez radę. Pan był za czy przeciw?

Słowo „kaplica" było umowne. Dyrektor dr Karol Nawrocki zaproponował przygotowanie miejsca zadumy, w którym po obejrzeniu całej wystawy każdy będzie mógł przeżyć jeszcze raz emocje, zagłębić się w refleksji, zastanowić się nad tym, co zobaczył. W pewnym momencie zapytał: „A może kaplica?". Podeszliśmy do tego poważnie. Odbyliśmy w gronie rady muzeum ożywioną debatę. Doszliśmy do wniosku, że kaplica to dobry pomysł, ale nie dla wszystkich.

Na pewno Żydom to by się nie spodobało.

Uznaliśmy po prostu, że miejsce zadumy powstanie, ale powinno mieć wymiar świecki. Tym bardziej że w pobliżu muzeum kościołów nie brakuje.

Jarosław Kaczyński stwierdził w lipcu 2017 r., że Muzeum II Wojny Światowej „wpisuje się w niemiecką politykę historyczną". „Kiedy my to chcemy zmienić i kiedy minister kultury to zmienia, to rzecznik praw obywatelskich zaskarża to do sądów i sądy nakazują, by te zmiany były wycofywane. […] Taką mamy dzisiaj w Polsce sytuację i stąd ta reforma sądownictwa, do której ciągle wracamy" – tłumaczył prezes PiS. Machcewicz w następujący sposób skomentował te słowa w swojej książce: „A więc wszystkie wątki zostały wreszcie połączone: muzea, fobie wobec innych narodów, polityka historyczna i sądy".

Nie zgadzam się z byłym dyrektorem. Zmiany nie były podyktowane względami bieżącej walki politycznej, tylko potrzebą obrony prawdy o historii II wojny światowej. Nazwaliśmy wreszcie sprawy po imieniu. Wojny nie rozpętali żadni mityczni, pozbawieni narodowości „naziści", tylko Niemcy. Polska była czwartą potęgą militarną koalicji antyhitlerowskiej. W walkę z Niemcami włożyliśmy więcej wysiłku zbrojnego niż wielka Francja! O tym wszystkim mówimy i będziemy mówić w muzeum z całą mocą. Musimy walczyć z fałszywym obrazem Polski w świecie. Nie może być tak, że w zachodnich mediach dominuje przekaz rodem z brukselskiego Muzeum Europy, gdzie np. Józef Piłsudski przedstawiony jest jako dyktator, w jednym rzędzie ze Stalinem i z Hitlerem, zaś II Rzeczpospolita figuruje, obok III Rzeszy czy faszystowskich Włoch, jako państwo totalitarne. Dlaczego w polskim muzeum, w polskim Gdańsku mamy się wstydzić polskiej historii?!

Od początku wątpliwości były nie tylko ideowe, lecz także finansowe. To najdroższa inwestycja muzealna w historii Polski. Budowa i organizacja wystawy kosztowały blisko 500 mln zł, czyli o 200 mln więcej, niż zakładano. Ponadto wicepremier Gliński zarzucił Machcewiczowi niegospodarność.

Nie jestem ekspertem od tych spraw, zajmuję się stroną historyczną. Faktem jednak jest, że muzeum okazało się mocno przepłaconą inwestycją. Znacząco też został przekroczony termin oddania budynku do użytku. Nie potrafię powiedzieć, czy zawinił dyrektor, wykonawca, czy zabrakło pieniędzy, czy może kluczową rolę odegrały czynniki obiektywne. Zdaniem specjalistów nieszczęśliwa była również lokalizacja – wielopiętrowy budynek z podziemnymi kondygnacjami nie powinien stanąć na podmokłym terenie. Natomiast pozostaje jeszcze do rozstrzygnięcia spór o połączenie Muzeum II Wojny Światowej z Muzeum Westerplatte.

Dlaczego to połączenie jest tak ważne? Chodzi o to, by w jednym miejscu skupić polską politykę historyczną na temat wojny?

Jedno bez drugiego nie może zaistnieć. Bez Westerplatte nie byłoby II wojny światowej. Obie instytucje łączą się zresztą w ramach Światowego Forum Pól Bitewnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. dr hab. Tadeusz Wolsza *– historyk, członek rady przy Muzeum II Wojny Światowej, zastępca przewodniczącego Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej.*

eprasa.pl e3336b6748

Terapia w USA za 7 mln zł uwolniła chorą na pęcherzowe oddzielanie się naskórka Zuzię od potwornego bólu. Pieniądze zebrano poprzez stronę SiePomaga.pl – serwisu prowadzonego przez fundację Siepomaga

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Składka na cud

Radosław Wojtas

Wyciskają łzy z oczu i pieniądze z kont Polaków. Internetowe zbiórki promowane są przez gwiazdy, ale w potrzebie korzystają z nich także znane osoby – ostatnio sztangistka Agata Wróbel. Pomaganie jeszcze nigdy nie było tak proste, dzięki czemu wiele z tych historii ma szczęśliwe zakończenie

Rozpaczliwe wołanie o ratunek! Bez leczenia Małgosia umrze na naszych oczach"; „Pilne – umiera młoda matka! Mamy bardzo mało czasu na ratunek"; „Ratowałem życia innych, ale sam sobie nie potrafię pomóc. Ocal moje życie".

Pierwszy z apeli dotyczy 16-miesięcznej dziewczynki cierpiącej na genetyczną chorobę Canavan. Drugi 36-letniej krakowianki, która prosi o pomoc w walce z czerniakiem oka, rozsianym niestety na inne narządy. Nie minął jeszcze rok od narodzin jej córeczki. „Serce moje wypełnia ogromna, nieopisana miłość i wdzięczność, a w ciele szaleje nowotwór, który chce zrobić krzywdę nam obydwóm. Jeśli odejdę, moja córeczka Edna nigdy nie wypowie słowa »mamo«, nigdy nie będzie mnie pamiętała" – pisze pani Paulina, która w chwili powstawania artykułu zebrała już ponad 400 tys., ale brakowało jej jeszcze ponad pół miliona złotych na podjęcie innowacyjnej terapii. Trzeci apel to prośba lekarza z województwa świętokrzyskiego. Pewnego dnia, pełniąc dyżur na intensywnej terapii, stracił przytomność i sam trafił na szpitalne łóżko. Diagnoza – glejak mózgu. Nadzieja – po trzech operacjach i leczeniu za granicą (finansowanym dotychczas z własnych oszczędności, które już się skończyły) – immunoterapia w Kolonii. Potrzeba 210 tys. zł. Wszystko wskazuje na to, że uda się zebrać potrzebną kwotę. Brakuje 8 tys. zł.

To tylko kilka z wielu apeli ze strony SiePomaga.pl, serwisu internetowego, który pomaga chorym będącym pod opieką różnych fundacji zbierać pieniądze na ratowanie zdrowia i życia. Od początku działalności SiePomaga.pl, czyli od 2009 r., ponad 3 mln darczyńców wsparło potrzebujących na kwotę prawie 355 mln zł.

„CZYTAŁ JANUSZ KOZIOŁ"

Najgłośniejsze historie to najczęściej te, w których przewijają się głośne nazwiska. Niedawno o pomoc internautów poprosiła Agata Wróbel – sztangistka, medalistka olimpijska, mistrzyni świata, trzykrotna mistrzyni Europy, wielokrotna mistrzyni Polski. Za pośrednictwem portalu Zrzutka.pl, pozwalającego na organizowanie zbiórek niemal na dowolny cel, podzieliła się informacją o swojej trudnej sytuacji. „Choruję na cukrzycę i mam neuropatię cukrzycową, która powoduje ciągły ból w moich rękach i stopach. Muszę codziennie przyjmować

eprasa.pl e3336b6748

silne środki przeciwbólowe. Koszty tych leków są kolejnym obciążeniem. Głęboka depresja, leki, napady paniki towarzyszą mi codziennie. Szukam pomocy, aby móc stanąć na nogi, spłacić zobowiązania, odnaleźć siebie sprzed lat" – napisała sportsmenka.

Agata Wróbel chciała zebrać 20 tys. zł. Kibice sięgnęli do kieszeni głębiej, niż się spodziewała, i w kilka dni wpłacili ponad 130 tys. zł. Wcześniej wsparcie oferowali przyjaciele Agaty. „Nie wiem, czy moja głowa wytrzyma to upokorzenie, ale kilku przyjaciół, którzy chcieli mi pomóc, jak tylko mogli (a ja nie potrafiłam przyjąć pomocy), powiedziało, że ja też mam prawo o nią poprosić" – napisała Wróbel. Pieniądze nie są już problemem, teraz wszystko w rękach mistrzyni.

Złote serce kibiców poznał niedawno Ryszard Szurkowski, najbardziej utytułowany polski kolarz, który największe triumfy święcił w latach 70. ubiegłego wieku. Na sportowej emeryturze nie przestał się ścigać dla przyjemności. Zawody weteranów w Kolonii w czerwcu ubiegłego roku zakończyły się bardzo poważnym wypadkiem. Na kilka kilometrów przed metą przed pędzącym Szurkowskim przewróciło się dwóch kolarzy. Polak nie miał szans wyhamować. Wpadł na nich, a przewrotka skończyła się uderzeniem twarzą o jezdnię. Na tyle poważnym, że spowodowało m.in. uszkodzenie rdzenia kręgowego. Paraliż i rehabilitacja. Na początku utrzymywane w tajemnicy. Jednak za namową kolegów kolarz zdecydował się poprosić o pomoc kibiców.

Nie zawiódł się na internautach także Janusz Kozioł, wzięty lektor i spiker radiowy. „Trwa walka o każdy oddech. Proszę, pomóż. Potrzebne są leki i specjalistyczna opieka całodobowa" – napisał na portalu Pomagam.pl i dodał: „Podstępna choroba zaatakowała trzy lata temu. Lekarze przez długi czas nie byli w stanie postawić diagnozy. Gdy usłyszałem: stwardnienie zanikowe boczne opuszkowe (SLA), nie chciałem wierzyć. Nieubłagana przewrotność losu i wyrok. Nie wiadomo, dlaczego choroba się pojawia, i nie ma na nią lekarstwa. Pozostaje tylko cud".

Janusz Kozioł na leki i całodobową opiekę chciał zebrać 30 tys. zł. Ma już ponad 240 tys., a to nie koniec wpłat.

SKÓRA UTKANA Z CIERPIENIA

– Każdy w sobie ma takiego „pomagacza", którego my czasem naszymi zbiórkami musimy po prostu obudzić – uważa Agnieszka Nowik z zarządu fundacji Siepomaga.

W jaki sposób się go budzi? Poprzez pięknie i wzruszająco opowiedzianą historię, poprzez danie możliwości spojrzenia w oczy potrzebującym i ich bliskim dzięki zdjęciom uzupełniającym opisy internetowych zbiórek. Poprzez wprowadzenie elementu grywalizacji – mamy określony czas na zebranie konkretnej sumy i zapełnienie paska potrzeby w stu procentach. No i jeszcze jedno – na internetowych zbiórkach jak nigdzie indziej widać, że nawet z małych cegiełek – po kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt złotych – można zbudować w krótkim czasie ogromną kwotę.

W 2015 r. cała Polska kibicowała Zuzi Machecie, chorej na nieuleczalne pęcherzowe oddzielanie się naskórka.

> **„Tyle dzieci z wadami serca można zobaczyć tylko w Polsce. W innych krajach po prostu się nie rodzą, są abortowane"**

Na eksperymentalną terapię w – jak mówiła Zuzia: „Aremyce", czyli w Stanach Zjednoczonych – potrzebne było prawie 7 mln zł. – Pamiętam, że mama Zuzi po otrzymaniu kosztorysu była załamana, bała się, że nie uda się zebrać tych pieniędzy. Ale powiedziałam: spróbujmy. I udało się zebrać pieniądze nie tylko dla Zuzi, lecz także dla jeszcze jednego dziecka – wspomina Agnieszka Nowik.

Zuzia nigdy nie będzie w pełni zdrowa, ale udana terapia diametralnie zmieniła jej życie. Dziewczynka o „skórze utkanej z cierpienia", której każdy dotyk i przełykanie sprawiało ogromny ból, której marzeniem przed wylotem do USA było... zjedzenie schabowego, może dziś niemal jak jej rówieśnicy cieszyć się dzieciństwem.

– Na Siepomaga urósł taki paseczek z pieniążkami i pojechałam do Ameryki – mówi Zuzia na filmie nakręconym po terapii i opublikowanym na YouTube. – Mogę biegać, skakać, mogę jeść różne rzeczy, takie jak pizza, jak makaron, jak zupa pomidorowa... Mogę je jeść i nic się nie dzieje z moim gardłem, dawniej je jadłam i się krztusiłam – opowiada dziewczynka, w której po latach wymuszonego postu obudził się niezły łasuch.

OSZUKANI LEWANDOWSCY

Pomaganie jeszcze nigdy nie było tak proste, skala pomocy rośnie, co rodzi również niebezpieczeństwa. W 2017 r. oszust wyłudził setki tysięcy złotych, fabrykując zbiórkę dla dziecka tracącego wzrok. Jego ofiarą padli również celebryci, w tym Anna i Robert Lewandowscy. Przestępstwo odkryła fundacja Siepomaga, która podczas weryfikacji zgłoszenia przejrzała oszusta i odmówiła prowadzenia zbiórki w jego imieniu (niestety dały się nabrać popularne polskie portale crowdfundingowe), a także ostrzegła internautów.

„Jesteśmy przekonani, że sprawa wyjaśni się z pozytywnym skutkiem dla wszystkich zaangażowanych i nikt ze wspierających inicjatywę nie zniechęci się do dalszego pomagania potrzebującym – napisali wtedy w oświadczeniu wprowadzeni w błąd Lewandowscy.
– Środki zostały zwrócone przez Organizatora akcji i zostaną przez nas ponownie przeznaczone na inny cel charytatywny. Pomaganie innym jest dla nas bardzo ważną wartością i pomimo tego zdarzenia nie przestaniemy wspierać organizacji charytatywnych, osób potrzebujących i akcji prospołecznych".

Mając jakiekolwiek wątpliwości, warto przed przelaniem pieniędzy je rozwiać. Jak? Sprawdźmy organizatora zbiórki, wspierajmy zaufane organizacje. – Zanim w Siepomaga rozpoczniemy zbiórkę, weryfikujemy, czy osoba zgłaszająca się po pomoc jest chora i jest wskazanie do danej terapii lub zabiegu. Działamy tak, by darczyńca wiedział, że robi dobro, a nie coś, co przekracza granice dobroczynności. Naszym celem jest również to, żeby nie zepsuć człowieka, żeby pomagać mądrze, pięknie, poruszając ludzi. Wystarczy jedna drzazga, jedno nadużycie i człowiek się potrafi bardzo zrazić – mówi Agnieszka Nowik.

I dodaje: – Wzruszającym momentem jest dla mnie coroczny zjazd dzieci z wadami serca. Tam prof. Edward Malec zaznacza, że tyle dzieci z wadami serca można zobaczyć tylko w Polsce. A kiedy pada pytanie „dlaczego?", on odpowiada, że takie dzieci w innych krajach po prostu się nie rodzą, a u nas rodzice decydują się na to, że ich dziecko się urodzi, nie usuwają go. Wiedzą, że otrzymają wsparcie i nawet jeśli ich dziecko będzie żyło z połową serduszka, to będzie żyło, i to życie jest ważne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

Adam Małysz wyprowadził się z willi w Wiśle. Teraz wynajmuje ją turystom FOT.JÓZEF WOLNY/SE/EAST NEWS

Agnieszka Niewińska

Najbogatsi polscy sportowcy inwestują w hotele i apartamenty. Czy ich sława przyciągnie klientów?

Ferie u Małysza

Jeszcze dekadę temu ulica Bukowa w Wiśle była obowiązkowym punktem na wycieczkowej mapie po tej turystycznej miejscowości Beskidu Śląskiego. Pod numerem 8A mieszkał skoczek narciarski Adam Małysz, a odwiedzający Wisłę liczyli, że koczując na Bukowej, spotkają mistrza, zdobędą autograf albo przynajmniej podpatrzą, jak spędza wolny od skoków czas. Po tym, jak w pobliżu domu Małyszów wyrósł apartamentowiec, z którego okien jak na dłoni widać było dom i ogród skoczka, Małysz postanowił zbudować nowy dom w dzielnicy Kopydło, gdzie mieszkał wcześniej jako dziecko. Nowy dom powstał w zacisznym miejscu. – Mam więcej swobody, nie jestem podglądany, gdy robię coś na powietrzu – chwalił się „Super Expressowi" Małysz tuż po przeprowadzce do nowego domu.

W willi na Bukowej przygotował za to apartamenty, które razem z żoną Izabelą wynajmują urlopowiczom. Dzisiaj każdy może pomieszkać tak jak „Orzeł z Wisły" w czasach, kiedy odnosił największe sportowe sukcesy.

SOLNA GROTA U ISI

Małyszowie udostępniają apartament na parterze – z możliwością napalenia w kominku mistrza czy wypoczynku na tarasie – oraz na piętrze, gdzie można z kolei cieszyć się widokiem z balkonu na imponujący teren. O rośliny i drzewa dbał sam skoczek. Goście mogą także korzystać z krytego basenu, grilla i placu zabaw dla najmłodszych. Wynajęcie apartamentu dla czterech osób to koszt 500 zł za dobę poza sezonem i 600 zł w sezonie. – Na ten sezon zimowy znajdą się jeszcze pojedyncze wolne terminy – informuje nas recepcjonistka Apartamentów u Małyszów.

Sądząc po internetowych opiniach, goście od Małyszów wyjeżdżają wypoczęci i zadowoleni, choć podpowiadają gospodarzom, że we wnętrzach, by poczuć sportowy klimat, przydałoby się trochę pamiątek mistrza – para nart, kask albo chociaż zdjęcia skoczka z czasów sportowej kariery.

Na brak sportowych nawiązań nie będą narzekać ci, którzy zwiedzając Kraków, zatrzymają się w apartamentach tenisistki Agnieszki Radwańskiej – AGA Tenis Apartments. W październiku ubiegłego roku oddała ona do użytku gości 10 luksusowo wykończonych apartamentów w sercu Krakowa. – Apartamen-

eprasa.pl e3336b6748

ty Agnieszki Radwańskiej to ciekawa inicjatywa. Są niebanalnie urządzone, powiązane tematycznie z tenisem. Od razu widać, że to miejsce zaprojektowane z myślą o fanach tego sportu. Każdy z udostępnianych gościom lokali nawiązuje do innego turnieju, który Agnieszka Radwańska wygrała – mówi Adam Romer, redaktor naczelny magazynu „TenisKlub". Na ścianach nie brakuje zdjęć tenisistki, do wystroju wykorzystano także jej piłki, rakiety czy stroje, w których pokazywała się na korcie. Goście w czasie pobytu mogą korzystać także z groty solnej czy siłowni. W AGA Tenis Apartments ceny zaczynają się od 630 zł za noc. – Ta inicjatywa Agnieszki to zabezpieczenie na przyszłość. Biorąc pod uwagę, że na samym korcie zarobiła 27 mln dol., to inwestycja rzędu 2, 3 czy 5 mln zł nie jest w stanie zachwiać jej budżetem. Wśród polskich sportowców mamy tylko troje, którzy na takie inwestycje mogą sobie pozwolić – obok Radwańskiej to Robert Lewandowski i Marcin Gortat – tłumaczy Romer.

Wśród światowych gwiazd sportu nie brakuje takich, które w nieruchomości inwestują nie miliony, ale dziesiątki milionów. I raczej euro czy dolarów, a nie złotych. Prym wśród nich wiodą właśnie tenisiści. Właścicielami hoteli są takie gwiazdy jak Hiszpan Rafael Nadal czy Brytyjczyk Andy Murray.

– Nawet jeśli wydłużyła się kariera sportowa tenisistów – grają dziś, będąc po trzydziestce – to muszą myśleć o tym, co będą robić po zakończeniu kariery. Nie wszyscy wracają w roli trenerów, choćby Ivan Lendl, trener Andy'ego Murraya. Stąd wielu inwestuje zarobione na korcie pieniądze w różne przedsięwzięcia, m.in. nieruchomości – wskazuje Adam Romer. Zwraca uwagę, że najbardziej naturalną dla tenisistów inwestycją są centra sportowe, akademie gry w tenisa. Taki ośrodek założył w Belgradzie Novak Djoković. Rafa Nadal Sports Centre w Manacor na Majorce to kompleks sportowo-hotelowy. Fani mogą tu zarezerwować pojedynczy czy weekendowy nocleg. Jedna noc w standardowym dwuosobowym pokoju ze śniadaniem to koszt co najmniej 450 zł. Przy okazji można zwiedzić poświęcone Nadalowi muzeum. – Baza hotelowa powstała jednak głównie na potrzeby turnusów tenisowych. Ośrodek Rafaela Nadala został zbudowany dwa lata temu. Tenisista dał mu swoje nazwisko i zainwestował pieniądze. Na razie głównie zarządza nim jego wuj – Toni Nadal. W porównaniu z innymi szkołami tenisa ta jest zdecydowanie najdroższa, ale plan jest taki, by była to najlepsza hiszpańska akademia tenisowa – mówi Romer.

Rafa Nadal Sports Centre to niejedyna inwestycja Nadala w nieruchomości. Jest właścicielem hotelu w popularnym majorkańskim turystycznym kurorcie Sant Llorenç des Cardassar. Luksusowym hotelem ze 171 pokojami zarządza sieć hotelowa Iberostar.

W hotel zainwestował także Andy Murray. W 2013 r. kupił w Szkocji wiktoriańską posiadłość Cromlix z 1874 r., która służyła już jako hotel. Tenisista zainwestował w remont i przystosował Cromlix do potrzeb najbardziej wymagających gości hotelowych. W sezonie noc w małym pokoju dla dwóch osób to koszt 295 funtów. – Posiadłość położona jest w pobliżu rodzinnego Dunblane, gdzie wychowywał się Murray. Jednak on sam dotąd się sprawą hotelu nie zajmował. Za inwestycją stoi raczej jego matka. Kto wie, może teraz, kiedy ogłosił koniec kariery sportowej, zainteresuje się hotelarstwem – żartuje Adam Romer.

Agnieszka Radwańska, która niedawno rozstała się z zawodowym tenisem, oferuje w Krakowie luksusowe apartamenty do wynajęcia

HOTEL, CZYLI PRESTIŻ

Za tenisistami nie pozostają w tyle najlepiej zarabiający futboliści. Hotelu nie mogło zabraknąć w inwestycyjnym portfelu Cristiano Ronaldo. Razem z Pestana Hotel Group założył czterogwiazdkowy hotel w Funchal na rodzinnej Maderze. Pestana CR7 Funchal – bo tak nazywa się obiekt – ma cztery gwiazdki, znajduje się 300 metrów od mariny. Goście mogą korzystać z basenu na dachu, sauny i jacuzzi na otwartym powietrzu. Żeby móc podziwiać zachód słońca nad Maderą, hotelowy bar umiejscowiono na dachu. Wystrój hotelu nawiązuje do CR7. W gablotach zobaczymy koszulki Ronaldo, gadżety piłkarskie, a wchodząc do łazienki, możemy poczuć się jak na boisku, bo zamiast glazury ściany obłożono sztuczną trawą.

Fani Menchester United chętniej niż u CR7 zatrzymają się w Football Hotelu w Manchesterze. Zainwestowali w niego słynni gracze tego klubu, m.in. Ryan Giggs i Gary Neville. Obiekt otwarto w 2015 r., a 133 pokoje zostały urządzone w piłkarskiej konwencji. Na dachu znalazło się nawet boisko piłkarskie. Czterogwiazdkowy obiekt ma wymarzoną lokalizację – znajduje się vis-à-vis stadionu Old Trafford.

Violetta Hamerska, ekspertka w dziedzinie hotelarstwa, nie dziwi się, że słynni sportowcy inwestują w branżę hoteli i apartamentów. – Od 10 lat mamy ogromny boom na inwestycje hotelowe. Rocznie tylko w Polsce powstaje 100 nowych hoteli, a jeszcze niedawno przybywało ich rocznie nawet 200. To piękny i prestiżowy biznes. Kojarzy się ze stylem i z elegancją, jednocześnie daje inwestorowi możliwość pokazania swojej zamożności. Związane są z nim emocje, ciekawe przeżycia, więc rozumiem, dlaczego hotelarstwo to kusząca branża dla sportowców – mówi ekspertka. Zwraca jednak uwagę, że to trudna branża, a droga do sukcesu nie jest prosta. – To interes sezonowy z dużą konkurencją. Średnie roczne obłożenie w polskich hotelach, choć rośnie w ostatnich latach, wynosi dziś 50 proc. Owszem, hotel to lokata kapitału w grunt czy budynek, jednak inwestycja zwraca się po wielu latach, a w niektórych przypadkach wcale.

Czy nazwiska „Orła z Wisły" i najbardziej utytułowanej polskiej tenisistki będą miały wystarczającą moc, by przyciągnąć gości do ich apartamentów? – Adam Małysz czy Agnieszka Radwańska to bardzo sympatyczne postacie, lubiane przez Polaków, więc prawdopodobieństwo odniesienia przez nich sukcesu jest wysokie – ocenia Violetta Hamerska. – Sposób, w jaki Agnieszka Radwańska urządziła swoje apartamenty, robi wrażenie. Widać, że zainwestowała w to duże pieniądze. Sukces tego przedsięwzięcia w dużej mierze będzie zależeć od tego, czy ta inwestycja została poparta rzetelną analizą i wpisuje się w potrzeby rynku, bo Kraków jest mocno nasycony apartamentami. Ceny u Agnieszki Radwańskiej są dosyć wysokie nawet o tej porze roku, ale plusem są: śniadania w apartamencie (tak jak w hotelu), znakomita lokalizacja oraz naprawdę piękne, wysublimowane i przestronne wnętrza – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

Przyjemności po kawałku

Piotr Gociek

Rok 2019 na świecie będzie przełomowy dla rynku seriali. W Polsce – odwrotnie

Już nie „telewizyjne", ale po prostu: seriale, bo rządzą dziś każdym ekranem mniejszym od kinowego, a wśród ich producentów są gracze potężniejsi od zwykłych stacji telewizyjnych. Bo któż dziś nie produkuje seriali? Na rynku kiedyś zdominowanym przez tradycyjną TV, a potem zrewolucjonizowanym przez kanały płatne (z HBO na czele) dziś karty rozdają platformy streamingowe, które udostępniają premierowe produkcje w Internecie, a konkurują z nimi tacy giganci jak Amazon czy Apple. Dla tych ostatnich tego typu kreatywna działalność to oczywiście jedynie drobna część wielkiego biznesu. Jednak skoro jedni są największym sprzedawcą książek, filmów i wielu innych produktów, a drudzy produkują markowe urządzenia, dzięki którym cyfrowa autostrada dociera do odbiorcy, to dlaczego mieliby zarabiać jedynie na dystrybuowaniu cudzych treści, skoro mogą produkować własne?

Konkurencja między tymi graczami szybko się zaostrzy, czego świadkami będziemy w roku 2019, z dwóch powodów wielce znaczącym dla serialowego biznesu. Po pierwsze, choć Apple rozpoczął kręcenie własnych oryginalnych produkcji już w roku 2016, to jednak jak dotąd pokazało publiczności jedynie dwie serie reality show. W tym roku pokaże dużo więcej – seriale fabularne naszpikowane gwiazdami. Po drugie – i jednak ważniejsze – przełomową chwilą w rozwoju domowej rozrywki może stać się zaplanowany na jesień debiut platformy streamingowej koncernu Disneya.

Amerykański kolos dysponuje gigantyczną biblioteką filmów, seriali, kreskówek i programów powstającą od niemal stu lat (studio braci Disneyów założono w roku 1923). W ostatnich latach stał się właścicielem tak potężnych rozrywkowych franczyz jak uniwersum „Gwiezdnych wojen" i Marvel Cinematic Universe. W roku 2019 uruchomi

eprasa.pl e3336b6748

„The Mandalorian" to wysokobudżetowa produkcja fantastyczna, której akcja rozgrywa się w świecie „Gwiezdnych wojen" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

(najpierw w USA, ale spodziewany jest szybki rozwój na innych rynkach) platformę Disney+, która wszystkie te atrakcje ma w jednym miejscu udostępniać użytkownikom.

Już sam ten fakt mógłby wywołać stan ekscytacji u niejednego analityka rynku, o widzach nie wspominając, ale cios wyprowadzany przez Disneya będzie dużo potężniejszy. Amerykański koncern chce także na potrzeby Disney+ produkować zupełnie nowe filmy i seriale. Przynajmniej dwa z nich – to już wiemy na pewno – będą osadzone w uniwersum „Gwiezdnych wojen". Przy czym premiera pierwszego z nich ma być główną atrakcją jesiennego debiutu Disney+. I w ten sposób dochodzimy już do pierwszego tytułu na liście najbardziej oczekiwanych seriali roku 2019.

„MANDALORIAN" PRZECIERA SZLAK

Serial „The Mandalorian" to wysokobudżetowa, produkcja fantastyczna, której akcja rozgrywa się w świecie „Gwiezdnych wojen". Czas akcji: między zakończeniem „Powrotu Jedi" a początkiem „Przebudzenia mocy". Dotąd wszelkie telewizyjne serie inspirowane dziełem George'a Lucasa były produkcjami animowanymi („dwie wersje „Wojen klonów" czy „Rebelianci"), „The Mandalorian" to natomiast serial tradycyjny, w dodatku z plejadą gwiazd. Główną rolę gra Pedro Pascal („Narcos", „Gra o tron") – chodzi o samotnego łowcę nagród przemierzającego dalekie rubieże Galaktyki.

Towarzyszą mu m.in. Nick Nolte, Giancarlo Esposito czy… Werner Herzog. Twórcą serii jest Jon Favreau, cudowne dziecko Disneya, czyli człowiek, który reżyserował nowe wersje „Księgi dżungli" oraz „Króla lwa", a także dwa kinowe filmy o Iron Manie. Czy polscy widzowie będą mieli okazję obejrzeć ten serial zaraz po premierze? Przypuszczam, że wątpię. Disney+ najpierw startuje w Ameryce, ale nie jest wykluczone, że Polska będzie w pierwszej grupie krajów, na jakie rozszerzy działalność. Wtedy istniałby cień nadziei, że polski Disney+ będzie – wraz z „Mandalorianem" – prezentem dla fanów na Boże Narodzenie 2019 r.

INTERNETOWI GIGANCI WCHODZĄ DO GRY

Kłopotów z dostępem do nielicznych oryginalnych produkcji Apple polski użytkownik dotąd nie miał, wystarczyło korzystać z aplikacji Apple TV (pierwsze reality show firma udostępniała poprzez aplikację Apple Music). Tutaj najbardziej oczekiwaną premierą roku 2019 (i w ogóle pierwszym krokiem Apple do świata seriali) jest serial o prezenterach porannego pasma telewizyjnego. W rolach głównych Reese Witherspoon, Jennifer Aniston i Steve Carell. „Top of the Morning" jest też najbardziej prestiżową produkcją Apple. Jednak najbliższe miesiące przyniosą także premierę nowej wersji „Amazing Stories" – antologii rozmaitych rodzajów opowieści fantastycznych. To wskrzeszenie formatu z lat 80., kiedy to pod nadzorem Stevena Spielberga powstało niespełna 70 odcinków. Producentem nowej wersji jest jego firma Amblin Television, a i sam Spielberg będzie odpowiadał za niektóre epizody.

Apple przygotowuje w tej chwili kilkadziesiąt odcinkowych produkcji, na które planuje wydać miliard dolarów. Rzadko jednak chwali się kulisami swojego biznesu, nie wiadomo więc, jak wielu innych premier i w jakiej kolejności oczekiwać. Według prasowych doniesień premiera nowej platformy Apple ma się odbyć między marcem a lipcem 2019 r. Podobnie jak Disney+ na początku szykuje się wejście na rynek w USA, jednak ekspansja międzynarodowa ma być bardzo szybka. Podobno do końca 2019 r. Apple chce już udostępniać swoje produkcje nową drogą w ponad 100 krajach całego świata. Bez wątpienia więc także w Polsce.

Amazon swoją potęgę buduje nieco inaczej od konkurentów w rodzaju Netflixa czy Hulu. Produkcje oryginalne są tu kroplą w morzu filmów i seriali oferowanych w ramach usługi Amazon Prime (każdy użytkownik Amazona może wykupić do niej dostęp za równowartość ok. 10 euro). Za zdecydowaną większość trzeba i tak dodatkowo płacić (nie trzeba zamawiać płyty DVD czy Blu-ray, można uiścić kilkakrotnie mniejszą kwotę i obejrzeć wybrany hit on-line). Produkcje oryginalne Amazona są jednak dostępne bez ekstraopłaty i jest ich z roku na rok coraz więcej. Ekspansja trwa od roku 2015, a jej efektem były dotąd tak cenione seriale, jak „Bosch" (na podstawie powieści kryminalnych Michaela Connelly'ego), komediowa „Wspaniała pani Maisel" czy „Człowiek z Wysokiego Zamku" inspirowany prozą Philipa K. Dicka.

W roku 2019 w Amazonie szykuje się premiera wielu produkcji własnych, spośród których uwagę zwracają „Modern Love", antologia romantycznych komedii o miłości, kusząca nazwiskami takich aktorek jak Anne Hathaway czy Sofia Boutella, a także serial fantasy „Carnival Row", w którym główną rolę gra Orlando Bloom. W sieci obejrzeć już można zwiastun innej produkcji, z którą Amazon wiąże spore nadzieje – to serialowa ekranizacja powieści „Dobry omen" Terry'ego Pratchetta i Neila Gaimana. Być może jeszcze w tym roku

eprasa.pl e3336b6748

obejrzymy także miniserial „Cortez", w którym rolę słynnego konkwistadora zagra Javier Bardem.

CO U PIONIERÓW?

Tymczasem 10 stycznia tego roku minęło 20 lat od amerykańskiej premiery serialu HBO „Rodzina Soprano" – wydarzenia przełomowego w dziejach telewizyjnej rozrywki. Przez te dwie dekady HBO stało się wręcz symbolem, jeśli chodzi o produkcję seriali premium. „Sześć stóp pod ziemią", „Zakazane imperium", „Prawo ulicy", „Seks w wielkim mieście", „Rzym", „Deadwood", wreszcie „Gra o tron" – pionierska rola HBO jest nie do przecenienia. Reakcja stacji na rosnącą konkurencję jest wyważona i sprowadza się do przestrzegania dwóch zasad: „jakość, nie ilość" oraz „jeśli mogliśmy zarobić na tym raz, to dlaczego przestawać?".

Stąd rok 2019 w HBO to czas kontynuacji, z tą najgłośniejszą i najbardziej oczekiwaną włącznie – ósmy i ostatni sezon „Gry o tron" zadebiutuje 14 kwietnia. Liczyć będzie zaledwie sześć odcinków, ale oglądalność i tak zapewne będzie rekordowa. Inną kontynuację i premierę jednocześnie już możemy w HBO oglądać. To chwalony przeze mnie tydzień temu trzeci sezon „Detektywa". Co jeszcze? Już wymieniam. W tym roku oczekiwać możemy drugiego sezonu „Ostrych przedmiotów" oraz „Wielkich kłamstewek", szykują się także mocne premiery, wśród których króluje fantastyka. „Watchmen" to serialowa wersja słynnej powieści graficznej Alana Moore'a, którą na potrzeby kina zaadaptował już Zack Snyder. „Lovecraft Country" ma łączyć świat horroru z rasizmem w USA pierwszej połowy XX w. „Mroczne materie" to z kolei ekranizacja bestsellerowej trylogii fantasy Philipa Pullmana (jej część także znamy z kina w postaci filmu „Złoty kompas").

Ciekawie zapowiada się obyczajowy serial „The Undoing" z Nicole Kidman i Hugh Grantem w rolach głównych, ale nie potwierdzono na razie, czy do premiery dojdzie jeszcze w roku 2019 czy już w następnym. Wiemy za to na pewno, że w tym roku HBO zamknie historię opowiadaną w trzech sezonach westernowego „Deadwood" filmem fabularnym, który ma przynieść puentę otwartej, jak dotąd, fabule. Będzie też krótki serial „Czarnobyl" o słynnej awarii elektrowni atomowej.

Ósmy i ostatni sezon „Gry o tron" zadebiutuje 14 kwietnia FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRUPA POŚCIGOWA I NETFLIX

Do dobrego łatwo się przyzwyczaić, a bogactwo wyboru przytłacza i może wywołać efekt przekarmienia. Od zapowiedzi konkurencyjnych stacji na rok 2019 można dostać zawrotu głowy, niektóre z nich brzmią wyjątkowo zachęcająco. Oto sieć NBC zapowiada nietypowy prequel – amerykańską odnogę „Downton Abbey", czyli serial „The Gilded Age", którego akcja ma się rozgrywać w USA w okolicach roku 1880. Sieć CBS powierzyła Jordanowi Peelowi, twórcy horroru „Uciekaj!", wznowienie serialu „The Twilight Zone". Showtime będzie miał na małym ekranie Russela Crowe'a, dzięki serialowi „The Loudest Voice in the Room" o Rogerze Ailesie, twórcy potęgi Fox News. Sieć FX z kolei szykuje m.in. apokaliptyczny serial „Przejście" na podstawie znanych także w Polsce powieści Justina Cronina oraz technothriller „Devs", który jest reżyserowany przez Alexa Garlanda, twórcę „Ex Machiny" i „Anihilacji". A także niespodziankę dla miłośników teatru i tańca: „Fosse/Verdon" to biograficzna opowieść o związku reżysera teatralnego Boba Fosse'a i słynnej tancerki z Broadwayu – Gwen Verdon.

Idźmy dalej: TNT szykuje „I Am the Night" (Chris Pine w roli głównej), mroczny kryminał, powierzając stery Patty Jenkins (reżyser „Wonder Woman"). Mały ekran wciąga zresztą coraz bardziej topowych twórców kinowych, bo kanałowi SYFY udało się namówić do współpracy braci Anthony'ego i Josepha Russo, którzy nakręcili trzy megaprodukcje dla Marvela (w tym „Avengers: Wojna bez granic"), a dla telewizji wyprodukowali akcyjniaka „Deadly Class". Hulu, wielki amerykański konkurent Amazona i Netflixa, pokaże w roku 2019 m.in. serialową wersję „Paragrafu 22" według

eprasa.pl e3336b6748

powieści Josepha Hellera, a z kontynuacji – nowy sezon „Opowieści podręcznej".

Padło zatem wreszcie hasło „Netflix", szczególnie interesujące dla polskiego widza, bo serwis udostępnia nad Wisłą bardzo wiele ze swoich oryginalnych produkcji. Ulubiony ciąg dalszy nastąpi i fani doczekają się w tym roku nowego sezonu antologii SF „Czarne lustro", ale najbardziej ostrzą sobie zęby na trzeci sezon „Stranger Things". Ciekawie zapowiada się inna fantazja – prequel do kultowego filmu kukiełkowego Jima Hensona „Ciemny kryształ" (1982) – serial nosi tytuł „Dark Crystal: Age of Resistance". Dla fanów opowieści o superbohaterach Netflix ma z kolei serial „Umbrella Academy" (premiera już w połowie lutego) i drugi sezon „Punishera", który będzie jednym z ostatnich śladów po współpracy Netflixa z Marvelem. Licencje na innych superbohaterów nie zostały odnowione, bo opisywany na początku tego tekstu nowy projekt Disney+ ma być wyłącznym domem dla postaci ze świata Marvela.

Najważniejsza dla polskiego odbiorcy jest jednak deklaracja producentów amerykańsko-polskiego serialu „Wiedźmin" – premiera w Netflixie jesienią 2019 r. Jeśli uda się dotrzymać tej daty, to rzesze fanów prozy Andrzeja Sapkowskiego oraz serii gier komputerowych „Witcher" będą uszczęśliwieni.

Amazon wiąże spore nadzieje z serialową ekranizacją powieści „Dobry omen" Terry'ego Pratchetta i Neila Gaimana FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Niestety, to chyba jedyna dobra wiadomość ze świata polskich (no dobrze: częściowo polskich seriali).

POLAK POTRAFI, ALE NIE CHCE?

A miało być tak pięknie. Rok 2018 zapowiadał się na przełom. Showmax zaskoczył świetnym serialem kryminalnym „Rojst". Polskie HBO pokazało mocno oczekiwany „Ślepnąc od świateł" na podstawie powieści Jakuba Żulczyka. Canal Plus pochwalił się „Krukiem" i „Nielegalnymi" – co prawda pierwszy serial to przerost formy nad treścią, a drugi jest słabą podróbką amerykańskich thrillerów szpiegowskich, ale zawsze lepsze to niż reanimowanie trupa „Belfra". No i Netflix z „1983" – polscy reżyserzy, polska obsada.

Co z tego zostaje nam w roku 2019? Netflix zaproponuje wspomnianego „Wiedźmina", możliwy jest także drugi sezon „1983", bo historia jest jak na razie urwana w połowie. Tyle że dzieło Joshuy Longa to nudna propagandowa kicha. Showmax zwinął się z naszego rynku, nowych polskich produkcji oryginalnych więc nie będzie. HBO zapowiada trzeci sezon „Watahy" i tyle. Canal Plus pokaże prawdopodobnie serial komediowy Juliusza Machulskiego „Mały zgon", o którym reżyser mówi, że to polska odpowiedź na „Breaking Bad", „Fargo" i „Ozark". Pamiętając jednak, jak w ostatniej dekadzie dołował Machulski („Ambassada", „Volta"), trudno wykrzesać z siebie większe emocje. Krążą plotki o ekranizacji „Króla" według prozy Twardocha, ale konkretów brak. Opóźnia się premiera „Zasady przyjemności" – serialu z tej samej stajni – zapowiadanego na rok 2018, ale nic z tego nie wyszło.

Na rynku stacji tradycyjnych pozostaje TVN inwestujący głównie w powtórkę z rozrywki – drugie sezony „Pułapki" i „Pod powierzchnią", telewizyjnej konfekcji do szybkiego zapomnienia. I zapowiadający powrót serialu „Odwróceni" z 2007 r. TVP wzbogaca swą ofertę seriali historycznych. Już miała miejsce premiera serialu „Rozbite marzenia. 1918–1939", a w sierpniu czeka nas „Ziuk. Młody Piłsudski" (pierwszy odcinek można było obejrzeć w TVP1 11 listopada ubiegłego roku). Ciekawych wieści z Polsatu brak, choć podobno podoba się tam pewien projekt oparty na sensacyjnej prozie Marcina Ciszewskiego. Wygląda na to, że dla polskich seriali tak dobry rok jak 2018 długo się nie powtórzy. Widzom pozostaje pociecha z importu i zastanawianie się nad nowym pytaniem. Do niedawna sądziliśmy, że w dziedzinie telewizyjnych seriali Polak po prostu nie potrafi. Teraz już wiemy, że potrafi. Jednak dlaczego nie chce? Pytania na piśmie proszę wysyłać do biur swoich ulubionych stacji telewizyjnych.

Premiera „Wiedźmina" w Netflixie planowana jest na jesień 2019 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

Gustaw Klimt „Śmierć i życie" (1911–1915) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wszystko jest żyjącą śmiercią

Wiesław Chełminiak

Mozart, Alpy i tort Sachera to za mało. Nowym produktem eksportowym Austrii stał się modernizm

Sto lat temu, gdy Warszawa świętowała, wiedeńczycy pogrążeni byli w żałobie. Dla nich rok 1918 skończył się katastrofą. Jedną z najwspanialszych europejskich metropolii zdegradowano do roli stolicy karłowatego państwa, zamieszkanego przez naród pozbawiony tożsamości. Po detronizacji Habsburgów Austriacy musieli się wymyślić na nowo. Wielu z nich doszło do wniosku, że są po prostu Niemcami, przez historyczne zawirowania oddzielonymi od ojczyzny.

Niechciana republika, zbyt słaba, by wieść w pełni suwerenny żywot, po wielu perturbacjach trafiła tam, skąd przyszła – do wielonarodowego, dysfunkcyjnego imperium. Rzucające się w oczy podobieństwo Unii Europejskiej i ck monarchii nie za bardzo cieszy austriackie elity. Zamiast cesarza Franciszka Józefa wolą więc fetować luminarzy z przełomu XIX i XX w.

Wybór mają duży. Pacyfizm? W przededniu I wojny światowej umarła niestrudzona orędowniczka rozbrojenia baronowa Bertha von Suttner. Psychoanaliza? W centrum Wiednia przyjmował pacjentów dr Sigmund Freud. Muzyka? Gustav Mahler zamknął epokę neoromantyzmu, Arnold Schönberg wprowadził zaś na salony demona dodekafonii. Architektura? Adolf Loos i Josef Hoffmann uwolnili ją z oków eklektyzmu.

SKANDALIŚCI KONTRA KLASYCY

Tę wyliczankę można by ciągnąć jeszcze długo. Nikt przytomny nie zaneguje literackiej klasy Arthura Schnitzlera i Roberta Musila, urody dekadenckich wierszy Georga Trakla oraz tego, że jednym z prekursorów ekspresjonizmu był wiedeńczyk Richard Gerstl (notabene dwaj ostatni popełnili samobójstwo). Budowanie marki kraju na ich dokonaniach ma tę dodatkową zaletę, że jest politycznie bezpieczne.

eprasa.pl e3336b6748

Żaden z czołowych modernistów nie spiknął się z antysemitami ani wrogami demokracji, praktykowali raczej kosmopolityzm niż nacjonalizm. Tym łatwiej więc reszta świata przyjmie do wiadomości, że to nad Dunajem zaczęły się bóle porodowe nowej ery.

Projekt „Piękno i otchłań", obejmujący serię wystaw poświęconych estetycznej rebelii sprzed stu lat, grzeszy anachronizmem. Na początku wieku XX wiedeńczycy gardzili sztuką nowoczesną. Najwięcej fanów miał eklektyczny styl Hansa Makarta. Zorganizowana w 1908 r. wielka retrospektywa zmarłego 24 lata wcześniej nadwornego malarza Franciszka Józefa zgromadziła tłumy. Przykład szedł z góry: cesarz miał gust drobnomieszczański, a następca tronu arcyksiążę Franciszek Ferdynand awangardy wręcz nie cierpiał. Ujrzawszy jedno z dzieł Oskara Kokoschki, powiedział, że autorowi powinno się połamać kości.

Moderniści, zderzywszy się z murem niechęci, na odrzucenie reagowali agresją. Przypięto im łatkę dewiantów i deprawatorów młodzieży, co było raczej nieuniknione w kraju tak zachowawczym jak Austria. Naddunajski konserwatyzm także dziś działa na twórców jak płachta na byka (dość wspomnieć prozę Jelinek, filmy Hanekego i brewerie akcjonistów wiedeńskich). W cesarskim Wiedniu skandal wywołać było łatwo. Wystarczyło publicznie stwierdzić, że ornament to zbrodnia.

ZMIERZCH PÓŁBOGÓW

Dziwna rzecz: przywódcy buntu przeciw staromodnemu stylowi monarchii razem z nią poszli do grobu. Pierwszy umiera guru secesji, Gustav Klimt. 11 stycznia 1918 r. dostaje udaru mózgu. Wydawało się, że dochodzi do siebie, lecz w szpitalu złapał zapalenie płuc, które 6 lutego położyło kres jego życiu. „Gdyby ten głupi świat wiedział, co dzisiaj stracił!" – komentuje architekt Otto Wagner, uważany za ojca chrzestnego modernizmu. Trzy miesiące później sam leży na marach. 18 października walkę z nowotworem gardła przegrywa genialny projektant Koloman Moser.

Śmiercią Klimta najbardziej przejął się Egon Schiele. Wszedł do kostnicy, by narysować zmienione nie do poznania oblicze mistrza. 28 października portretuje żonę, którą zabiła grypa hiszpanka. Edith była w ciąży. Egon na jej pogrzeb nie pójdzie, bo też jest zarażony i po trzech dniach cierpień pożegna się z życiem. „Moje obrazy będą pokazywane w muzeach na całym świecie" – takie ponoć były jego ostatnie słowa. Zgon 28-letniego ekspresjonisty przechodzi bez echa, bo ofiary epidemii liczy się na tysiące, poza tym wiedeńczycy są przejęci agonią państwa. Ze wszystkich mocarstw, uwikłanych w wielką wojnę, Austro-Węgry zapłacą najwyższą cenę – znikną z mapy.

ZA WIELE TALENTU

Schiele, syn samobójcy i duchowy brat Witkacego, pozostawił po sobie ponad trzy tysiące prac, w tym masę rysunkowych selfików (także w stroju Adama). Ulubiony temat: nagie ciało, martwe lub zdeformowane chorobą i cierpieniem. „Wszystko jest żyjącą śmiercią" – ten cytat z poematu „Tannenwald", który napisał w 1910 r., wypada uznać za programowy. Okrucieństwo sztuki młodego wiedeńczyka jeszcze dziś robi wrażenie. Rozczochrany Egon był entuzjastą psychoanalizy. Zarabiał na życie, sprzedając pornograficzne grafiki. Podejrzany o pedofilię, spędził trzy tygodnie w areszcie, zanim sąd (demonstrując wstręt do wynaturzonej sztuki) oczyścił go z zarzutów. Dzisiaj nie wywinąłby się tak łatwo.

Klimt zapytany, czy jego podopieczny ma talent, odparł: „Aż za wiele!". Karierę utrudniał Schielemu temperament prowokatora. Na ataki konserwatystów odpowiedział obrazem, na którym kardynał czule obejmuje zakonnicę. Łatwo dostrzec, że duchownym jest on sam, a mniszka ma twarz jego nieletniej kochanki. Dzieciak, po prostu dzieciak. Jak na ironię, kiedy Egon nieco dojrzał – jako człowiek i artysta – upomniała się o niego kostucha.

Sława przyszła dopiero w ostatnich dekadach XX w., gdy wróciła moda na ekspresjonizm. Chcąc kupić dziś akt albo autoportret austriackiego enfant terrible, trzeba być milionerem. W wiedeńskim Dolnym Belwederze do 17 lutego czynna jest niewielka wystawa, której ozdobą jest jedno z najsłynniejszych dzieł Schielego: „Śmierć i dziewczyna". Lwia część jego prac znajduje się w Leopold Museum. Kuratorzy wychodzą ze skóry, by udowodnić, że ta sztuka wciąż jest aktualna. Mimowolnie pomagają im w tym urzędnicy, niechętni reklamowaniu modernizmu obscenicznymi rysunkami, oraz feministki, zarzucające artyście seksizm i mizoginię.

Na jubileuszowej wystawie oprócz obrazów i grafik można było obejrzeć listy, fotografie, maskę pośmiertną Egona i kosmyk włosów Edith. Rekordowe zainteresowanie – 400 tys. sprzedanych biletów – sprawiło, że muzealnicy postanowili pójść za ciosem. Ekspozycję można zwiedzać aż do 10 marca, i to w wersji wzbogaconej o prace artystów współczesnych (Amerykanka Louise Bourgeois, Niemka Elisabeth von Samsonow, Japończyk Tadashi Kawamata, Angielka Sarah Lucas i inni).

Pomysł, by przypomnieć dorobek prekursorów i pogrobowców modernizmu, zaowocował kuriozalną wystawą poświęconą austriackim skandalistom z drugiej połowy XX w. Następcy Schielego w swej pasji szokowania doszli do ściany. Cóż bowiem jeszcze można zrobić po namalowaniu Chrystusa jako kobiety z krzyżami zamiast rąk? W podobnych kategoriach oceniam retrospektywę Antona Romako, który zapowiadał się na solidnego malarza akademickiego (rywalizował z Makartem, cesarz kupił nawet jego „Bitwę Amazonek"), lecz osunął się w przepaść kiczu. Wiedeński salon odwrócił się od nieboraka, co wystarczyło młodym kontestatorom, by dostrzec w nim bratnią duszę i sekowanego geniusza. To już więcej sensu mają ekspozycje poświęcone fotografom wiedeńskiej belle époque.

BARDZO NIEŚMIAŁY SATYR

Doceniając wysiłki Austriaków, popularyzujących dokonania mniej lub bardziej zapomnianych modernistów, trudno nie zauważyć, że ich wysiłki w dużym stopniu idą na marne. Dla większości rodaków i turystów rozdeptujących Wiedeń król secesji jest tylko jeden i nazywa się Gustav Klimt. W tytule wystawy w Leopold Museum znalazło się nawet określenie „artysta stulecia".

Sławę zawdzięcza zmysłowo-egzotycznym kompozycjom, na których ornamenty pochłaniają ciała modelek. Jego ojciec był złotnikiem i grawerem, co nie pozostało bez wpływu na sztukę Gustava. Jako student powołał do istnienia Spółkę Artystów, która przygotowała dekoracje do pochodu upamiętniającego srebrne gody Franciszka Józefa i kapryśnej Sissi, ozdabiała łaźnie w Karlsbadzie, teatry w Libercu, Bukareszcie i Rijece. Po Makarcie Klimt i spółka odziedziczyli wyjątkowo prestiżowe zlecenie w Wiedniu – namalowanie alegorii dawnej sztuki w górnej części klatki schodowej Kunsthistorisches Museum.

Z okazji jubileuszu zbudowano specjalny podest, pozwalający przyjrzeć się z bliska obrazom wciśniętym między gzyms a arkady. W dziale starożytności egipskich zawieszono zaś akt „Nuda

eprasa.pl e3336b6748

Anton Hanak „Ecce Homo" (1917–1924)
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

veritas", który – trzeba przyznać – bardzo do tego miejsca pasuje. W 1897 r., w wieku, w którym zwykle dąży się do stabilizacji, 35-letni malarz stanął na czele artystów-buntowników. Katalizatorem był skandal, wywołany przez projekty malowideł na suficie auli Uniwersytetu Wiedeńskiego. Władze uczelni uznały je za gorszące, profesorowie napisali petycję do ministerstwa oświaty, sprawa stała się przedmiotem interpelacji poselskiej. Po 10 latach przepychanek zniechęcony Klimt obrazy odkupił. Spłonęły podczas wojny, dziś możemy je oglądać tylko na kiepskich, biało-czarnych fotografiach.

Mimo wszystko autor „Pocałunku" pozostał artystą establishmentu. Skończyły się publiczne zamówienia, zablokowano jego kandydaturę na stanowisko wykładowcy Akademii Sztuk Pięknych, lecz mecenasami Klimta stali się obrzydliwie bogaci wiedeńscy burżuje. Malował portrety ich żon i córek, najpierw nagie, dopiero potem przykrywał ciała modelek mozaikami i tkaninami. Fama głosi, że notorycznie z nimi sypiał. Jak było naprawdę, nigdy się nie dowiemy. Gustav był człowiekiem bardzo dyskretnym. Stronił od wygłaszania manifestów i komentowania własnych dzieł, miał problem nawet z napisaniem zwykłego listu.

Czy nieśmiały hipochondryk, mieszkający z matką i siostrami, przestępując próg pracowni na przedmieściu, zamieniał się w satyra? Po śmierci malarza pretensje do spadku zgłosiło 14 kobiet twierdzących, że wychowują jego potomstwo. Sam zainteresowany przyznawał się „tylko" do trojga nieślubnych dzieci. Tezę o erotomanii Klimta potwierdzają setki bezecnych szkiców znalezionych w jego atelier.

SIEROTY PO IMPERIUM

„Nuda veritas" opatrzona jest napisem: „Podobanie się wszystkim jest rzeczą niewłaściwą". Dzisiaj trudno spotkać człowieka, któremu wiedeńska secesja się nie podoba. Nazwisko autora obrazu stało się zaś marką handlową i magnesem dla turystów. Zainteresowanie wystawą dzieł ostatniego pokolenia artystów urodzonych i wykształconych w ck monarchii z pewnością wzrosło, gdy wymyślono dla niej tytuł: „Klimt to nie koniec". Eksponaty ściągnięto z państw sukcesyjnych (najwięcej z Węgier), ale o Polsce zapominano. Nazwa naszego kraju pojawia się tylko w biogramie malarza Franza Sedlacka, który urodził się we Wrocławiu, a zginął w 1945 r. w mundurze niemieckim, próbując nie dopuścić do wtargnięcia Armii Czerwonej na terytorium III Rzeszy. No cóż, lekceważenie polskiego wkładu w kulturę Europy ma – nie tylko nad Dunajem – długą tradycję.

Ekspozycja (we wrześniu przeniesiona do Brukseli, gdzie można ją oglądać do 20 stycznia) przypomina, z jak zawrotną prędkością zmieniały się w międzywojniu artystyczne mody. Wiedeń i Budapeszt podupadły i straciły moc przyciągania. Ludzie utalentowani emigrowali (czasem z przyczyn politycznych) do Paryża, Berlina i Moskwy. Nie wszystkie więzi zostały zerwane (rządzących łączyła obawa przed powrotem Habsburgów), lecz zapasy optymizmu wyczerpały się jeszcze, zanim Hitler został kanclerzem Niemiec. Rzeźba Antona Hanaka „Ostatni człowiek" (znana także jako „Ecce homo") odrywa się od ziemi z rozłożonymi ramionami i spogląda w dół, jakby szykowała się do skoku w przepaść. Wystawa kończy się złowieszczym cytatem Franza Grillparzera: „Ścieżka nowoczesnej kultury prowadzi od humanizmu przez nacjonalizm do bestialstwa".

PROROK W DEPRESJI

Z przywódców wiedeńskiej moderny najmniej znaną postacią jest Koloman Moser. Może dlatego, że był największym z nich idealistą. Współcześni nazywali go „artystą tysiąca talentów". Na sławie zależało mu mniej niż na wcieleniu w życie idei Gesamtkunstwerk – totalnego dzieła sztuki. Moser, członek założyciel secesji, znaczył w stowarzyszeniu więcej niż Klimt, z którym zresztą często współpracował.

Z wykształcenia był malarzem, lecz do historii przeszedł przede wszystkim jako designer. Projektował dosłownie wszystko: od mebli, ceramiki i biżuterii do plakatów, znaczków pocztowych, banknotów i okładek książek. Nie gardził modą ani scenografią (efekty można podziwiać na wystawie, zorganizowanej w wiedeńskim Muzeum Teatru, czynnej do 22 kwietnia). Wymyślił i zilustrował programowe pismo modernistów „Ver Sacrum". Misja „wkomponowania sztuki w życie codzienne" była jednak skazana na klęskę. Rosnące uzależnienie od wąskiego kręgu mecenasów oraz ich zgoła nienowoczesnych gustów skłoniło Mosera do porzucenia Wiener Werkstätte – słynnej spółdzielni artystów i rzemieślników. A przecież było to jego ukochane dziecko!

Rozczarowany wizjoner szukał pocieszenia, malując alpejskie pejzaże. Nie stronił też od symbolizmu. Obraz „Wenus w grocie" promuje wystawę „Klimt, Moser, Gerstl" w Leopold Museum (czynną do 10 marca). Jeszcze dłużej, do 22 kwietnia, potrwa retrospektywa „artysty tysiąca talentów" w MAK – Muzeum Sztuki Stosowanej. Jeżeli po tym wszystkim świat wciąż nie zechce uwierzyć, że nowoczesność urodziła się nad Dunajem, to tym gorzej dla świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY HISTORIA

TYGODNIK „DO RZECZY"
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY"

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

SZYMON NOWAK
„NIECHCIANI GENERAŁOWIE"

~~735~~ ZŁ > **278,00** ZŁ < OSZCZĘDNOŚĆ 457 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e3336b6748

FOT. MATERIAŁY PROMOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Pan Przerafinowany

★★★★☆☆

REŻ. LARS VON TRIER
„DOM, KTÓRY ZBUDOWAŁ JACK" („THE HOUSE THAT JACK BUILT")
DANIA/FRANCJA/NIEMCY/SZWECJA 2018

wyst. Matt Dillon, Bruno Ganz, Uma Thurman

Jak wiadomo, prawdziwy mężczyzna musi zbudować dom. Jackowi idzie to jak po grudzie, choć jest inżynierem uważającym się za architekta. Głowę zaprząta mu inna inwestycja: wznosi katedrę zbrodni.

Nikt nie rodzi się seryjnym zabójcą. Czemu Jack nim został, Bóg jeden raczy wiedzieć. Zachowania ma zmienne i neurotyczne. Na początku zaciera ślady, potem zachowuje się tak, jakby chciał zostać złapany na gorącym uczynku. Działa według planu, ale potrafi też improwizować. Ciała ofiar zachowuje na pamiątkę, robi im „artystyczne" fotografie. Dla Pana Wyrafinowanego (taki przydomek nadały mu media) morderstwo jest bowiem dziełem sztuki: im bardziej odrażającym, tym bliższym doskonałości.

Intencje reżysera są – bez dwóch zdań – perfidne. Próbuje zrobić z nas wspólników Jacka, chce, byśmy mu kibicowali. To oczywiście pułapka. Gdy przyklaśniemy definitywnemu uciszeniu namolnego babsztyla, dowiemy się, że dzieci i starcy potrafią być równie irytujący. A ileż to się trzeba namęczyć, by owe kreatury życia pozbawić! Nadchodzi wszakże moment, w którym wynurzenia psychopaty stają się niestrawne nawet dla fanów makabry.

Lat temu siedem Trier popełnił grzech niewybaczalny: zdradził się z fascynacją nazizmem. Czar prysł, ci sami krytycy, którzy piali z zachwytu nad „Przełamując fale", a oglądając „Tańcząc w ciemnościach" wyżymali chusteczki, obwieścili wszem wobec, że Mistrz jest łobuzem oraz nihilistą. A on, zamiast iść do Canossy, brnął w kolejne prowokacje. „Dom, który zbudował Jack" również powstał na pohybel filmowemu światkowi, a może nawet światu całemu.

Duńczyk kpi sobie z przemądrzałych teorii na temat seryjnych zabójców oraz swojej reputacji mizogina i sympatyka III Rzeszy. Nieprzypadkowo Pan Wyrafinowany aranżuje masowy mord na wzór Einsatzgruppen, zachwyca się Speerem i dźwiękiem, wydawanym przez nurkujące sztukasy. Mam podejrzenie, graniczące z pewnością, że Ganz nie zagrałby w tym filmie Wergiliusza, gdyby wcześniej nie wcielił się w Hitlera.

Trier, oprócz celebrowania scen brutalnych, chętnie popisuje się erudycją. Ustami bohatera snuje dziwaczne teorie, by je za chwilę podważyć. Jego to naprawdę bawi. W Cannes co poniektórzy wychodzili demonstracyjnie z pokazu, padały oskarżenia o sadyzm. Poniekąd słuszne, lecz prawdziwego artystę poznaje się po tym, jak kończy. Finał filmu wskazuje zaś, że duński skandalista mimo wszystko sądzi, że sztuka ma jakiś związek z moralnością. Za wizję zaświatów oraz piosenkę, komentującą historię Jacka, należy mu się dodatkowa gwiazdka. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „MARIA, KRÓLOWA SZKOTÓW"

Kinowy debiut reżyserki teatralnej Josie Rourke to film na motywach biografii Marii Stuart pióra Johna Guya, za scenariusz odpowiada Beau Willimon (twórca amerykańskiej wersji „House of Cards"). Największe zainteresowanie wzbudza jednak Saoirse Ronan w roli tytułowej, aktorka ma za sobą serię świetnych kreacji (z rolą w „Lady Bird" na czele). Królową Elżbietę I tym razem gra Margot Robbie, również zbierająca w ostatnich latach coraz lepsze recenzje („Jestem najlepsza. Ja, Tonya"). ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Maria, królowa Szkotów", reż. Josie Rourke, wyst. Saoirse Ronan, Margot Robbie, Jack Lowden, Wielka Brytania 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Nienawiść, którą dajesz", reż. George Tillman Jr., USA 2018***
- ***„Miszmasz, czyli kogel-mogel 3", reż. Kordian Piwowarski, Polska 2019***
- ***„Złe wychowanie Cameron Post", reż. Desiree Akhavan, USA 2018***
- ***„O psie, który wrócił do domu", reż. Charles Martin Smith, USA 2018***

eprasa.pl e3336b6748

Święta z uzależnionym

Święta Bożego Narodzenia kojarzą się z romantycznymi komediami oraz Kevinem wcielającym w życie starą anglosaską zasadę: „Mój dom to moja twierdza". Ze stereotypem nikt nie wygra, więc polski dystrybutor zaordynował, by „Powrót Bena" premierę miał dopiero po Święcie Trzech Króli. Do spóźnienia doszedł pech – film Hedgesa zderzył się na ekranach z „Moim pięknym chłopcem", eksploatującym to samo terytorium, tyle że w sposób mniej przewidywalny.

Tam centralną postacią był ojciec, tutaj – matka, którą cieszy możliwość spędzenia Gwiazdki z pierworodnym, jednak nauczona smutnym doświadczeniem zawozi go na cmentarz i pyta: „Gdzie mam cię pochować?". Dla Bena ta wizyta jest ryzykowna podwójnie, dał się bowiem poznać krajanom jako ćpun i zarazem diler. Scenarzysta-reżyser też zgrzeszył: brakiem wiary w domyślność widza, tudzież nadmiernym przywiązaniem do rekwizytów oraz psa-przytulanki.

★★★☆☆☆
REŻ. PETER HEDGES
„POWRÓT BENA" („BEN IS BACK")
USA 2018

wyst. Julia Roberts, Lucas Hedges, Kathryn Newton

Wielkim atutem i zarazem nieszczęściem „Powrotu Bena" jest Julia Roberts. Aktorsko staje na wysokości zadania, lecz – jak na gwiazdę przystało – zagarnia dla siebie coraz więcej przestrzeni. Tylko Hedges junior zdołał się wybronić przed zepchnięciem do roli statysty i kto wie, czy to nie on dostanie nominację do Oscara. Bo w żeńskich kategoriach konkurencja jest w tym roku jakby większa. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KRÓLESTWO ZA IMPERIUM

★★★★★☆
SEZON 1
„SUKCESJA" („SUCCESION")
USA 2018, DYSTR. GALAPAGOS

wyst. Brian Cox, Jeremy Strong, Hiam Abbas

Najgorzej w życiu być bogatym i wpływowym – przekonują twórcy „Sukcesji", serialu, który stanowi skrzyżowanie „Dynastii" z „Grą o tron". Logan Roy, starzejący się właściciel medialnego imperium, szykuje się do przekazania majątku w ręce następcy. Jednak kto nim będzie? Dzieci Loganowi nie brakuje, wszystkie ambitne i bezwzględne, choć nie wszystkie z tego samego małżeństwa. A kiedy nestora rodu powali wylew, a na horyzoncie pojawi się okazja do korzystnej fuzji z azjatyckim inwestorem, piekło rozpęta się na całego. Oczywiście każdy cios zadawany jest z uśmiechem, nie w ciemnej alejce, lecz w zaciszu luksusowych gabinetów. A przewagę zdobywa ten, kto ma lepszy dostęp do najświeższych kompromatów. Wymyślony przez Jessego Armstronga („Cztery lwy", „The Thick of It") serial jest inteligentny, zabawny i gorzki. Żądza władzy i pieniędzy wyzwala w rywalach to, co najgorsze, najciekawiej zaś jest wówczas, gdy wymyślają dla siebie rozmaite usprawiedliwienia. ©℗

MAMO, MAMO, ZAMKNIJ OCZY

★★★☆☆☆
REŻ. SUSANNE BIER
„NIE OTWIERAJ OCZU" („BIRD BOX")
USA 2018, DYSTR. NETFLIX

wyst. Sandra Bullock, John Malkovich, Trevante Rhodes

Fala dziwnych samobójstw ogarnęła ludzkość. Liczba ofiar idzie w miliony. Ziemia znajduje się pod panowaniem sił, dla których zmuszenie kogoś do odebrania sobie życia to betka. Jest jednak sposób na przetrwanie: wystarczy nie patrzeć. Pięć lat po kataklizmie opiekująca się dwojgiem dzieci Malorie wyrusza w podróż, by znaleźć bezpieczne schronienie. Film Susanne Bier („Nocny recepcjonista") jest zrzynką z „Dnia tryfidów" oraz z ubiegłorocznego hitu „Ciche miejsce", w którym jedyną drogą ratunku przed obcymi było zachowywanie absolutnej ciszy. „Nie otwieraj oczu" zrealizowano sprawnie, choć dziur logicznych mamy tu całe wiadro. Napięcie do końca udało się utrzymać dzięki decyzji, by jednak nie pokazać tajemniczych potworów (podobno odpowiednia sekwencja była nakręcona, ale ją wycięto, bo stwory wyglądały idiotycznie). ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „MEDIEVAL KINGDOM WARS"

★★★★★☆

Co by się stało, gdyby połączyć elementy dobrze znane ze strategicznej serii „Total War", czyli wielką historyczną mapę rozgrywki i dowodzenie potężnymi armiami, z elementami RTS, budową bazy i fortyfikacji, dopracowanymi do perfekcji w „Twierdzy"? Wyszłaby ciekawa hybryda obydwu tytułów, którą otrzymujemy do rąk pod postacią „Medieval Kingdom Wars". Chociaż mam mieszane uczucia co do mechaniki gry, toczącej się w czasie rzeczywistym, w której raz popełnione błędy nie mogą być naprawione poprzez wyczytanie save'ów, warto docenić ambicje twórców, którzy zaprogramowali tętniący życiem świat dojrzałego średniowiecza. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *RTS*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Reverie World Studios*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl e3336b6748

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Bigos po polsku

Po „Imigrantach wracających do domu" drugą swoją prozę zaprezentował w końcu minionego roku Wojciech Kudyba, autor wcześniej znany z dokonań poetyckich i krytycznoliterackich. Jak się okazuje, jako prozaik ma równie wiele do powiedzenia, a nawet – zasugerowałbym – są to rzeczy o większym ciężarze gatunkowym.

„Kamienica", bo o tę jego książkę mi chodzi, liczy zaledwie 110 stron i składa się z czterech opowiadań, o ile czytelnik nie potraktuje ich łącznie jako rodzaju minipowieści, co jednak odradzam, szczególnie ze względu na charakter trzeciego z kolei tekstu „Wakacje życia", wyraźnie zachowującego swą odrębność i integralność. A jest to brawurowa historia rodziny (małżeństwo z dwojgiem dzieci – jednym niepełnosprawnym – i dziadek), która na co dzień, żyjąc od pierwszego do pierwszego, pozwala sobie na letni wyjazd za granicę, konkretnie do Bułgarii nad Morze Czarne, co okazuje się możliwe głównie dzięki programowi „500+". W trakcie lektury odniosłem nawet wrażenie, że gdyby autor pohamował swój temperament pisarski, wyszłoby to „Wakacjom…" na dobre, bo np. uśmiercenie dziadka nie tłumaczy się fabularnie, jest tylko jeszcze jednym mocnym naciśnięciem literackiego pedału. Nie będę jednak jojczył, generalnie opowiadanie jest więcej niż dobre, a we fragmentach prezentujących codzienne życie rodziny przed wyjazdem i perypetie mężczyzny, by utrzymać familię, odmawiając współudziału w ewidentnym przestępstwie – wyborne.

Proza Wojciecha Kudyby błyskawicznie reaguje na wydarzenia natury społecznej, ale i politycznej. Tak było w „Imigrantach…" opowiadających o życiu Polaków w Niemczech, zmieniającym się także pod wpływem nowych,

FOT. ARCHIWUM WOJCIECHA KUDYBY

nieznanych wcześniej zjawisk, takich jak np. islamizacja. To opowieść o losie ludzi oderwanych od korzeni. Nie tylko narodowych, lecz także cywilizacyjnych, kulturowych, religijnych. Nieprzypadkowo padają w tej powieści słowa: „Może w Polsce Bóg jeszcze jest, ale u nich [czytaj: Niemców] już dawno umarł". Błędne byłoby wyciąganie z takich uwag wniosków o religijności Polaków, gdyż ta zagrożona jest w takim samym stopniu. To odchodzącej już generacji, osobom starszym i wręcz starym, zawdzięczamy niecałkowitą skuteczność prowadzonej pod wieloma szyldami ateizacji. Tym „starszym" i „najstarszym" żyje się jednak coraz trudniej. I w Niemczech, i w Polsce. Niestety, i naszą rzeczywistość świetnie określiłby dziś tytuł: „To nie jest kraj dla starych ludzi".

Tytuł ten pasowałby i do otwierającego nowy tom Kudyby opowiadania „Kamienica wyczyszczona na glanc". Orzeczenie w tytule nasuwa prawidłowe skojarzenia. Tak, opowiadanie opowiada m.in. o czyścicielach kamienic, jak nazwano osobników wyrzucających lokatorów i zatruwających im codzienne życie. Ich przestępczą działalność w całej okazałości ukazała sejmowa komisja do spraw reprywatyzacji nieruchomości, której przewodniczył Patryk Jaki. Literatura podsuwa zaś taki obraz:

„Wodziłem za nimi oczami, oni zaś jakby w ogóle mnie nie widzieli. Otworzyli okno i zaczęli wyrzucać przez nie moje ciuchy, pościele i ręczniki. Kiedy szafa była pusta, jeden poszedł po siekierkę, a drugi wywalał najpierw kwiatki, a potem książki z etażerki. Na ścianie miałem ślubne zdjęcie rodziców i dwa obrazki. Jeden z Panem Jezusem, a drugi z Matką Boską. Wysoki wrócił, a wtedy ten niski:

– Patrz, jakie dziadostwo jeszcze się czasem w tych mieszkaniach trafia. My już w Europie, a tu ciągle jeszcze przedpotopowe zabobony…". Jakiekolwiek próby powstrzymania demolki nie przynoszą żadnych efektów. Na papierze jest to bowiem pustostan, a że mieszka w nim człowiek… Cóż – powiada ktoś – „to nie jest miasto dla śmieci, tylko dla panów". Dla panów czyścicieli…

Na wszelki wypadek podkreślam jednak, że opowiadania Wojciecha Kudyby nie są prostym odwzorowaniem tematów z pierwszych stron gazet. Tak na szczęście nie jest, a czytelnika „Kamienicy" mogą zaskoczyć, dajmy na to, błyskotliwe fragmenty eseistyczne tekstu „Co zostaje po człowieku", z przemyśleniami na temat rozumienia narodów poprzez potrawy, które narody te spożywają. I tu zatrzymuje się Wojciech Kudyba na polskim bigosie, co nie dziwi, ale już nad pocieszycielską funkcją, którą pełni bigos w narodowym nieszczęściu, warto się zastanowić. A wątpliwości rozwiać lekturą „Pana Tadeusza". ©℗

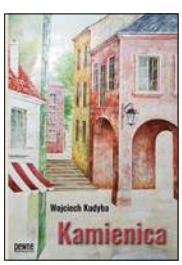

★★★★☆☆

WOJCIECH KUDYBA „KAMIENICA" PEWNE WYDAWNICTWO 2018

eprasa.pl e3336b6748

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Odpowie wiatr

Co będzie jutro, odpowie wiatr" – śpiewali kiedyś Chłopcy z Placu Broni, co jak ulał pasuje do tytułu książki Marceliny Szumer-Brysz o współczesnej Turcji. Zresztą autorka dobrze o tym wie, bo przecież nie bez powodu zatytułowała swój zbiór „Wróżąc z fusów".

To kawał dobrej reporterskiej roboty – z kilku względów. Po pierwsze, autorka zna Turcję dobrze, bo spędziła tam kilka lat, daleka jest jej więc perspektywa turysty-przechodnia.

Po drugie, choć książka to zestaw tekstów pisanych w różnych latach i przy różnych okazjach, jej tureckie opowieści ładnie uzupełniają się ze sobą, korespondują wewnątrz tomu, układają się w dywan tematów i obserwacji, których oderwać od siebie nie można – historia, religia, polityka – jak wiele polityki – się ze sobą nierozerwalnie splatają. Tak jest w każdym kraju, ale nie każdy reporter to potrafi dostrzec i oddać, zbyt często dając się porwać „reportażowi zaangażowanemu".

Zatem trzeci powód do lektury to to, że Szumer-Brysz nie wyrywa się z ocenami, po prostu przygląda się z bliska, notuje, docieka, gdy trzeba, cofa w czasie, a wnioski pozwala wyciągnąć czytelnikowi.

Prywatnie mogę dopisać mały czwarty plusik. Tak się złożyło, że w minionym roku i ja chadzałem ścieżkami autorki, nic o tym jednak nie wiedząc, wspinałem się na Górę Słowiczą, by ujrzeć Meryem Ana Evi, Dom Matki Bożej, który w objawieniu ujrzała Katarzyna Emmerich. Spacerowałem pełnymi uchodźców ulicami Izmiru, piłem kawę w Selçuku zmęczony wędrówką po ruinach Efezu. I po przeczytaniu książki „Wróżąc z fusów" wiem, jak mało wiem, że zwracałem uwagę nie na to, co powinienem, i że droga kolejnej wędrówki poprowadzi mnie znów w te miejsca, ale dzięki pani Marcelinie będę dużo mądrzejszy.

Co nie znaczy, że bliższy przewidzenia, jaki będzie efekt narastających sprzeczności, których Turcja jest areną. Wiele lat pukająca do bram Unii Europejskiej, ostatnio śmiertelnie obrażona, choć wielu do członkostwa nadal tęskni. Filar NATO skłócony z USA. Kraj rządzony przez ambitnego polityka, który wygumkowuje z historii świeckie dziedzictwo Atatürka, pozostając jednocześnie w konflikcie z islamskimi radykałami. Cud gospodarczy dobiega końca, lada chwila pęknie bańka na rynku inwestycji, na granicach wojna, tłumy uchodźców czekają, aż Erdoğan znów wypuści ich ku Europie. Co będzie jutro? No właśnie. ©℗

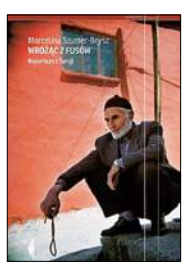

★★★★☆☆

MARCELINA SZUMER-BRYSZ „WRÓŻĄC Z FUSÓW. REPORTAŻE Z TURCJI" CZARNE 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Książka legenda znów w sprzedaży. Błyskotliwy wywód o tym, że nie polityka i gospodarka, lecz znacznie głębsze przyczyny są powodem podziałów oraz wojen między narodami. Wiemy, wiemy, czytaliśmy wszak Feliksa Konecznego.

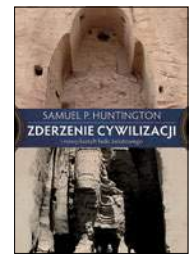

SAMUEL P. HUNTINGTON „ZDERZENIE CYWILIZACJI" ZYSK I S-KA

Film w kinach (w rolach głównych Steve Carell i Timothée Chalamet), książka w księgarniach – historia walki ojca z uzależnieniem syna. Szczera, krzepiąca i pomocna dla tych, których rodziny stają wobec problemu narkotyków.

DAVID SHEFF „MÓJ PIĘKNY SYN" PORADNIA K

Autorka świetnej biografii „Kilar: człowiek o dwóch twarzach" przedstawia kolejną fascynującą opowieść. Historia życia Henryka Mikołaja Góreckiego to jedna z najlepszych książek non-fiction wydanych w roku 2018.

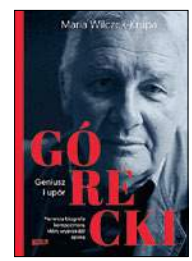

MARIA WILCZEK-KRUPA „GÓRECKI. GENIUSZ I UPÓR" ZNAK

Od Archimedesa do Williama Thurstona, dzieje nauki w 25 odsłonach, których bohaterami są wybitni matematycy i ich arcydzieła. Włączając tych, o których w popularnych książkach pisze się dość rzadko. ©℗

poleca Piotr Gociek

IAN STEWART „KRÓTKA HISTORIA WIELKICH UMYSŁÓW" PRÓSZYŃSKI I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.***
2. ***Yuval Noah Harari „Sapiens. Od zwierząt do bogów" (Wydawnictwo Literackie) – wznowienie książki autora „Homo Deus" wydanej przez PWN w 2014 r.***
3. ***Lucinda Riley „Siostra księżyca" (Albatros) – tom piąty cyklu „Siedem Sióstr", łączącego literaturę obyczajową z łagodną fantazją.***
4. ***Jakub Żulczyk „Ślepnąc od świateł" (Świat Książki) – powieść o dilerze narkotyków z Warszawy wraca na listę dzięki serialowi HBO.***
5. ***Beata Sabała-Zielińska „TOPR. Żeby inni mogli przeżyć" (Prószyński Media) – moda na górską literaturę faktu narasta – zaczęło się od biografii alpinistów.***

(Najchętniej kupowane książki minionego tygodnia na Swiatksiazki.pl)

eprasa.pl e3336b6748

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wołosi przez V

Ta mieszanka – z jednej strony karpackiej krwi, góralskiego polotu i spontaniczności, a z drugiej akademickiego sznytu muzyków klasycznych – od samego początku znalazła uznanie. Zadebiutowali w 2010 r. na Festiwalu Nowa Tradycja – imprezie folkowej organizowanej przez Polskie Radio – i rozbili bank, zdobywając m.in. Grand Prix, nagrodę specjalną i nagrodę publiczności. Rok później zespół został zauważony na konkursie organizowanym przez Europejską Unię Nadawców EBU, a w 2012 r. wydał pierwszą płytę i od tej pory koncertuje na całym świecie. Żeby odkryć całe korzenie zespołu Wołosi, trzeba kopać głęboko. W 1985 r. zawiązała się góralska grupa Wałasi, by po osiągnięciu pełnoletności i dołączeniu do niej muzyków klasycznych, braci Krzysztofa i Stanisława Lasoniów, zmienić w 2007 r. nazwę na Wałasi i Lasoniowie. W 2009 r. zespół opuścił Zbigniew Wałach, zabierając ze sobą nazwę Wałasi i prawa do znacznej części repertuaru. Zespół przemianował się więc – na początku występował pod marką Wołosi i Lasoniowie, by ostatecznie we wspomnianym 2010 r. stworzyć markę Wołosi. A ta dała się poznać jako grupa, która zachowując karpackie korzenie, tworzy nowoczesną muzykę, trafiającą do gustów współczesnych odbiorców, wyciskając z klasycznych instrumentów maksimum ich możliwości, idąc w stronę jazzu, wystawiając rockowy pazur. Po latach na scenie wciąż czuć, że muzycy ze wspólnego grania czerpią przyjemność, a na koncertach potrafią krzesać iskry. Dzisiaj Wołosi to bracia Lasoniowie – instrumentaliści związani na co dzień z Katowicką Akademią Muzyczną. Jak sami mówią o sobie: „Zawsze marzyli o improwizacji i ponad wszystko ukochali ludowość wraz z jej spontanicznością, witalnością i pięknem". A także górale: Jan Kaczmarzyk, Zbigniew Michałek i Robert Waszut – samoucy, ale w muzyce to nie zarzut. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Walce, tango i Dracula

Składanka najpopularniejszych tematów filmowych Wojciecha Kilara, wybitnego kompozytora, który odszedł od nas pięć lat temu.

Jako kompozytor Kilar zadebiutował pod koniec lat 50. na festiwalu Warszawska Jesień. Wraz z Krzysztofem Pendereckim i Henrykiem Mikołajem Góreckim współtworzył nową polską szkołę awangardową. Największą popularność zyskał jednak dzięki muzyce filmowej – skomponował utwory do ponad 130 obrazów. Najwięcej, ponad 40, soundtracków napisał do filmów Krzysztofa Zanussiego.

Album otwiera niezapomniany walc z „Trędowatej" Jerzego Hoffmana. Nie mogło też zabraknąć innych słynnych tańców autorstwa Kilara: walca z „Ziemi obiecanej" i tanga z „Zazdrości i medycyny". Jest oczywiście „Marsz kawalerii" z „Kroniki wypadków miłosnych" Andrzeja Wajdy. Współpracę z Krzysztofem Zanussim reprezentują dwa tematy z „Bilansu kwartalnego". Światowy sukces przyniosła Kilarowi ścieżka dźwiękowa do „Draculi" Francisa Forda Coppoli – na płycie są cztery kompozycje – oraz „Pianisty" Romana Polańskiego. Z tego oscarowego filmu usłyszymy „Moving to the Getto Oct. 31, 1940".

Na płycie zebrano wybitne kompozycje, jednak filmowy dorobek Kilara jest ogromny (pisał również dla Kieślowskiego, Kutza, Hasa czy Jane Campion) i zasługuje na znacznie obszerniejszą prezentację. ©℗

★★★★★★
WOJCIECH KILAR
„POLSKA MUZYKA FILMOWA"
SONY

★★★★★☆
DEERHUNTER
„WHY HASN'T EVERYTHING ALREADY DISAPPEARED?"
4AD

Ósmy album intrygującego amerykańskiego zespołu zachwyca różnorodnością tematów (od ekologii po politykę) i muzyki (od synth popu po psychodelię). Słyszymy klawesyn, syntezatory, kontrabas, ale i siarczyste rockowe riffy. Warto zaryzykować.

★★★☆☆☆
NOCNY KOCHANEK
„RANDKA W CIEMNOŚĆ"
AGORA

Archaiczny pol-metal z niepoprawnymi obyczajowo tematami czy społeczno-egzystencjalnymi rozważaniami: „Już nieraz na kasę skroiłem rodzinę / Bo chciałem odłożyć na czarną godzinę". Dla wrażliwych – ryzykowne. ©℗

eprasa.pl e3336b6748

ALEKSANDRA **GINTROWSKA** | JULIA **GINTROWSKA** | PAULINA **GROCHOWSKA** | RENATA **PRZEMYK**
ŁUKASZ **DRAPAŁA** | MAREK **PIEKARCZYK** | JAKUB **WOCIAL** | ZBIGNIEW **ZAMACHOWSKI**
ORAZ **ORKIESTRA NFM FILHARMONII WROCŁAWSKIEJ** POD BATUTĄ JANA **STOKŁOSY**

Niezapomniany koncert

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

Do wierszy Zbigniewa Herberta

NARODOWE FORUM MUZYKI WE WROCŁAWIU

7 LUTEGO 2019

GODZ. 20.00

BILETY DO NABYCIA
w kasach Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu.
Kasa czynna od poniedziałku do piątku w godzinach 11.00–18.00.

REZERWACJA ONLINE
WWW.NFM.WROCLAW.PL | BILETY.NFM.WROCLAW.PL | REZERWACJE@NFM.WROCLAW.PL

Bilety24
WWW.BILETY24.PL

WWW.GINTROWSKI.PL | /GINTROWSKI.PRZEMYSLAW | #GINTROWSKI

Fundacja im. Przemysława Gintrowskiego

WSPÓŁORGANIZATORZY: centrum historii zajezdnia | Wrocław the meeting place

PARTNERZY: LOTTO | Poczta Polska

PATRONI MEDIALNI: TVP | Gazeta Wyborcza | Do Rzeczy | wprost

eprasa.pl e3336b6748

Jan Parys

Zanim zaczniemy projektować politykę zagraniczną, zastanówmy się, czego chcą ważni gracze – USA, Rosja i Niemcy

Kosztowna lekkomyślność

Wiele osób z okazji nowego roku próbuje projektować polską politykę zagraniczną w 2019 r. Trwa wymiana różnych opinii. Moim zdaniem zanim przystąpi się do takiej dyskusji, warto najpierw przedstawić obecną sytuację na świecie, a zwłaszcza w Europie.

Jest faktem, że mimo wielu wspólnie podpisywanych deklaracji o jedności i współpracy poszczególne państwa często mają różne interesy i o nie silnie zabiegają. Nie zawsze te interesy są artykułowane wprost, jednak cele dyplomacji poszczególnych państw można zrekonstruować.

NIEMCY A SPRAWA POLSKA

W wypowiedziach z okazji nowego roku politycy koncentrowali się na problematyce relacji z USA oraz na ocenie stosunków RP z UE. Nie występował tam problem roli Niemiec w Europie, nie był podnoszony wpływ Niemiec na sytuację Polski. To dość dziwne, bo – jak wiadomo – od trzech lat politycy z Niemiec robią wszystko, by doprowadzić do osłabienia rządu PiS oraz jego zmiany na proniemiecki. Za pomocą gigantycznej operacji medialnej prowadzony jest systematyczny atak na RP w mediach niemieckich. Mamy do czynienia z wielką operacją dezinformacji na temat sytuacji w Polsce, której nigdy nie prowadziły na tę skalę np. media rosyjskie.

Niemcy wykorzystują swoje wpływy w Unii Europejskiej, by za pomocą jej mechanizmów politycznych i pseudoprawnych doprowadzić do osłabienia międzynarodowej pozycji rządu PiS. Można powiedzieć, że w tej chwili w Brukseli niemieckimi rękoma została zbudowana gilotyna dla premiera Mateusza Morawieckiego i prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego. Jeżeli nie nastąpi nadzwyczajne polityczne otrzeźwienie, to w marcu TSUE przystąpi do kolejnego politycznego dezawuowania władz RP i ich uprawnień do reformowania kraju. Nie przypadkiem TSUE podejmie decyzję na kilka tygodni przed wyborami europejskimi. Jest to całkowicie bezprawne ingerowanie UE w polskie wybory do Parlamentu Europejskiego. Dla mnie nie różni się to niczym od prób manipulacji, które były podejmowane przez ludzi Moskwy podczas wyborów w USA.

Mam wrażenie, że różni politycy w Polsce myślą, iż skoro o czymś nie mówią, to problemów tych po prostu nie ma, np. kolizji interesów naszych i niemieckich. Jest to postawa strusia, która w polityce nigdy się nie sprawdziła. Przekonaliśmy się o tym na początku stycznia 2019 r., kiedy rozgłośnia rządu RFN – Deutsche Welle – opublikowała na swym portalu artykuł pt. „Polska i Niemcy 2018". W tym tekście poza narzekaniem na nieporozumienia autor stwierdza, że mamy do czynienia ze strategicznymi rozbieżnościami między naszymi dwoma krajami. Dalej autor mówi wprost, że rozbieżności strategiczne dotyczą stosunku do USA, a to wynika z innej oceny polityki rosyjskiej. Zatem autor wskazuje, że nie chodzi o drobne nieporozumienia ani pojedyncze problemy, takie jak reparacje, migracje czy Nord Stream 2. Inna wizja relacji z USA jest uznana za strategiczną rozbieżność. Widać, że Niemcy inaczej oceniają zagrożenia dla swego bezpieczeństwa i chcą budować inny ład polityczny w Europie niż Polacy. Nie jest tajemnicą, że również Rosja ma inną wizję pożądanej sytuacji międzynarodowej niż rząd PiS.

Zanim zaczniemy dyskutować o tym, co chcemy i możemy robić w polityce zagranicznej w roku 2019, zastanówmy się najpierw, czego chcą ważni gracze, czyli USA, Rosja i Niemcy.

SCENARIUSZ TRUMPA

Trump zapowiedział i realizuje odwrót od globalizmu i multilateralnych relacji międzynarodowych. Przeprowadził renegocjacje umów handlowych z Kanadą i Meksykiem. Trwają negocjacje w sprawie nowych umów z Niemcami i Chinami. USA odrzucają dotychczasową politykę UNESCO i WHO. Wzmacnia się potencjał wojskowy USA, zwłaszcza w Europie Środkowo-Wschodniej. Niemcy są postrzegane w tej chwili jako mało wiarygodny sojusznik ze względu na bliskie więzi gospodarcze z Moskwą. UE jest postrzegana jako organizacja biurokratyczna, hamująca rozwój i samodzielność

eprasa.pl e3336b6748

FOT. POOL/REUTERS/FORUM

poszczególnych państw. Co więcej, jest rozbita na proatlantycką Europę Trójmorza i prorosyjską Europę Zachodnią. Rosja podlega sankcjom gospodarczym ze względu na próby ekspansji terytorialnej i siłową zmianę granic ustalonych po drugiej wojnie. Ta ekspansja terytorialna oznacza, że sama Moskwa przekreśla szansę na kooperację między Wschodem a Zachodem, która była projektowana po zakończeniu zimnej wojny.

Waszyngton liczy na to, że po odejściu od władzy Merkel zmieni się niemiecka polityka, że Berlin przestanie być prorosyjski i wróci do polityki proatlantyckiej. A po takiej ewolucji polityki niemieckiej nastąpi powrót całej UE do polityki proatlantyckiej.

Polska jest w tej chwili postrzegana nie tylko jako najważniejszy kraj flanki wschodniej sojuszu. Jako najsilniejszy kraj regionu i twórca Trójmorza odgrywa rolę klina, który blokuje zbliżenie rosyjsko-niemieckie. Wielu polityków w Waszyngtonie uważa coraz bliższą kooperację RFN i Rosji za bardzo duże wyzwanie dla Ameryki, gdyż sojusz niemieckiej technologii i kapitału z rosyjskimi surowcami i zasobami demograficznymi mógłby poważnie rywalizować z USA gospodarczo i militarnie. Rosja w tym scenariuszu pozostaje państwem nieodpowiedzialnym, o stałych ambicjach imperialnych, które trzeba blokować wyścigiem zbrojeń i sankcjami. Jednym słowem, sama Moskwa swą polityką przesądza o odrzuceniu kooperacji z Zachodem i o tym, że stanie się zależna od Chin. Trump chce być liderem świata wolnych, suwerennych państw.

SCENARIUSZ MERKEL

W ostatnich latach politycy niemieccy systematycznie dystansowali się od polityki zagranicznej USA. Czynili tak ministrowie Sigmar Gabriel i Heiko Maas, a nawet kanclerz Angela Merkel. Okazją do tego były sankcje wobec Iranu, przemówienia Trumpa w ONZ, rezygnacja przez USA z układu INF, wycofanie wojsk USA z Syrii, nakłady na zbrojenia, ocena zagrożeń ze strony Moskwy czy polityka klimatyczna. Kanclerz Merkel pozycjonuje się jako lider świata liberalnego, jako zwolennik globalizmu i szef światowej opozycji wobec konserwatywnego Trumpa. Celem Merkel jest zintegrować UE, utrzymać wpływ Berlina na decyzje Unii, zacieśniać kooperację polityczną i gospodarczą z Rosją i w ten sposób zapewnić Niemcom samodzielną rolę w polityce wobec USA i Chin.

W tym scenariuszu Polska jest podporządkowana polityce prorosyjskiej Berlina. Pozostaje zasobem siły roboczej i – tak jak całe Trójmorze – jest pozbawiona podmiotowości politycznej na rzecz Brukseli. Władzy PiS albo już nie ma, albo jest całkowicie sparaliżowana za pomocą mechanizmów UE. Politycy niemieccy nie ukrywają, że liczą na upadek Trumpa i powrót USA do dawnej polityki multilateralnej. USA mają zapewniać UE bezpieczeństwo i być rynkiem zbytu dla towarów wyprodukowanych w Unii. Rosja pozostaje zapleczem surowcowym oraz donatorem potencjału i technologii militarnych.

SCENARIUSZ PUTINA

Celem Moskwy jest zbudowanie świata wielobiegunowego, bo tylko w takiej sytuacji może zachować zdolność do swobodnego manewrowania w polityce zagranicznej i wykorzystywania sprzeczności między mocarstwami. Moskwa jest więc zainteresowana przede wszystkim zintegrowaną Unią Europejską niezależną od USA, która współpracuje z Rosją. Inicjatywę Trójmorza postrzega zatem jako poważne zagrożenie dla swych interesów. Będzie wspierać polityków niemieckich, którzy są zwolennikami dystansu wobec USA.

Moskwa jest zainteresowana silnymi Indiami, silną Brazylią i liczy, że żaden duży samodzielny gracz, mając własne interesy i ambicje, nie połączy się z innym przeciwko niej. To pozwoli Rosji wykorzystywać chwile nieuwagi i słabości innych państw do własnej ekspansji. Moskwa liczy, że kooperacja z Niemcami pozwoli jej brać udział w wyścigu technologicznym z Chinami. Polska i całe Trójmorze politycznie są uznawane w Moskwie za strefę wpływów niemieckich ze względu na panujące tu silne obawy przed rosyjskim imperializmem.

NOWY PORZĄDEK

Na pokusy ze strony Moskwy nasze społeczeństwo jest uodpornione. Poważnych zwolenników opcji prorosyjskiej u nas nie ma. Gorzej jest ze scenariuszem niemieckim. Mamy od lat silną opcję proniemiecką w polskiej refleksji nad aktywnością dyplomatyczną. Jest to możliwe, bo polityka budowy niemieckiej dominacji w Europie została sprytnie ukryta za mechanizmami politycznymi i prawnymi Unii Europejskiej. Wiele osób w Polsce słusznie uważa Polskę za część Europy i popiera wszelkie decyzje Brukseli, nie widząc, że służą one interesom Niemiec, a nie Europy czy Polski. Niełatwo zwolennikom Europy wytłumaczyć, że wspólny interes Europy dziś, przy obecnej ekipie politycznej w Berlinie, to po prostu mit. Sporu z Niemcami o przyszłość Europy nie da się uniknąć.

W roku 2019 trwa walka o nowy polityczny porządek na świecie w XXI w. tak jak w każdej prawdziwej grze wygrany może być tylko jeden. Oby to był ten scenariusz, który zapewnia nam suwerenność, tożsamość, bezpieczeństwo i rozwój. Od niektórych polityków PiS czasem słyszeliśmy, że polityką zagraniczną nie wygrywa się wyborów. To nieprawda. Jak pokazały ostatnie wybory samorządowe, kwestia polexitu, czyli tematyka międzynarodowa, poważnie wpłynęła na poziom sukcesu PiS. Sprawy bezpieczeństwa kraju są w sondażach uznane za ważne dla społeczeństwa. Lekceważenie polityki zagranicznej, kiedy zbliża się starcie między dużymi graczami o nowy ład polityczny świata, to lekkomyślność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest politykiem, socjologiem i publicystą, byłym ministrem obrony narodowej, byłym szefem gabinetu politycznego ministra spraw zagranicznych.

eprasa.pl e3336b6748

Piotr Zychowicz

Rola klienta

Stawiając wszystko na amerykańską kartę, rząd zapędził się w kozi róg. Polska przestała być sojusznikiem, a stała się wasalem USA

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Co było główną przyczyną klęski, którą Polska poniosła podczas II wojny światowej? Romantyk na to pytanie zawoła żarliwie: „Zmowa Stalina i Hitlera!". Realista pokiwa smutno głową i powie: „Dziecięca naiwność naszych ówczesnych – pożal się Boże – mężów stanu".

Naiwność ta objawiała się na trzy sposoby: brakiem zrozumienia tego, że w polityce zagranicznej liczą się tylko interesy, a nie piękne obietnice, sentymenty i frazesy; kierowaniem się chciejstwem i optymizmem, a nie realną oceną sytuacji; ślepą wiarą w sojuszników.

Wydawało się, że po bolesnej lekcji, jaką była dla nas II wojna, polskie elity polityczne wyciągnęły wnioski z błędów poprzedników. Że ludzie decydujący o bezpieczeństwie Rzeczypospolitej – a więc o życiu naszym i naszych dzieci – będą twardo stąpać po ziemi, działać ostrożnie i pragmatycznie.

Niestety, piszę to z prawdziwym niepokojem o przyszłość, polityka zagraniczna rządu PiS do złudzenia przypomina politykę, która 74 lata temu przywiodła nas do katastrofy. Jest to polityka oparta na tym, co Anglosasi nazywają wishful thinking, czyli na pobożnych życzeniach.

PRZYJACIEL TRUMP

Jedną z największych polskich słabości podczas wojny było bezkrytyczne uwielbienie Wielkiej Brytanii. Wszystko, co leżało w interesie Wielkiej Brytanii, miało rzekomo leżeć w interesie Polski. „Są ludzie w Polsce – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz – którzy lojalność wobec Anglii poczytują sobie za bardziej święty obowiązek aniżeli lojalność wobec własnego narodu". Takich ludzi określał mianem Volks-Anglików.

Polskie władze – zarówno w kraju, jak i na emigracji – zamykały oczy

eprasa.pl e3336b6748

na rzeczywistość. Za pomocą aparatu propagandowego wprowadziły naród w rodzaj filoangielskiej histerii. Polacy byli przekonywani, że nasz sojusznik pała do Polski tak płomienną miłością, że nie pozwoli nam zrobić krzywdy. Że dane nam gwarancje zostaną na pewno dotrzymane.

Rozsądni Polacy, którzy próbowali wyłamać się z urzędowego hurraoptymizmu, byli narażeni na nieprzyjemności. Wszelka krytyka Wielkiej Brytanii była uznawana za zdradę narodową. Ludziom, którym brakowało wiary w brytyjską wierność, odmawiano polskiego patriotyzmu i oskarżano ich o sprzyjanie Niemcom.

W efekcie niegdyś godny i wielki naród został przez swoich rządzących sprowadzony do roli brytyjskiego lokaja. Finał mógł być tylko jeden – wielkie rozczarowanie. Okazało się bowiem, że polskie i brytyjskie interesy wcale nie były zbieżne – były przeciwstawne. Polska została przez Brytyjczyków wyciśnięta jak cytryna, a następnie wyrzucona na sowiecki śmietnik. A reakcją na nasze skargi i okrzyki oburzenia było w Londynie wzruszenie ramion. Polityka to nie jest gra dla małych dzieci.

Wszystko to przypomniało mi się, gdy przeczytałem w Internecie felieton wygłoszony na falach Radia Maryja przez Antoniego Macierewicza. Znalazła się w nim ostra krytyka osób, które wątpią, czy w razie wojny z Rosją zostaniemy ocaleni przez Stany Zjednoczone. „Skąd ten wniosek? – pytał retorycznie polityk obozu rządzącego. – Czy nie jest on częścią propagandy antyamerykańskiej, ale równocześnie antypolskiej?".

„Mój Boże – pomyślałem. – Znowu przerabiamy to samo". Podważanie wiary w Amerykę w oczach polityków PiS jest przejawem braku patriotyzmu. Tak samo jak w oczach gen. Władysława Sikorskiego brakiem patriotyzmu było podważanie wiary w wierność Wielkiej Brytanii.

Pamiętam rozmowę, którą odbyłem z jednym z polityków PiS. Wyraziłem w niej wątpliwość, czy pomysł oparcia bezpieczeństwa Polski wyłącznie na USA to dobry pomysł. Mój rozmówca spojrzał na mnie wówczas jak na dziecko. I zalał potokiem kwiecistych słów:

– Co pan opowiada! Czyżby nie słyszał pan wspaniałego przemówienia Donalda Trumpa w Warszawie? Czy nie wie pan o tym, jakim podziwem Amerykanie nas darzą za nasze bohaterstwo? Czy nie rozumie pan, że Amerykę i Polskę łączy wspólnota wartości? Miłość do wolności, demokracji…

Dalej już nie słuchałem.

Wystarczyło, żeby Donald Trump połechtał naszą narodową próżność kilkoma tanimi pochlebstwami – przemówienie napisał mu ktoś dobrze znający polską psychikę – aby wprowadzić naszych rządzących w zachwyt i oszołomienie. Stworzyć śmieszną iluzję, że z dnia na dzień staliśmy się europejskim Izraelem. A prezydent Trump – który przed przylotem do Warszawy zapewne nie wiedział, gdzie znajduje się Polska – jest naszym prawdziwym przyjacielem.

Skutki tego są groźne. Cóż nam bowiem Rosja! Cóż Niemcy! Cóż Francja i cała Europa, skoro stoi za nami najpotężniejsze globalne mocarstwo w dziejach świata! Amerykańskie czołgi, lotniskowce i głowice jądrowe. Ślepa wiara w pomoc Ameryki daje naszym politykom złudne poczucie bezpieczeństwa i siły. Jest niczym odurzający narkotyk.

Pcha to naszą dyplomację do działań skrajnie ryzykownych. Pcha ją do sprzeniewierzania się podstawowym prawidłom polskiej geopolityki.

Pierwsze i najważniejsze z tych prawideł brzmi: Polska nie może być jednocześnie uwikłana w konflikt z Niemcami i Rosją. Jest to bowiem sytuacja skrajnie niebezpieczna. Tak nas uczy nasza tragiczna historia. Rząd PiS traktuje tymczasem Rosję jak imperium zła z „Gwiezdnych wojen", a Władimira Putina jak Lorda Vadera. A co za tym idzie – Polska właściwie nie utrzymuje relacji z Moskwą. Z Vaderem bowiem się nie rozmawia.

Mimo stanu zimnej wojny z Rosją PiS konsekwentnie rujnuje nasze relacje z Niemcami. Politycy dobrej zmiany regularnie przypuszczają kawaleryjskie szarże na naszego zachodniego sąsiada, a rządowy aparat agitacyjno-propagandowy bombarduje odbiorców prymitywną antyniemiecką propagandą rodem z epoki Gomułki.

– Panowie, jak możecie robić coś takiego? – pytam znajomych polityków PiS. – Jak możecie psuć relacje z Niemcami w sytuacji, gdy macie tak fatalne relacje z Rosją?

Odpowiedź zawsze jest taka sama: – Spoko, spoko. W razie kłopotów na ratunek przyjdą nam Amerykanie.

Oj, śmiem wątpić.

PANI NAMIESTNIK

Oczywiście dopóki nie nadejdzie godzina próby, dopóty nie przekonamy się, kto z nas ma rację. Czy ci, którzy ostrzegają przed powtórką z 1939 r., czy ci, którzy przekonują, że Anglosasi się zmienili i teraz to już naprawdę mocno nas pokochali. Że Trump w przeciwieństwie do Churchilla i Roosevelta jest prawdziwym dżentelmenem i serdecznym, szczerym sympatykiem Polski i Polaków.

Moim skromnym zdaniem Stany Zjednoczone są krajem, który prowadzi politykę pragmatyczną. I są wierne zasadzie, że w polityce nie ma przyjaciół – są tylko interesy. Dlatego USA nie wejdą w konflikt z mocarstwem, które posiada arsenał nuklearny zdolny zdmuchnąć z powierzchni ziemi połowę Ameryki, w obronie małego, peryferyjnego państewka o nazwie Polska.

Amerykańscy chłopcy nie będą chcieli umierać za Białystok, tak jak francuscy i angielscy chłopcy nie chcieli umierać za Gdańsk

Amerykańscy chłopcy nie będą chcieli umierać za Białystok, tak jak francuscy i angielscy chłopcy nie chcieli umierać za Gdańsk. Amerykanie mają na karku poważny konflikt z Chinami, który – jak ostrzegają specjaliści – może przybrać gwałtowny obrót. Nie będą więc raczej chcieli otwierać drugiego frontu. Rozumieją bowiem, że konflikt na dwa fronty to prosta droga do katastrofy.

To, co może się wydarzyć, zobaczyliśmy niedawno w Syrii. Donald Trump bez mrugnięcia okiem porzucił tam najwierniejszego sojusznika Stanów Zjednoczonych – Kurdów. To bardzo ważny probierz dla przyszłości relacji polsko-amerykańskich...

Uznając, że mamy „mocne plecy" w Waszyngtonie, politycy PiS poczuli się pewnie i skonfliktowali Polskę nie tylko z Niemcami, lecz także z Francją, Brukselą i Ukrainą. Do niedawna naszymi kluczowymi sojusznikami. I w ten sposób zostali z Amerykanami sam na sam.

eprasa.pl e3336b6748

To nie jest już rola sojusznika – to rola klienta. Przesada? Wystarczy spojrzeć na wyczyny ambasador Georgette Mosbacher. To jest osoba, która nie owija w bawełnę i traktuje Polskę w sposób adekwatny do jej pozycji. Czyli jak republikę bananową zarządzaną przez amerykańskiego namiestnika.

Pani ambasador pisze listy do polskich ministrów, w których przywołuje ich do porządku jak sztubaków. A oni kładą uszy po sobie i potulnie spełniają jej życzenia. Sytuacja ta na twarzy każdego polskiego patrioty musi wywołać rumieniec wstydu. Jest to szarganie naszej narodowej godności. Zapewne podobnie muszą się czuć nasi ministrowie. Cóż mogą jednak poradzić – nie mają żadnej alternatywy. Wszystko postawili przecież na jedną, amerykańską kartę.

Smutnym paradoksem jest to, że kiedy PiS szedł po władzę, miał usta pełne frazesów o odzyskiwaniu suwerenności, wstawaniu z kolan i zerwaniu z niemiecką dominacją. Tymczasem na arenie międzynarodowej klęska goni klęskę, ustępstwo goni ustępstwo. 27:1, ustawa o IPN, spór z Komisją Europejską...

Ambasador Niemiec za rządów PO nigdy nie pozwoliłby sobie na podobne impertynencje jak pani Mosbacher. Wynikało to oczywiście z tego, że Niemcy prowadzą swoją politykę subtelniej niż Amerykanie. A także z tego, że poprzednie rządy III RP prowadziły politykę wielowektorową. Miały świetne relacje z Waszyngtonem, ale jednocześnie utrzymywały znakomite stosunki z Berlinem i Brukselą. Starały się również rozmawiać z Moskwą.

Polska chce płacić USA za rozszerzenie strefy ich militarnych wpływów. Wydaje się, że powinno być odwrotnie

Wszystko to dawało polskiej polityce przestrzeń do gry, pole do manewru. Nasi partnerzy wiedzieli, że mamy alternatywę. A co za tym idzie – wiedzieli, na ile mogą sobie wobec Warszawy pozwolić. Obecny rząd swoją bezalternatywną polityką sam zapędził się do narożnika.

W efekcie nasz kraj zaczyna prowadzić politykę zgodną z interesami USA, a sprzeczną z interesami Polski. Przykłady? Antyirańska konferencja, którą Amerykanie urządzają sobie na naszym terytorium. Po cóż nam to? Po co mamy się konfliktować z Teheranem i jego sojusznikami? Jaki mamy w tym interes?

Przykład drugi: afera szpiegowska Huawei. Czyżby Polska w nadchodzącym konflikcie na linii Pekin-Waszyngton zamierzała się opowiedzieć po stronie tego ostatniego? Znowu, trudno zrozumieć, po co mamy pierwsi ładować palce w drzwi. Znacznie korzystniejsze byłoby wobec konfliktu amerykańsko-chińskiego zachowanie neutralności.

Georgette Mosbacher traktuje Polskę jak republikę bananową zarządzaną przez amerykańskiego namiestnika FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Co jednak najgorsze, wygląda na to, że nasi rządzący uznali, iż skoro na straży polskiego bezpieczeństwa ma stać US Army, to nie musimy mieć własnej nowoczesnej armii. Tylko w ten sposób potrafię sobie wytłumaczyć rezygnację z kluczowych wojskowych inwestycji. Na czele z zerwaniem kontraktu na śmigłowce wielozadaniowe.

Zamiast kupować broń tak bardzo potrzebną naszym żołnierzom, polski rząd deklaruje chęć zapłacenia Amerykanom 2 mld dol. za stałą bazę w Polsce. Jest to sytuacja zaskakująca. Polska chce bowiem płacić USA za rozszerzenie strefy ich militarnych wpływów. Wydaje się, że powinno być odwrotnie. To Amerykanie powinni nam zapłacić za to, że udostępniamy ich armii nasze terytorium.

Politycy PiS na ten argument odpowiadają, że stała baza wojsk US Army ma nam pomóc w odparciu rosyjskiej inwazji. No cóż, na dwoje babka wróżyła. Nie można bowiem wykluczyć innego scenariusza. W momencie takiej inwazji wojska USA mogą ogłosić neutralność i bez jednego wystrzału ewakuować się z Polski. Amerykański establishment może bowiem uznać, że wojna z Moskwą nie leży w interesie USA. Na tym właśnie polega słabość koncepcji opierania własnego bezpieczeństwa na obcych – że nigdy nie będziemy pewni, jak się zachowają w godzinie próby.

Stara zasada polityki realnej mówi, że podczas planowania długofalowej strategii zawsze należy przygotowywać się na najgorszy możliwy scenariusz. Tylko w ten sposób da się bowiem uniknąć klęski i rozczarowania. Niestety, nasi rządzący szykują się na scenariusz najbardziej korzystny. Ach, ta niepoprawna polska naiwność!

„Śpij dziecino i marz – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz – ciocia Ameryka zrobi dla ciebie wszystko”.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Wiza do Iranu

Iran to kraj, za którym tęsknię. Byłem w wielu miejscach, ale mało których mi brak. Widziałem i starczy. Kiedy jednak jakieś wspomnienie z Iranu nagle wyłoni mi się z zakamarków jaźni, to ciężko wzdycham. Bardzo chciałbym tam znowu pojechać. Chociaż obowiązuje tam całkowita prohibicja.

To nie kwestia krajobrazów czy architektury. Nigdzie nie zaznałem tak skondensowanej i bezinteresownej życzliwości. Nigdzie tak często nie zapraszano mnie – zupełnie obcego – do domu. Nigdzie ludzka dobroć nie jest tak zupełnie wyzbyta chęci zysku. I nigdzie nie czułem się tak bezpiecznie. Zupełnie sam błąkałem się po ciemnych zakamarkach starego Jazdu i nawet przez chwilę nie miałem poczucia zagrożenia. Napotkani ludzie co najwyżej chcieli pomóc albo podwieźć. Albo pogadać. Jeden zaprosił mnie do meczetu, gdzie nauczał jakiś duchowny, a ja dostałem herbatę i zastanawiałem się, kiedy mogę czmychnąć, bo siedziałem jak na perskim kazaniu, nic zupełnie nie rozumiejąc. Byłem jednak serdecznie witany, bo Persowie nie mają tej – bardzo częstej w krajach islamskich – nieufności do niemuzułmanów. Nie ukrywają przed nimi swoich zwyczajów i wierzeń, lecz przeciwnie – z dumą je prezentują.

Co momentami jest krępujące. Podczas święta Aszura, jednego z najważniejszych dla szyitów, organizowane są m.in. procesje półnagich mężczyzn, którzy teatralnie biczują się łańcuchami. Jest ciemno, biją wielkie bębny, wygląda to dość ponuro. Kiedy oglądaliśmy jeden z takich konduktów w Teheranie, nagle mojemu znajomemu ktoś szepnął do ucha „Chodź, będziesz miał lepsze zdjęcia". I wciągnął go w ten tłum, zachęcając do fotografowania.

Oczywiście, nie jestem naiwny i wiem, że reżim irański to nieco inna bajka (choć specyficznie irańskie ciało Rada Ustalania Właściwego Porządku przydałoby się chyba i u nas). Gdzieniegdzie, np. pod wspaniałym meczetem w Isfahanie, można znaleźć wielkie tablice: „Śmierć USA! Śmierć Izraelowi! Śmierć Arabii Saudyjskiej". Ludzie są zmęczeni i każdy, kogo spotkałem, marzy, żeby wyjechać za granicę. Trochę przypomina to PRL lat 80.

Mimo wszystko jednak zastanawiam się, po co nam prowokowanie Iranu jakimiś konferencjami? O ile się orientuję, to nasze relacje z Rosją są bardzo złe, z Niemcami kiepskie, o Francji nasz szef MSZ mówi, że to chory człowiek Europy, z Brukselą się ciągle boksujemy, a francuska czy włoska prawica, które mogą zmienić układ sił na naszym kontynencie, są mocno prorosyjskie. Jednym słowem, mamy umiarkowane pole manewru, a do tego ambasador naszego jedynego sojusznika zachowuje się jak namiestnik.

I właśnie teraz musimy się jeszcze skłócać z Iranem? Po co? Jaki mamy w tym interes? Co nam to da? Najwyżej to, że następnym razem nie dadzą mi wizy (którą można zresztą załatwić na lotnisku, inaczej niż w USA). ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Mowa nienawiści

Zwykle w sytuacjach tragicznych podnoszą się głosy żądające ukrócenia „mowy nienawiści". Jest to problem światowy, jako że w dzisiejszych czasach słowo, dzięki środkom elektronicznym, uzyskało nieprawdopodobną siłę rażenia. W jednej sekundzie może docierać do milionów i działać z siłą bomb burzących.

Mniej więcej do tego punktu wszyscy są zgodni. Mowa nienawiści jest złem, które powinno być wykluczane z przestrzeni publicznej, a także prywatnej.

Najpierw każdy musi zadbać o przyzwoitość na własnym podwórku, zamiast posługiwać się logiką plemienną

Problem zaczyna się wtedy, gdy przechodzimy do konkretów. Dawniej było prościej, normy wytyczały zasady dobrego wychowania, dziesięć przykazań, kodeks honorowy i opinia publiczna. Dzisiaj próbuje w tę sferę wkroczyć prawodawstwo, tyle że nie jest ono jednoznaczne, a w dodatku zależy od polityki. Gdzie leży granica między wolnością słowa a nawoływaniem do przemocy, co jest udziałem w debacie, co jest jej przekroczeniem? Dlaczego określenie „ty pedale" winno być karane, a „ty dzieciorobie" już nie, dlaczego namawianie do aborcji to walka o świadome macierzyństwo, a odwodzenie od niej jest łamaniem prawa kobiety do wolnego wyboru?

Świat pełen jest zaskakującej nierówności ocen. Hasło „Brudasy do Afryki" uznawane jest za typową rasistowską mowę nienawiści, podczas gdy twierdzenie wygłaszane w meczecie „Należy zabijać giaurów" – to jedynie wyrażenie kontrowersyjnej opinii.

A czy inaczej jest na naszym podwórku – autorytetów moralnych nie razi dorzynanie watah (Sikorski), patroszenie Kaczora (Palikot) czy odstrzał PiS-owców zamiast dzików (Nurowska), ale niech druga strona kłapnie choćby dziesięć razy słabiej, cała Europa zrywa się na nogi. Tylko czy można coś w tej sprawie zmienić? Chyba nie. Dopóki nie zrozumiemy, że najpierw każdy musi zadbać o przyzwoitość na własnym podwórku, zamiast posługiwać się logiką plemienną. Dawno temu ludzkość dogadała się, że demokracja to rządy większości z poszanowaniem mniejszości, a zmiana władzy to nie unicestwianie przeciwnika, tylko przerwa regeneracyjna.

Chyba pora spróbować dogadać się raz jeszcze. Zanim pozabijamy się nawzajem. ©℗

eprasa.pl e3336b6748

CHŁOP versus BUNTOWSZCZIK

[CZY WROGOŚĆ WIEŚNIAKÓW WOBEC POWSTANIA STYCZNIOWEGO ZDŁAWIŁA INSUREKCJĘ?]

Konflikt między powstańcami Styczniowymi a chłopami (obraz J. Sobeckiego z 1913 roku)

Józef Dąbrowski (J. Grabiec): *„Otrzymawszy z rąk Rządu Powstańczego ziemię, chłop przyjął ją, lecz nie stanął w szeregach powstania, a w licznych niestety wypadkach odegrał rolę kainowych siepaczy względem rodaków–powstańców (...) Tak więc chłopi ciężko zaważyli na upadku powstania, co było m.in. skutkiem usilnej, prowadzonej przez rosyjskich naczelników wojskowych i komendantów, agitacji, która padała zresztą na gotowy grunt opłakanych stosunków wsi polskiej”* (1913)

eprasa.pl e3336b6748

Waldemar Łysiak

Pierwszy miesiąc każdego roku przypomina nam o tym narodowowyzwoleńczym buncie, zakończonym straszliwą daniną polskiej krwi. Niesamowity akt heroizmu. Nocą 22/23 stycznia roku 1863 Polacy, bez właściwego przygotowania, właściwej organizacji i właściwej liczby dowódców, uzbrojeni w 600 strzelb myśliwskich (sic!), rzucili się na Rosję, największe mocarstwo Europy i Azji, po czym walczyli z tym imperium przez prawie rok! Historia nie zna buntu bardziej desperackiego i bardziej skazanego na klęskę. Tylko Polacy mogli wydać coś tak szaleńczo zajadłego, taki arcyromantyczny huragan. Dzika, beznadziejna partyzantka polskiego mieszczaństwa i polskiej szlachty, płacącej krwią za koszmarną ciemnotę i obrzydliwe chamstwo swych przodków, którzy utopili Polskę w rubasznym pijaństwie, haniebnej sprzedajności i obmierzłej prywacie. To oni, synowie tych podgolonych, czerwononosych, herbowych tumanów — młodzi, naiwni, piękni i już oświeceni — poszli w głąb lasów, z których wynurzali się jak wilcze stada i kąsali carskie wojska, aż wybito im zęby i wkopano w ziemię. Przyszli z Ucisku i stanęli na straconej placówce, bijąc się za Niezawisłość. Nikomu nie wolno negować tego czynu. Nawet wróg, Lenin, pisał: *„Póki masy ludowe Rosji i większości krajów słowiańskich spały jeszcze głębokim snem — póty szlachecki ruch wyzwoleńczy w Polsce nabierał olbrzymiego, pierwszorzędnego znaczenia”*.

Wzmiankowane wyżej *„masy ludowe”* (konkretnie chłopstwo) stanowią od półtora stulecia przedmiot sporu historyków: czy chłopi pogrążyli Styczniową Insurekcję, czy może jest to opinia przesadzona? I czy ich demonstracyjna wrogość wobec powstańców była rezultatem setek lat ciemiężenia stanu wieśniaczego przez *„panów”*?

CHŁOPSKIE NIEWOLNICTWO?

Co miał na myśli cytowany w motcie niniejszego eseju Józef Dąbrowski, wytykając przedpowstaniowe *„opłakane stosunki wsi polskiej”*? Prosta odpowiedź brzmi: niewolę polskiego chłopa i nędzę polskiego chłopa, obie zawinione przez właścicieli ziemskich (*„dziedziców”*), więc budzące naturalną chłopską nienawiść i wrogość. Od kiedy? Od końca epoki Jagiellonów. Wcześniej nie było tak źle — Zygmunt Gloger: *„Z różnych miejsc Statutu Wiślickiego wykazuje się, że kmieć dawny miał własność ziemi, pod pewnymi wprawdzie warunkami i ciężarami — kmieci zwano «cmetho possessionatus». Kmieć miał sprawiedliwość w sądzie od króla postanowioną — znajdujemy w dyplomacie z r. 1368 jak kmieć Piotr ze wsi Kościoły rozprawiał się w sądzie wiecowym z biskupem włocławskim o sołectwo w Sławsku. Kmieciowi w pewnych przypadkach wolno było opuścić rolę swego pana i przenieść się gdzie indziej (...) Dopiero z wygaśnięciem rodu Jagiellońskiego włościanie od woli dziedziców zawiśli”* (1902). I to jak zawiśli! Utracili własność ziemi i możliwość relokacji, a wszelką ich niesubordynację karano surowo odkąd Konfederacja roku 1573 zadekretowała, iż *„będzie wolno każdemu panu poddanego swego nieposłusznego podług rozumienia swego ukarać”*.

Czy te trzysta lat niedoli (1573–1863) to było trzysta lat niewoli porównywalnej z niewolą Murzynów na amerykańskich plantacjach? Rodzimi historycy i komentatorzy mają rozbieżne zdania w kwestii: czy panowało u nas autentyczne niewolnictwo? Ci, którzy twierdzą, że tak, mogą się podpierać dawnymi tekstami, zarówno polskimi, jak i cudzoziemskimi. Sławny kaznodzieja jezuicki, ksiądz Piotr Skarga, krzyczał do posłów sejmowych przed upływem XVI wieku: *„ — A ona krew, albo pot żywych poddanych i kmiotków, który ustawicznie ciecze — jakie wszystkiemu królestwu karanie gotuje?! Nie masz państwa, w którym by bardziej oracze uciśnieni byli, jak są uciśnieni pod «absolutum dominium», którego nad nimi szlachta bez żadnej prawnej przeszkody używa. Widzimy nie tylko ziemiańskich, ale i królewskich kmiotków wielkie opresje, z których żaden ich wybawić i poratować nie może. Rozgniewany ziemianin albo starosta królewski nie tylko złupi wszystko, co ubogi ma, ale i zabije, kiedy chce i jak chce, a o to i słowa złego nie ucierpi (...) Czemu w niewoli stękają? Jeśli na twojej roli siedzi i źle się zachowa, to go spędź z tej roli, ale wrodzonej i chrześcijańskiej wolności mu nie zabieraj i nie czyń się sam najwyższym panem nad jego zdrowiem i żywotem. Starzy chrześcijanie, którzy za pogaństwa mieli kupnych niewolników, wszystkim wolność dawali jako braciom w Jezusie Chrystusie, a my, wierne chrześcijany, Polaków tego samego narodu, Polaków, którzy nigdy niewolnikami nie byli, bez żadnego prawa mocą zniewalamy, jak bydło! Jakoż się z takim prawem wszystkiego na świecie chrześcijaństwa nie wstydzić?! Jakże się z taką tyrańską krzywdą na oczy Boskie ukazać? Jakże się nie bać pomsty od Pana Boga!”*. Wielki francuski myśliciel Monteskiusz pisał w głośnym **„Duchu**

Kacper Żelechowski, „Wywłaszczenie” (1888)

eprasa.pl e3336b6748

Józef Szermentowski, „Poddaństwo" (1873)

praw" (1748): *„Najgorszym jest taki ustrój, co toleruje poddaństwo części społeczeństwa. Przykład tego stanowi Polska, bo chłopi są tam niewolnikami szlachty"*. Ów sąd podzielają dzisiaj zarówno niektórzy historycy (exemplum Zbigniew Mikołejko: *„W XVIII wieku chłop spada na sam dół drabiny społecznej. Towarzyszy temu narastające zniewolenie chłopów i rasizm społeczny ubrany w teorię «chama»"*, 2014), jak i komentatorzy polityczni (exemplum Jakub Woziński: *„W 1543 wprowadzono zakaz opuszczania wsi bez zgody właściciela, co w połączeniu z przymusem odrabiania pańszczyzny oznaczało praktyczne zniewolenie chłopów. Rzeczpospolita była dla kilku milionów osób obozem pracy o zaostrzonym rygorze"*, 2011).

Tez przeciwnych również można przytoczyć dużo, starych i nowych. Według Stanisława Koźmiana (1895) całe to gadanie o ciemiężeniu i niewolnictwie chłopów było czczym wymysłem *„mistyków emigracyjnych"*, którzy nie chcieli pamiętać, że *„chłop został przywiązany do ziemi, bo uciekał na stepy ukraińskie, co groziło ruiną rolnictwa"*, i że patronat szlachcica *„zabezpieczał wieśniaka od klęsk elementarnych, pomoru, głodu, lichwy i własnej nieradności"*. Dzisiejsi historycy negujący *„niewolnictwo chłopa polskiego"* wskazują właśnie na ów dobroczynny patronat ze strony *„dziedziców"*, jak i na względy czysto formalne (Marek Jan Chodakiewicz: *„Różnica między chłopami feudalnymi a niewolnikami była taka, że niewolników można było sprzedawać, zaś chłopów nie!"*, 2015).

DOLA WIEŚNIAKÓW

Kwestia wzmiankowanego wyżej patronatu szlacheckiego sprowadza cały problem nie tyle do statusu pańszczyźnianych chłopów (niewolniczy czy jedynie zależnościowy?), ile do ich bezpieczeństwa socjalnego. Inteligentna, oświeceniowa szlachta polska, w naiwności swej sądziła, że ukontentuje chłopa zastępując mu pańszczyznę czynszem. Lecz mając taką alternatywę chłop wolał pańszczyznę od czynszu, i pańszczyzny bronił (sic!), bo w razie klęsk żywiołowych, powodzi, pożarów lub ciężkich zim, które rokrocznie katowały wieś, chłop pańszczyźniany miał przynajmniej zapewnioną pomoc dworu i nie zdychał z głodu, gdy czynszowy był zostawiony samemu sobie, na tragicznej łasce losu.

Pewien *„humor zeszytów szkolnych"* mówi: *„Chłop był brudny i nagi, i nie było nikogo, kto by chłopa przytulił"*. Przytulał chłopa szlachecki dwór. Jacek Komuda: *„Rzeczpospolita szlachecka stała się ostatnio celem zmasowanego ataku środowisk lewicowo–liberalnych, określających ją mianem kraju kolonialnego i niewolniczego. Te historyczne bzdury stały się mantrą powtarzaną z maniakalną furią przez pisarzy i naukowców dyspozycyjnych wobec Salonu, takich jak Olga Tokarczuk, Szczepan Twardoch i socjolog Jan Sowa. Odnoszą się one do sytuacji chłopów porównywanych do niewolników (...) Prawda o pańszczyźnie jest prosta: chociaż przywiązywała chłopa do ziemi (w realiach I Rzeczypospolitej mógł łatwo uciec od pana i przejść do innego, oferującego lepsze warunki) — obowiązywała obie strony. Poddany ciężko pracował na szlachcica, ale wiedział, że pan nie da mu umrzeć z głodu, którego widmo przerażało mieszkańców wsi w Europie. Właściciel dóbr, przyjmując chłopa, musiał postawić mu chałupę, w razie potrzeby dać krowę, ziarno na zasiew, i udzielić pomocy (...) W przeciwieństwie do chłopa polskiego wieśniak we Francji czy w Anglii był wolny, ale płacił ogromne podatki i często stawał się ofiarą klęsk głodu"* (2017).

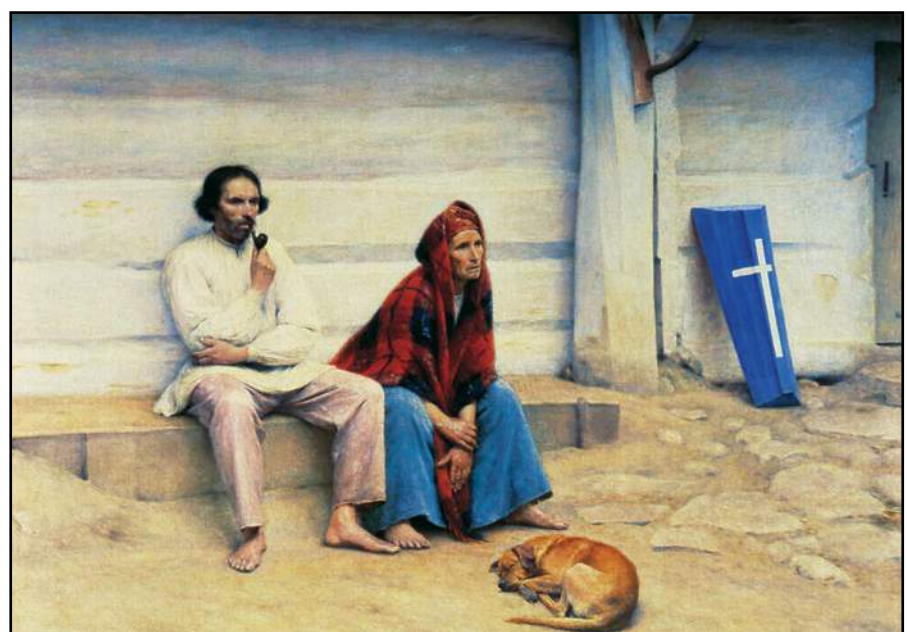

Aleksander Gierymski, „Trumna chłopska" (1895)

eprasa.pl e3336b6748

A warunki bytowe naszych chłopów pańszczyźnianych? Może nie były tak komfortowe jak głosi lubiący bredzić *„Krul Endeków”*, pan Mikke (według niego świadectwo chłopskiej zamożności stanowiły bogate stroje ludowe), wszelako nie były też tak złe jak głoszą lewacy lubiący przywoływać satyrę Krzysztofa Opalińskiego **„Na ciężary i opresyą chłopską w Polszcze”** (1698), pomijający zaś opinie wizytujących I Rzeczpospolitą cudzoziemców (Bernard O'Connor, Thomas Salmon, Gaspard de Tende i in.), których polscy chłopi pańszczyźniani zdumiewali świetną kondycją, dobrym odżywianiem i ukontentowaniem ze swego losu. Trudno jednak brać to ukontentowanie za pełne, bo chociaż sytuacja wieśniaków pańszczyźnianych nie była — wbrew egzegezie Opalińskiego — *„srogą niewolą, która cięższa niż pogańska”*, lecz i nie była rajem, a brak własności uprawianej ziemi i system przymusów musiał doskwierać. Cytuję fragment prywatnego listu Tadeusza Kościuszki: *„U nas lud oddycha niemal z woli swych panów, nie mając żadnego po sobie prawa, nawet odmienić miejsca zabroniono kmieciom, uchylić się od okrucieństwa lub uciemiężenia, pomijam od niesprawiedliwości, bo tej zawsze doznawają (...) Słowo poddany przeklęte winno być w oświeconych narodach”* (1790).

Oświecona część polskiego narodu próbowała reformować ten stan za ery Stanisławowskiej (druga połowa *„Wieku Świateł”*). A. D. 1768 szlachta sama odebrała sobie (ustawą sejmową) prawo życia i śmierci nad włościanami, lecz realia ogólnokrajowe nie zmieniły się zbytnio. Dekadę później (1778) tzw. *„Kodeks Zamoyskiego”* (**„Zbiór praw sądowych…”**) postulował ograniczenie poddaństwa ustanowieniem stosunków kontraktowych między dworem a chłopem, lecz akt ów został odrzucony przez Sejm (1780) wskutek nacisku *„kół zachowawczych”* i caratu. Pełną opieką państwa chciała objąć chłopów Konstytucja 3 Maja w roku 1791 (Adam Próchnik: *„Nic nie dała chłopom poza gołosłownym przyrzeczeniem opieki państwowej”*, 1947), lecz rychło runęła, zabita judaszowym (targowickim) srebrnikiem i wrażym (ruskim) bagnetem. Wkrótce cesarz Napoleon Wielki konstytucją daną Księstwu Warszawskiemu (1807) zniósł poddaństwo chłopskie, równając wszystkie stany, lecz kilka lat później ów dobroczyńca też upadł.

Rozbiory przyniosły serię narodowowyzwoleńczych buntów, i wówczas walczącym *„panom”* chłop stał się potrzebny jako *„mięso armatnie”*: zaczęło się wabienie chłopa mirażem osobistej wolności, by krew swoją dla ojczyzny przelewał. Za Kościuszki, gdy Uniwersał Połaniecki nie uwłaszczył chłopa, lecz tylko zmniejszył mu pańszczyznę i zapewnił nieusuwalność z gruntu (przy czym reforma ta nie mogła być trwała, jak każda, która jest dziełem rewolucji, a nie ewolucji, i z końcem rewolucji ginie), usłyszał kmiotek: chodź, bracie, powalczymy o Polskę, a jak ją uwolnimy, to i ty będziesz wolny. Poszedł, a kosynierów spod Racławic, gdy już wrócili do domów, panowie szlachta wybatożyli za nieodrobienie pańszczyzny. Przegrał chłop po raz pierwszy. U Napoleończyków znowu stanął w szeregu, bo wierzył, że z *„bogiem wojny”* nie można przegrać. Przegrał drugi raz, a za swą krew nie dostał ni piędzi ziemi nasiąkniętej chłopskim potem. Gdy wybuchło Listopadowe, usłyszał znowu: stań, bracie, a jak wygramy… Stanął i przegrał po raz trzeci, bo panowie szlachta, swarząc się między sobą i starając ułagodzić rozgniewanego cara, umieli dokonać takiej sztuki, że już wygrane powstanie zakończyło się klęską. Chłop, widząc to, zgrzytał zębami i przeżuwał złe myśli o rebeliantach. Wiadomo było, że organizatorzy kolejnej insurekcji nie będą mieli lekko na wieśniaczym gruncie.

Chłopi polscy z bitwy pod Racławicami na obrazie Jana Matejki (1888)

Józef Szermentowski, „Przed kościołem” (1865)

eprasa.pl e3336b6748

DEKRET I KONTRDEKRET

Najlepszym malarskim ujęciem tematyki *„chłop a Powstanie Styczniowe"* jest głośny obraz Maksymiliana Gierymskiego **„Patrol powstańczy"** (1873) — płótno, które bezzwłocznie pokazano w Berlinie, Monachium i na wiedeńskiej Wystawie Światowej, gdzie zyskało bardzo wysokie oceny czołowych europejskich krytyków (m.in. Stasowa i Pechta). Szeroka, pylna lub błotnista (zgodnie z wolą nieba) droga mazowiecka, karłowate krzewy i jeziorka traw. Kilku konnych powstańców, zaniepokojonych, rozglądających się nerwowo, czujnych i sprężonych, jak drapieżniki węszące wroga. Nasłuchują. Któryś wystrzelił — z karabinowej lufy snuje się pasemko dymu. Coś wisi w powietrzu, jakiś grom, który rozerwie tę ciszę. Między nimi stoi chłop noszący siermięgę i kapelusz, ma kij, słucha co do niego mówią. Udzieli jeźdźcom rzetelnych informacji, czy fałszywych? Potem pójdzie do domu, czy na posterunek żandarmerii carskiej z meldunkiem o *„buntowszczikach"*?

Prawie dwie dekady przed wybuchem Styczniowego wieszcz Zygmunt Krasiński nawoływał (**„Psalmy przyszłości"**, 1845):

„Jeden tylko, jeden cud:
Z szlachtą polską polski lud!".

Organizatorzy Insurekcji roku 1863 zdawali sobie sprawę, że *„masy włościańskie"* mogą stać się kluczem do ewentualnego sukcesu — powstańczym *„być albo nie być"*. Pierwszą więc rzeczą jaką zrobili — już 22 stycznia, tuż przed detonacją zbrojną — było wydanie manifestu/dekretu uwłaszczającego chłopów polskich. Emanuel Halicz: *„Kierownicy powstania uważali, że dekret winien spowodować zmianę w nastrojach panujących na wsi oraz przyczynić się do zjednania mas chłopskich dla sprawy powstańczej. Stąd kładli duży nacisk na formę ogłaszania dekretu"* (1955). Ogłaszali go z ambon księża lub (po wkroczeniu oddziału partyzanckiego do wsi bądź miasteczka) dowódcy insurekcyjni, uroczyście, przed frontem oddziału. Niewiele to dało. Stanisław Koźmian: *„Dekret powstańczy uwłaszczeniowy chybił celu najzupełniej"* (1895); Aleksander Świętochowski: *„Rząd powstańczy nie wzruszył chłopów obietnicą uwłaszczeniową, nie przyciągnął ich"* (1928); Artur Śliwiński: *„Dekret uwłaszczeniowy nie pomógł, bo lud wiejski powstańcom nie wierzył. Mściła się przeszłość, która między dworem a chatą wykopała przepaść. Rząd rosyjski dokładał usiłowań, aby przepaść tę powiększyć, i w dążeniu do tego celu nie przebierał w środkach"* (1916); Józef Dąbrowski: *„Manifest Komitetu Centralnego Narodowego jako Tymczasowego Rządu Narodowego, głoszący uwłaszczenie chłopa i obiecujący nadział ziemi tym bezrolnym, którzy pójdą do powstania, osiągnął swój cel połowicznie. Chłopi przestali wszędzie płacić czynsz i odrabiać pańszczyznę (czego zresztą bacznie pilnowały organizacje i oddziały powstańców), natomiast nigdzie do powstania nie poszli"* (1924). To nieprawda — gdzieniegdzie poszli (o czym będę wzmiankował niżej, cytując Adama Szelągowskiego), jednak poszła mizerna mniejszość (głównie na Litwie i Żmudzi, w Kongresówce i Małopolsce zupełnie śladowa). Dlaczego? Czy tylko przez zadawnioną niechęć albo wrogość wobec *„panów"*? Nie tylko — przeważyła zimna kalkulacja stanu wieśniaczego. Okazało się, że *„chamy"* potrafią rachować.

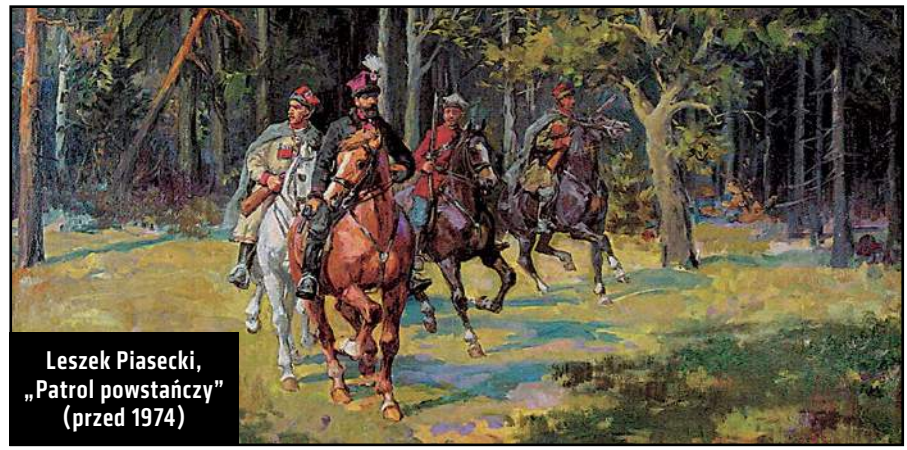

Leszek Piasecki, „Patrol powstańczy" (przed 1974)

Maksymilian Gierymski, „Patrol powstańczy" (1873)

eprasa.pl e3336b6748

August Sokołowski tak tłumaczył fakt, iż chłopi *„nie kupili"* uwłaszczającego ich dekretu władz powstańczych: *„Włościanie nieufnie odnosili się do otrzymanego daru, podejrzewając, że ten ruch ma na celu interesy szlacheckie"* (1908). Fatalną rolę odegrały też protesty *„dziedziców"*, których dekret uwłaszczeniowy pozbawiał czynszu lub pańszczyzny, a przede wszystkim ziemi. Wielu dalej zmuszało swych kmieci do płacenia (danin) i pracowania (dla dworu), co zresztą powstańcy karali bezwzględnie i surowo (czasami nawet publicznymi chłostami i groźbami rozstrzelania). Józef Dąbrowski: *„W dziwnym jakimś zaślepieniu, w chwili gdy rosyjski rząd miał oprzeć się w polityce polskiej na chłopie polskim i jego względem «pana» nienawiści, szlachta rozpoczęła stanową i egoistyczną politykę — z wielu stron dziedzice zaczęli zwracać się do władz rosyjskich z prośbą o pomoc w ściąganiu czynszu za rok 1863"* (1913).

Jednak decydującą rolę odegrało misterne (wręcz fenomenalne) jurysdykcyjne kontruderzenie caratu: Rosja natychmiast uwłaszczyła polskie chłopstwo! Franciszek Rawita Gawroński: *„Rząd rosyjski postanowił dokonać uwłaszczenia, ażeby w ten sposób zjednać chłopa polskiego dla siebie (...) Dla przeprowadzenia uwłaszczenia włościan stworzono osobny komitet urządzający, do składu którego powołano całą falangę najgorszych wyrzutków świata biurokratycznego z głębi Rosji. Ów komitet urządzający stał na stanowisku faworyzowania włościan w myśl polityki rządowej"* (1913). Czyli antypowstańczej.

Już 1 marca 1863 roku wyszedł pierwszy ukaz carski likwidujący zależność polskich wieśniaków od *„panów"* (kolejny 2 listopada), a przez cały ten rok agenci rosyjscy nie tylko informowali chłopów, że w Petersburgu szykowany jest do druku dekret cara (duży Ukaz) znoszący czynsz i pańszczyznę, lecz także obdarowywali włościan wyprzedzającymi nadaniami gruntów! Dekret ten, podpisany przez cara 2 marca 1864 i cztery dni później ogłoszony w Warszawie przez generała Baranowa, wołał: *„Włościanie Królestwa Polskiego! Buntownicy, którzy powstali przeciwko prawowitej carskiej władzy, uciekli się do nikczemnego podstępu i próbowali oszukać was płonnymi przyrzeczeniami nadania wam gruntów! Jednak wy nie posłuchaliście buntowników i pozostaliście wierni swemu monarsze, który jest waszym obrońcą przeciw panom, co was ciemiężyli i uciskali"*. Dalej szły szczegóły *„reformy agrarnej"* uwłaszczającej chłopstwo.

Carski dekret uwłaszczeniowy był karcianym *„przebiciem"* klasy mistrzowskiej, chłop polski bowiem stanął przed dylematem koszmarnym dla Powstania. Z jednej strony miał uwłaszczeniowy Manifest powstańczy, tracący wartość w razie klęski powstańców, którzy przegrali już kilka buntów, z drugiej zaś Ukaz władzy istniejącej, zawsze wcześniej zwycięskiej i silnej — mniejsze ryzyko. I chłop wybrał — chłop zawsze jest pragmatykiem.

Ferdynand Ruszczyc, „Ziemia" (1898)

DYSCYPLINOWANIE PANÓW REBELIANTÓW PRZEZ CHŁOPSTWO

Jeden z zawziętych pacyfikatorów Powstania, osławiony *„Wieszatiel"* (jenerał Michaił Nikołajewicz Murawjow), rozpływał się w swych pamiętnikach na temat pomocy, jakiej udzielało Rosjanom chłopstwo polskie: *„Wydałem odezwę tłumaczącą włościanom całą niedorzeczność buntu i poleciłem wszystkim gromadom wiejskim, by ściśle dozorowały szlachtę, i by bezzwłocznie donosiły władzom o tych, którzy w rebelii biorą udział (...) Wiedząc, że przyciągnięcie ludu, nasza ścisła styczność z ludem, jest sprawą absolutnie priorytetową, wezwałem z Rosji naszych działaczy sprawy włościańskiej jako agitatorów (...) Skutkiem tych działań ziemianie upadli na duchu, a włościanie uczuli nowe życie i unieśli głowy, stając się główną naszą podporą (...) Gwoli ostatecznego utrudnienia działalności buntowniczych band polecone było wyrąbywanie linii komunikacyjnych w lasach zajmowanych przez rebeliantów. Większość tych linii wyrąbali włościanie, którym zależało, by cały kraj został zabezpieczony od band. Nagradzaliśmy tę pracę włościan dając im tak ogromną ilość drewna, iż w roku kolejnym mogli się wybornie pobudować, stawiając obok swych starych, nędznych chat nowe budynki mieszkalne i hodowlane (...) Jednym słowem: triumf włościan był ogólny. Przechodzili oni całkowicie na stronę caratu, szczerze Najjaśniejszemu Panu dziękując za okazane im łaski"*.

Jenerał Murawjow — *„Wieszatiel"* (sztych z epoki)

Pierwsze chłopskie uderzenia na powstańców miały miejsce tuż po rozpoczęciu Buntu. Już 28 stycznia **„Dziennik Powszechny"** doniósł, że chłopi z powiatu Krasnostawskiego dostawili carskim żandarmom *„20 podżegaczy, a wśród nich księdza"*. 30 stycznia wieśniacy zaatakowali dwór Orchowiec. Istne pogromy

eprasa.pl e3336b6748

wyruszających do lasu powstańców zbrojni chłopi urządzili w Białaczewie (Opoczyńskie), w Sannikach (Kutnowskie), Częstoborowicach (Lubelskie), tudzież w parunastu miejscowościach w Koneckiem, Sandomierskiem, Miechowskiem, Stopnickiem i Krakowskiem. Józef Dąbrowski: *„Wszędzie oddziały rosyjskie miały zawsze gotowych przewodników pośród chłopów, zaś powstańcze oddziały miały wręcz uniemożliwione ruchy wskutek zajadłego szpiegostwa i wrogiej postawy chłopów. W wielu miejscach ta chłopska nienawiść wobec szlacheckich powstańców kończyła się wiązaniem ich i odstawianiem do władz, lub też tak często mordowaniem, że Langiewicz* [wódz powstańczy] *ostrzegał nawet przed możliwością powtórzenia się «rzezi galicyjskiej»"* (1913). Liczba miejscowości (miasteczek, wsi i dworów), w których miały miejsce zbrojne ataki wieśniaków na powstańców, jest ogromna: Pilaszkowice, Rybczewice, Fajsławice, Krzywe, Suchodoły, Siedliska, Budy, Bilcza, Lipie, Zajączkowo, Syski, Bukowiec, Radzice, Pijaczew, Kajetanów, Mysłakowiec, Brudzewice, Szczedzkowice, Wólki, Samsonów — mógłbym długo jeszcze tę posępną listę ciągnąć.

Chłopów pchała do kolaboracji z carskimi nie tylko wrogość wobec *„panów"*, nie tylko *„przejawiająca się gdzieniegdzie wiara w «dobrego cara»"* (E. Halicz, 1955) i nie tylko apatriotyczność, o której pisano już dawno temu (W. Maliszewski: *„Warstwy posiadające nie uświadomiły chłopstwa w kierunku narodowym"*, 1935; A. Świętochowski: *„Chłopi wcale nie byli patriotami, nie kochali Polski, nawet jej nie rozumieli"*, 1928), i o której napomyka się również dziś (Jan Żaryn: *„Elita polska coś zaniedbała w swym biegu ku Niepodległej, ponieważ straciła kontakt z ludem. Stało się w tedy jasne, iż tożsamość tego ludu można zmanipulować tak, żeby wcale nie musiała być propolska ani niepodległościowa"*, 2018). Istotną dźwignią stały się również *„dieńgi"*. Józef Putek: *„Trzy ruble dostawał chłop za dostawienie powstańca, a dwa ruble mu jeszcze dodawano, jeśli dostawił go z bronią. Do pięciu rubli płacono chłopom za broń wyszukaną i złożoną w urzędzie. «Straże włościańskie» kontrolowały po drogach i karczmach paszporty przejezdnych i «oczyszczały» powiaty z powstańców, rekwirując w ich gospodarstwach zboże dla wojska, sprzedając ruchomości, a wreszcie wypędzając z tych gospodarstw rodziny. Gorliwców w tej służbie policyjnej nagradzano ziemią zagrabioną powstańcom"* (1938).

Wzmiankowana wyżej antypowstańcza *„straż włościańska"* to czarny symbol dławienia Insurekcji przez chłopów. Emanuel Halicz: *„Do połowy lipca 1863 r. we wszystkich powiatach utworzono dla walki z powstańcami uzbrojoną straż wiejską, której członkowie otrzymywali pieniądze i pożywienie"*. Najgęstsza była na Kresach, w Kongresówce powstawała oporniej, lecz nawet tam 1 stycznia 1864 *„straże włościańskie"* liczyły 4350 pieszych i 436 konnych. Murawjow się cieszył: *„Uzbrojone straże włościańskie wszędzie pomagały naszym wojskom niszczyć buntowników. Lud wiejski przestał bać się okrucieństw księży katolickich i pastwienia się dziedziców, stając się naszą główną podporą"*. A powstaniec, kapitan Wiktor Wiśniewski, płakał: *„O ludzie mój! Niech by to był ostatni przykład waszej ciemnoty!"* (1866).

Bardzo nieliczni historycy rodzimi starali się apoteozować stosunek chłopów do Powstania, wskazując ich udział w boju przeciw Kacapom — Adam Szelągowski: *„Tam, gdzie walka dłuższy czas przetrwała, usposobienie chłopów zaczęło przechylać się nawet na stronę powstania. Jak się potem okazało: w żadnym z dotychczasowych powstań, nawet kościuszkowskim, lud liczniej i samodzielniej nie wystąpił niż w powstaniu styczniowym. O tym świadczyć będą oddziały księdza Mackiewicza na Żmudzi, księdza Brzózki na Podlasiu, a nawet i oddziały samych chłopów, jak Bitisa, Pajduka, kowala Szymańskiego na Podlasiu, i inne, których Moskale przeważnie powywieszali"* (1928). Większość wszakże dziejopisów uważała wymienione przypadki za propowstańczość bardzo sporadyczną, czyli za *„wyjątki potwierdzające regułę"*. Przeważała opinia, którą prof. Skałkowski wyraził rocznicowo w 1913 (50–lecie) — że Powstanie Styczniowe zostało zdławione siłą carskich wojsk i współpracującego z nimi chłopstwa. ©℗

Jan Rosen, „Powstańcy roku 1863" (1880)

eprasa.pl e3336b6748

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Mamo! Palę się!

Nagle czołgiem zatrzęsło i poczułem na plecach płomienie. – Z czołgu! Dostaliśmy! – wrzasnąłem, niezupełnie rozumiejąc sytuację. Ogień orał mi plecy niczym nożem. Próbowałem się odsunąć, lecz spadłem do wnętrza wieży. Chciałem krzyczeć. Wytężając ramiona i nogi, próbowałem przecisnąć się przez wieżyczkę dowódcy, jednak nie miałem dość siły. Czołg ogarnął swąd spalenizny i fala żaru. Musiałem się wydostać. Zamknąwszy oczy, podjąłem tytaniczny wysiłek, by dźwignąć się metr wyżej, do włazu. Udało mi się. Stanąwszy na siedzeniu dowódcy, przechyliłem się i stoczyłem na pokrywę silnika. Nie mogłem znieść bólu. – Mamo! Palę się! Palę się! Palę się!

Zeskoczyłem. Nasze czołgi gnały wokół w panice. Wpadliśmy w zasadzkę. Rzuciłem się na ziemię i zacząłem tarzać się w piasku. Poparzonymi dłońmi zgarniałem piasek na nogi i brzuch. Zacząłem wychodzić spod padających wokół pocisków. Wszystko na mnie się spaliło, poza butami, paroma strzępami kurtki i zwisającego ze mnie skrawka bielizny”.

Ten niesamowity opis pochodzi ze wspomnień gen. Awigdora Kahalaniego. Legendy izraelskich sił pancernych. Kahalani zapisał heroiczną kartę w słynnej bitwie w Dolinie Łez podczas wojny Jom Kippur. 6 października 1973 r. siły Egiptu i Syrii zaatakowały znienacka Izrael. Na Wzgórza Golan z impetem wdarły się zagony syryjskich czołgów.

Na ich drodze stanęły czołgi Centurion z izraelskiej 7. Brygady Pancernej. To, co stało się w kolejnych dniach, przeszło do historii. Mimo przytłaczającej przewagi Syryjczyków – używających nowoczesnego sowieckiego sprzętu – Izraelczykom udało się zatrzymać inwazję. Straszliwa, zacięta bitwa pancerna trwała cztery dni, a obie strony poniosły w nich kolosalne straty. Gdyby Arabom udało się przedrzeć – wojna mogłaby przybrać dla Izraela bardzo niekorzystny obrót.

Awigdor Kahalani podczas wojny w Dolinie Łez dowodził czołgiem i okazał się jednym z najskuteczniejszych izraelskich asów pancernych. Ciężko ranny pierwszego dnia wojny nie zrezygnował z walki. „Wyżyny odwagi” to fascynujący opis pancernych pojedynków, żołnierskiego poświęcenia i patriotyzmu. Klasyka wojennej literatury wspomnieniowej. ©℗

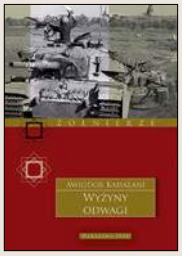

★★★★★★

AWIGDOR KAHALANI „WYŻYNY ODWAGI” TETRAGON

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wszystko na sprzedaż

Po śmierci Zbyszka Cybulskiego Andrzej Wajda miał wyrzuty sumienia, że nie wykorzystał w pełni talentu aktora. Rzeczywiście, Cybulski zagrał u niego tylko trzykrotnie, a to, że jednym z tych przypadków była kultowa rola w „Popiele i diamencie”, niczego nie zmieniało. Niektórzy uważali, że następcą Cybulskiego dla Wajdy miał zostać Daniel Olbrychski, co zresztą reżyser sam zasugerował w filmie „Wszystko na sprzedaż” (premiera 28 stycznia 1969 r.). Olbrychski miał zatem stanowić rodzaj kompensacji za utraconego na zawsze aktora, jednak nigdy nie ma dwóch identycznych artystów. Olbrychski poszedł własną drogą i trudno go porównywać z Cybulskim. Wydaje się zresztą, że pan Daniel był bardziej wszechstronny, dzięki czemu znakomicie odnajdywał się w każdej niemal roli – od komedii do dramatów Szekspira.

Olbrychski miał kompensować Wajdzie utraconego aktora

„Wszystko na sprzedaż” było rodzajem hołdu dla Cybulskiego, opowieścią o aktorze, który niespodziewanie odszedł. Obraz zmusza do zastanowienia się, kim naprawdę był człowiek, który zniknął na zawsze, co zostawił po sobie i jak trwała będzie jego legenda. Wajda bowiem doskonale pamiętał wypowiedź Cybulskiego z wywiadu udzielonego niedługo przed śmiercią, gdy prosił o przekazanie reżyserowi, że ten „jeszcze za nim zatęskni”. I tak rzeczywiście się stało.

W filmie poświęconym pamięci Cybulskiego nie mogło zabraknąć jego najbliższego przyjaciela, Bogumiła Kobieli. Wprawdzie Bobek pojawił się tylko w epizodzie, ale jego żarliwy monolog na zawsze zapada w pamięć. To wypowiedź przyjaciela, człowieka, który nie zgadza się z koncepcją reżysera na temat osoby zmarłego. I przypomina, że artysta nie może nigdy oderwać się od swoich korzeni.

„[…] To chyba dosyć jasne – mówił nerwowo, przyspieszając z każdym zdaniem. – Nie ma człowieka znikąd, [taki] jest tylko w tych waszych filmach salonowych. A jak w życiu przychodzi jakaś autentyczna kariera, jakieś festiwale, jakieś te Twoje garnitury dwurzędowe, to proszę Ciebie, rzeszowskie i kieleckie trzyma Cię za nogi i pozwala stać na tych nogach. […] I mówią, to jest nasz Bobek, nasz Andrzej, [dlatego] nie wolno się wygłupić, reprezentuje się coś, kawał lasu, jakieś piachy! Oni tam walczyli, a Ty teraz odcinasz kupony, tak? I dlatego jak chcesz zachować prawdziwą twarz, to musisz wiedzieć, że odpowiadasz za województwo swojej młodości!”.

Kobiela nie wiedział, że już niebawem podąży śladem przyjaciela. Zmarł w wyniku ran odniesionych w wypadku samochodowym pół roku później… ©℗

eprasa.pl e3336b6748

Prezydent „Roman”

Piotr Woyciechowski

Andrzej Malinowski był agentem wywiadu wojskowego PRL

Organizacje pracodawców mają w Polsce kolosalne znaczenie. Działają na styku biznesu i polityki, lobbują, obracają znacznym majątkiem. Stanowią niezależny od władzy państwowej związek pracodawców działający na podstawie ustawy z 23 maja 1991 r., którego celem jest obrona słusznych interesów i praw pracodawców wobec związków zawodowych, administracji rządowej oraz samorządowej. Organizacje pracodawców posiadają osobowość prawną i mają prawo uczestniczenia w sporach zbiorowych oraz zawierania układów zbiorowych pracy. Związki reprezentatywne w skali kraju posiadają nadto przywilej uczestniczenia w procesie legislacyjnym i mają zagwarantowany udział w obradach Rady Dialogu Społecznego.

W Polsce działa sześć organizacji pracodawców reprezentatywnych w skali kraju. Do jednej z najbardziej liczących się należą Pracodawcy RP (PRP).

„Pracodawcy Rzeczypospolitej Polskiej (wcześniej Konfederacja Pracodawców Polskich) jest największą i najstarszą organizacją pracodawców w Polsce” – taką informację można znaleźć na oficjalnej stronie internetowej tej organizacji. Powstała ona w 1989 r. na bazie zmian politycznych po czerwcowych wyborach parlamentarnych. W listopadzie tego roku działające w rzeczywistości komunistycznej zrzeszenia rzemiosł, towarzystw gospodarczych oraz przemysłowych zorganizowały zjazd zjednoczeniowy i powołały do istnienia wspólną reprezentację działającą pod nazwą Konfederacja Pracodawców Polskich.

Wedle prezentowanych danych – organizacja obecnie reprezentuje 19 tys. firm zatrudniających przeszło 5 mln pracowników. Członkami Pracodawców RP są m.in. znane spółki prywatne: Gremia Media, operator Play, Kulczyk Investments, Marvipol, mBank, Orange, a także strategiczne spółki państwowe: Totalizator Sportowy, PKN ORLEN, Poczta Polska, PKO BP, PGE i ENEA. Organizacja skupia również 32 odrębne związki branżowe

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

eprasa.pl e3336b6748

pracodawców o zasięgu regionalnym i ogólnokrajowym, zrzeszające głównie prywatne podmioty gospodarcze. Pracodawcy RP prowadzą także działalność o charakterze międzynarodowym. Posiadają swoje przedstawicielstwa w Międzynarodowej Organizacji Pracy (ILO), Europejskim Komitecie Ekonomiczno-Społecznym (EESC), a także w Komitecie Doradczym Biznesu i Przemysłu przy OECD (BIAC). Jak wszystkie temu podobne zrzeszenia tak i PRP od lat honoruje swoimi tytułami ludzi ze świata biznesu, mediów, kultury i polityki. Od 2002 r. corocznie przyznawane są statuetki Wektorów – dla wyróżniających się przedsiębiorców – oraz nagrody Super Wektor – dla polityków. Do uhonorowanych laureatów należą przykładowo: prof. Marek Belka – prezes NBP (2012), Bronisław Komorowski – prezydent RP (2014) – i Mateusz Morawiecki – premier RP (2017).

OD KARIERY W ZSL

Od 18 lat na czele Pracodawców RP niepodzielnie króluje Andrzej Malinowski (lat 72). Jeden z najbliższych współpracowników Waldemara Pawlaka i były doradca nieżyjącego już miliardera Jana Kulczyka.

Malinowski jest absolwentem Akademii Ekonomicznej w Poznaniu i doktorem nauk ekonomicznych. W 1966 r. wstąpił do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego – satelity PZPR. Jako rzutki i sprawny organizator szybko piął się po szczeblach kariery. W końcu lat 80. z rekomendacji partii objął funkcję wiceministra w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego, a następnie w Ministerstwie Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej. Wcześniej był stypendystą naukowym w USA i wyjeżdżał do RFN. Zna biegle języki angielski i niemiecki. W 1990 r. po zakończeniu misji w ZSL wstąpił do PSL.

Na początku lat 90. Malinowski odszedł z polityki i podjął bliską współpracę z Janem Kulczykiem. Pracował w spółkach Kulczyk Holding oraz Kulczyk Tradex. W 1993 r. wystartował w wyborach i uzyskał z ramienia PSL mandat poselski. Trzy lata później premier Włodzimierz Cimoszewicz powierzył mu misję organizacji Ministerstwa Gospodarki, w którym został wiceministrem. W 1997 r. bezskutecznie starał się o ponowną reelekcję. W 2001 r. odszedł z PSL i został prezydentem Konfederacji Pracodawców Polskich. Zdecydował się na rozwód z polityką w momencie, kiedy w Polsce pod rządami AWS ruszyła (ułomna, ale zawsze) lustracja i powołano do życia Instytut Pamięci Narodowej.

Jednak kontaktu z PSL i samym Pawlakiem nie stracił. W okresie sprawowania władzy przez koalicję PO-PSL pełnił funkcję doradcy partii i samego Waldemara Pawlaka – wicepremiera RP i ministra gospodarki w rządzie Donalda Tuska.

To tyle, jeżeli chodzi o oficjalną biografię Andrzeja Malinowskiego. A co nam mówią archiwa IPN?

WYWIAD WOJSKOWY PRL

Okazuje się, że Andrzej Malinowski to wszechstronnie wyszkolony i doświadczony niejawny współpracownik Agenturalnego Wywiadu Operacyjnego (AWO) o pseudonimie Roman. W Instytucie zachowała się opasła teczka dokumentująca związki Malinowskiego w latach 1983–1990 z „długim ramieniem Moskwy", jak utarło się słusznie mawiać o wywiadzie wojskowym PRL.

Koncepcja działalności szpiegowskiej AWO wymierzonej przeciwko NATO została sformułowana w Moskwie i narzucona podległym Sowietom państwom Układu Warszawskiego, a następnie przez Sowietów koordynowana. Głównymi zadaniami tajnej komórki wywiadu miało być werbowanie i szkolenie szpiegów wywiadu wojskowego. Podczas wojny AWO miał zająć się agenturalną pracą na tyłach przeciwnika. W czasie pokoju ta siatka szpiegowska była częścią krajowego aparatu agenturalnego. Niejawnymi współpracownikami AWO byli znani politycy – na przykład Józef Oleksy ps. Piotr czy Ireneusz Sekuła ps. Artur. W obozie Solidarności także ujawniano współpracowników AWO. Do ich grona należy dwóch działaczy podziemnych struktur wrocławskiej Solidarności: prof. Jerzy Weber (ps. Szczęsny) z Akademii Rolniczej i prof. Krzysztof Szajowski (ps. Przybysław) z Politechniki Wrocławskiej.

Wywiad wojskowy zwrócił uwagę na Andrzeja Malinowskiego na początku 1983 r. Wytypowanie go do współpracy z AWO miało związek z udzieloną mu przez ZSL rekomendacją do pracy w służbie zagranicznej PRL. Wywiad dowiedział się, że Malinowski ma objąć stanowiska radcy handlowego ambasady PRL w Oslo lub w Hadze. Rozpracowaniem kandydata zajął się płk Mieczysław Fuczkiewicz, który poznał osobiście Malinowskiego jako lektora ekonomii socjalistycznej na kursie Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu przy jednostce wojskowej OPK w Poznaniu. Wraz ze swoimi żonami spotykali się zresztą prywatnie. Fuczkiewicz w latach stalinowskich był oficerem osławionej Informacji Wojskowej. Ukończył także roczny kurs doskonalenia oficerów w Wyższej Szkole KGB w Moskwie. Podczas prawie dwuletniego rozpracowania Malinowskiego i jego rodzinę poddano drobiazgowym badaniom, m.in. zlecono WSW przeprowadzenie wywiadu środowiskowego i zgromadzono informacje ze wszystkich niejawnych rejestrów służb PRL. Fuczkiewicz tak charakteryzował małżeństwo Malinowskich: „Kandydat jak i jego żona rozumują patriotycznie. Są krytyczni wobec występującego zła. Życie na Zachodzie im nie imponuje. Nałogów nie posiadają […]. Stan zdrowa kandydata i jego żony pod względem fizycznym i psychicznym jest dobry. Panują nad swoimi stanami wewnętrznymi".

Wywiad wojskowy zwrócił uwagę na Malinowskiego w 1983 r., gdy ZSL dało mu rekomendację do pracy w służbie zagranicznej PRL

CHĘTNY DO INFORMOWANIA

Podjęto oczywiście bezpośredni dialog operacyjny z Malinowskim. Po jednym z takich spotkań płk Fuczkiewicz odebrał od kandydata zobowiązanie do zachowania kontaktów z wywiadem wojskowym w tajemnicy oraz wypełnioną osobiście specjalnie do tego opracowaną ankietę osobową.

Podczas spotkań Malinowski chętnie udzielał informacji. W notatce ze spotkania z 1 września 1983 r. płk Fuczkiewicz z satysfakcją odnotował: „[Malinowski – przyp. autora] jest świadomy, jaką służbę reprezentuję i chętnie będzie dostarczał interesujące nas informacje z pozycji kraju i zagranicy w wypadku wyjazdu na placówkę dyplomatyczną. Obecnie mógłby dostarczać bardziej cenne

eprasa.pl e3336b6748

materiały – informacje, gdyby został przeszkolony. Naprowadzany obecnie w rozmowach na określone tematy dzieli się chętnie posiadanymi informacjami. Chętnie angażuje się do spełniania próśb. Jest bardzo operatywny w działaniu i sprytny, a jednocześnie dyskretny i słowny".

Na wyniki nadgorliwości Malinowskiego nie trzeba było długo czekać. Trzy tygodnie później przekazał wywiadowi cenne informacje polityczne prosto z Moskwy. Podczas pobytu służbowego w stolicy Kraju Rad we wrześniu 1983 r. uzyskał od byłego konsula ZSRS w Poznaniu i pracownika Departamentu Kadr MSZ, Podlipniaka, informacje na temat ocen i opinii towarzyszy radzieckich dotyczących osoby gen. Wojciecha Jaruzelskiego i planowanych roszad personalnych w kierownictwie MON oraz informacje o dalszej przyszłości politycznej prezesa ZSL Andrzeja Malinowskiego (przypadkowa zbieżność imion i nazwisk). Meldunek został niezwłocznie przesłany szyfrogramem do centrali wywiadu w Warszawie.

Rozpracowywanie „Romana" trwało przez następny kolejny rok. W końcu 1984 r. zmieniała się sytuacja zawodowa płk. Fuczkiewicza, który przeszedł do służby WSW. W związku z tym Malinowskiego przejął nowy oficer – mjr Bohdan Sienkiewicz, który posługiwał się nazwiskiem operacyjnym Rutkowski. Sienkiewicz, podobnie jak Fuczkiewicz, także przeszedł intensywne szkolenia KGB w Moskwie. Przejęcie nastąpiło 7 lutego 1985 r. w gabinecie Malinowskiego w siedzibie WK ZSL w Poznaniu. Niedługo potem mjr Sienkiewicz meldował kierownictwu o gotowości werbunku Malinowskiego. Wniosek o pozyskanie kandydata na współpracownika o ps. Roman został zatwierdzony 28 maja 1985 r. przez zastępcę szefa wywiadu wojskowego ds. operacyjnych. Droga do werbunku była otwarta. Zgodnie z przewidywaniami Malinowski bez wahania zgodził się na współpracę.

Pozyskanie nastąpiło 24 czerwca 1985 r. w lokalu konspiracyjnym wywiadu Anna w Poznaniu. „Roman" podpisał deklarację współpracy z wywiadem wojskowym PRL, a następnie przeszedł szkolenie z zasad konspiracji oraz z zasad rozpracowania kandydatów do współpracy spośród cudzoziemców.

AGENT „ROMAN"

Przyjął także do realizacji zadanie specjalne związane z jego planowanym wyjazdem służbowym do RFN. Zgodził się na pozyskanie danych personalnych i charakterystyki co najmniej jednego cudzoziemca, obywatela RFN, utrzymującego zawodowe lub prywatne kontakty z Polską. Malinowski przyjął za pokwitowaniem w gotówce 100 marek niemieckich tytułem pokrycia kosztów operacji. W sporządzonym meldunku z rozmowy werbunkowej mjr Sienkiewicz odnotował: „W trakcie szkolenia »Roman« przekazał informację na temat kandydata Jan Kulczyk, zam. Berlin-Zachodni /na paszporcie konsularnym/ współwłaściciela PHZ »Inter-Kulpo«".

Jak się zaraz okaże, nie była to jedyna i ostatnia informacja operacyjna „Romana", którą przekazał na temat swego przyszłego partnera biznesowego. „Roman" miał realizować jeszcze jedno zadanie wywiadowcze, tym razem na terenie USA, w ra-

Po powrocie z RFN Malinowski sporządził notatkę na temat Kulczyka. Podał informacje o rodzinie, kontakty biznesowe

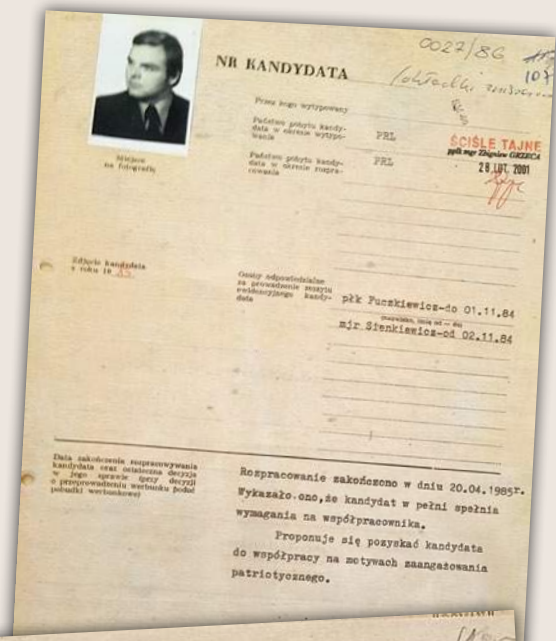

NR KANDYDATA

ŚCIŚLE TAJNE
ppłk mgr Zbigniew GRZECA
28 LIP. 2001

płk Fuczkiewicz-do 01.11.84
mjr Sienkiewicz-od 02.11.84

Rozpracowanie zakończono w dniu 20.04.1985r. Wykazało ono, że kandydat w pełni spełnia wymagania na współpracownika.

Proponuje się pozyskać kandydata do współpracy na motywach zaangażowania patriotycznego.

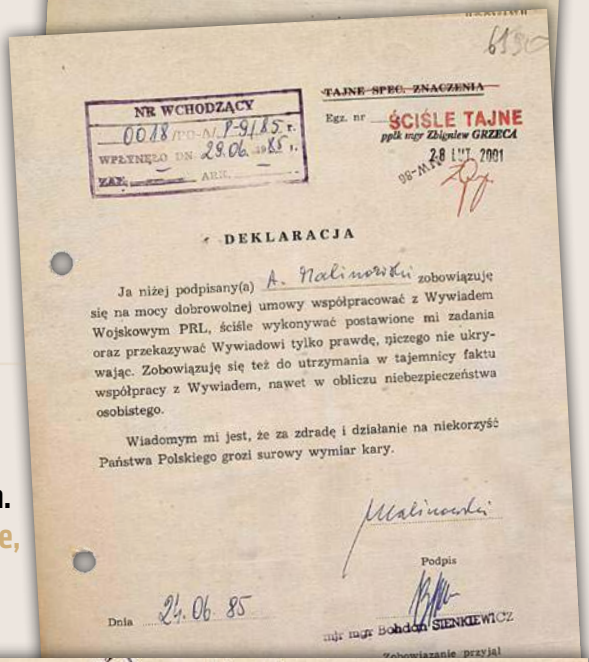

NR WCHODZĄCY 0048/PO-N/P-9/85 r.
WPŁYNĘŁO DN. 29.06.1985 r.

TAJNE-SPEC. ZNACZENIA
Egz. nr
ŚCIŚLE TAJNE
ppłk mgr Zbigniew GRZECA
28 LIP. 2001

DEKLARACJA

Ja niżej podpisany(a) A. Malinowski zobowiązuję się na mocy dobrowolnej umowy współpracować z Wywiadem Wojskowym PRL, ściśle wykonywać postawione mi zadania oraz przekazywać Wywiadowi tylko prawdę, niczego nie ukrywając. Zobowiązuję się też do utrzymania w tajemnicy faktu współpracy z Wywiadem, nawet w obliczu niebezpieczeństwa osobistego.

Wiadomym mi jest, że za zdradę i działanie na niekorzyść Państwa Polskiego grozi surowy wymiar kary.

Podpis

Dnia 24.06.85

mjr mgr Bohdan SIENKIEWICZ

Zobowiązanie przyjął

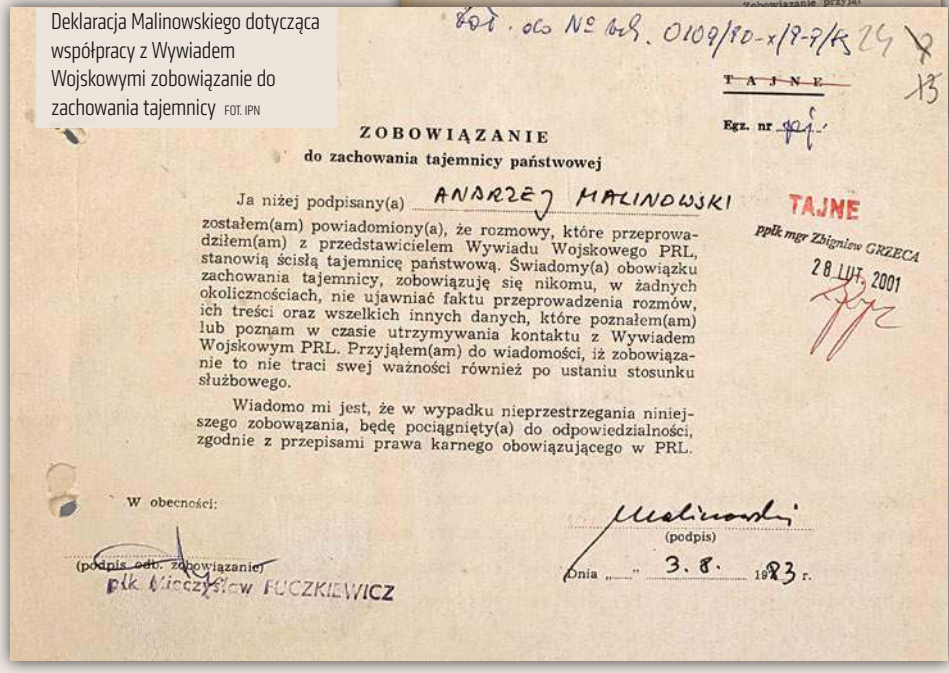

Dot. oco Nr bdg. 0109/80-x/P-9/85 24

TAJNE

Egz. nr

ZOBOWIĄZANIE
do zachowania tajemnicy państwowej

Ja niżej podpisany(a) ANDRZEJ MALINOWSKI zostałem(am) powiadomiony(a), że rozmowy, które przeprowadziłem(am) z przedstawicielem Wywiadu Wojskowego PRL, stanowią ścisłą tajemnicę państwową. Swiadomy(a) obowiązku zachowania tajemnicy, zobowiązuję się nikomu, w żadnych okolicznościach, nie ujawniać faktu przeprowadzenia rozmów, ich treści oraz wszelkich innych danych, które poznałem(am) lub poznam w czasie utrzymywania kontaktu z Wywiadem Wojskowym PRL. Przyjąłem(am) do wiadomości, iż zobowiązanie to nie traci swej ważności również po ustaniu stosunku służbowego.

Wiadomo mi jest, że w wypadku nieprzestrzegania niniejszego zobowązania, będę pociągnięty(a) do odpowiedzialności, zgodnie z przepisami prawa karnego obowiązującego w PRL.

TAJNE
ppłk mgr Zbigniew GRZECA
28 LIP. 2001

W obecności:

(podpis osób. zobowiązanej)
płk Mieczysław FUCZKIEWICZ

(podpis)

Dnia „ " 3. 8. 1983 r.

Deklaracja Malinowskiego dotycząca współpracy z Wywiadem Wojskowymi zobowiązanie do zachowania tajemnicy FOT. IPN

eprasa.pl e3336b6748

mach oficjalnej wizyty CHZ „Animex", ale z powodu odwołania wyjazdu do tego nie doszło.

Po powrocie z RFN „Roman" spotkał się ze swoim oficerem w tym samym lokalu konspiracyjnym. Malinowski złożył ustny meldunek z wykonania zadania specjalnego. Dostarczył później pisemną relację z wyjazdu. Przeszedł ponadto specjalistyczne i wszechstronne szkolenie pod kątem rozpracowywania kandydatów na agentów. Na miejscu sporządził także własnoręcznie dwustronicową notatkę na temat Jana Kluczyka. „Roman" podał podstawowe dane przyszłego miliardera, informacje o najbliższej rodzinie, opisał kontakty biznesowe i polityczne, a także oceniał słabości Kulczyka do kobiet i alkoholu. Swoje relacje z Kulczykiem scharakteryzował jako przyjacielskie. Notatka „Romana" stała się podstawą podjęcia przez wywiad wojskowy rozpracowania Kulczyka pod kątem ewentualnego werbunku. Jak to w realiach służb specjalnych bywa, donosy na Kulczyka nie przeszkadzały Malinowskiemu w skorzystaniu z możliwości pracy w jego firmach.

Ostatecznie Malinowski nie wyjechał na placówkę zagraniczną, ale został wiceministrem handlu wewnętrznego i przeniósł się do Warszawy. Awans „Romana" w żaden sposób nie zakłócił współpracy z wywiadem wojskowym. Wręcz przeciwnie. Malinowski zaproponował swojemu oficerowi prowadzącemu, że może plasować ludzi wywiadu w podległych mu departamentach ministerstwa. W notatce ze spotkania z „Romanem" z 22 czerwca 1986 r. w hotelu Forum w Warszawie zapisano: „W najbliższym czasie, w ramach planowanych przesunięć organizacyjnych i etatowych widzi on [Roman – przyp. autora] dalszą możliwość uplasowania tam »naszych« ludzi. Pomimo dużego obciążenia pracą w ministerstwie widzi on dalszą możliwość, a nawet potrzebę współpracy z nami". We wnioskach ze spotkania zaproponowano kierownictwu oddziału skorzystanie z pojawiających się możliwości.

Ze względu na piastowanie wysokiej funkcji „Roman" został przejęty przez samego szefa oddziału AWO – ppłk. Romualda Boryszczyka. Podobne jak dwaj pierwsi oficerowie prowadzący także ppłk Boryszczyk był absolwentem sowieckich kursów specjalnych GRU.

Przejęcie „Romana" nastąpiło formalnie 25 czerwca 1986 r. w restauracji hotelu Forum. Do pomocy w „obsłudze" cennego współpracownika skierowany został dodatkowo ppłk Zygmunt Biernat z centrali wywiadu w Warszawie. Także i ten oficer ukończył kurs specjalny GRU. Ostatnie spotkanie operacyjne obydwu oficerów wywiadu z „Romanem" odbyło się 7 czerwca 1990 r. w restauracji hotelu Forum.

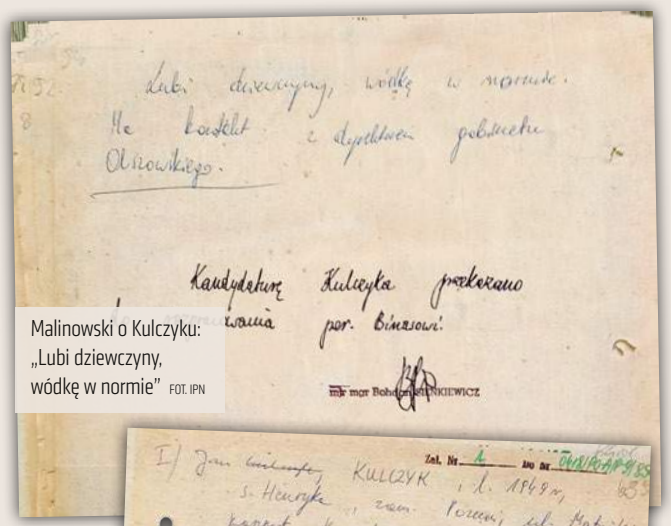
Lubi dziewczyny, wódkę w normie.
Kandydaturę Kulczyka przekazano
por. Binasowi
mjr mgr Bohdan PIKIEWICZ

Malinowski o Kulczyku: „Lubi dziewczyny, wódkę w normie" FOT. IPN

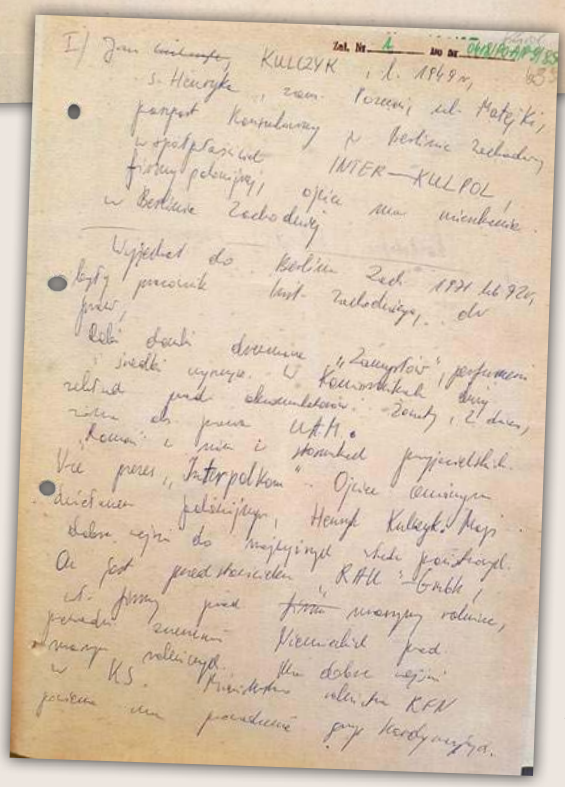
Zał. Nr 1
KULCZYK
INTER-KULPOL

UTAJNIONA TECZKA

Według zachowanych dokumentów Andrzej Malinowski w okresie swojej siedmioletniej niejawnej współpracy z wywiadem wojskowego PRL (do 1990) odbył co najmniej 32 spotkania operacyjne z czterema oficerami prowadzącymi. Nie był wynagradzany. Raz pobrał zaliczkę w walucie na pokrycie kosztów operacji wywiadowczej. Otrzymywał także incydentalnie upominki z okazji urodzin i imienin.

Wszyscy oficerowie prowadzący „Romana" byli zaufanymi towarzyszy radzieckich. Poza płk. Fuczkiewiczem (odszedł ze służby w 1988 r.) każdy z nich zrobił karierę w WSI. Pułkownik Boryszczyk został attaché wojskowym w Egipcie (1992–1995) i w Chorwacji (1995). Z kolei płk Biernat doszedł do stanowiska zastępcy szefa Biura Studiów i Analiz (1997–1999). Obaj zostali wymienieni w raporcie z likwidacji WSI w 2007 r.

Czy Andrzej Malinowski kontynuował współpracę z WSI po roku 1990? Tego nie wiemy. Możemy jednak przypuszczać, że pozostawał w zainteresowaniu operacyjnym służby. Wskazują na to następujące przesłanki: materiały źródłowe nie zawierają żadnej wzmianki o zakończeniu współpracy „Romana" z wywiadem, teczka współpracownika „Romana" nie została przekazana do archiwum WSI, lecz pozostawała jako czynna w dyspozycji Oddziału 24 (następcy oddziału AWO); ostatnie adnotacje o Malinowskim pochodzą z 16 września 1992 r. i dotyczą jego miejsca pracy w biurze handlowym Kulczyk Holding. W lutym 2001 r., tuż przed przekazaniem materiałów współpracownika „Romana" do IPN, jego teczka została utajniona przez mjr. Zbigniewa Grzeca z WSI.

Andrzej Malinowski, pomimo zaawansowanego wieku, nadal jest aktywny publicznie. Pośredniczy w biznesie. Reprezentuje PRP na zewnątrz. Publikuje felietony w gazetach. Wydał swoją pierwszą książkę. Spotyka się i chętnie fotografuje nawet z politykami Zjednoczonej Prawicy. Odszedł z polityki do bezpiecznej dla niego przystani prywatnego biznesu, w najbardziej dla niego korzystnym momencie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

Z Davidem Daviesem, członkiem Izby Gmin z ramienia Partii Konserwatywnej
rozmawia Piotr Włoczyk

Czeka nas bitwa o brexit

PIOTR WŁOCZYK: Po zeszłotygodniowym głosowaniu nad umową o wyjściu z UE nawet eksperci mają problem z nadążeniem za brytyjską polityką. Nie żałuje pan teraz decyzji sprzed trzech lat?

DAVID DAVIES: Absolutnie nie. Wtedy byłem w stu procentach za brexitem, a dziś jestem za wyjściem z UE na tysiąc procent. Unia zabiera Brytyjczykom wolność, więc trzeba ją jak najszybciej opuścić. Wiem, że w liberalnych mediach przedstawiają nas – zwolenników brexitu – jako ciemnych prostaków, którzy nie wiedzieli, za czym głosowali, ale to kompletny nonsens. Szybkie wyjście z UE to jedyne racjonalne rozwiązanie na przyszłość.

Chciałby pan jak najszybciej opuścić Unię, ale jednak we wtorkowym głosowaniu w Izbie Gmin był pan jednym z 202 posłów Partii Konserwatywnej, którzy poparli umowę brexitową. 432 posłów głosowało przeciwko, wielu z nich dlatego, że ta umowa nie była jednoznacznym odcięciem się od UE.

Tak, głosowałem za umową wynegocjowaną przez panią premier May, ale nie zrobiłem tego z wielkim entuzjazmem. Myślę, że to był ten rodzaj kompromisu, z którym wszyscy mogliśmy jakoś żyć. Nasz kraj jest pęknięty na pół jak nigdy przedtem. Byłem przekonany, że taka kompromisowa umowa brexitowa pomogłaby zakopać rowy i skupić się na przyszłości.

Niestety, jednak teraz to już przeszłość, bo okazało się, że po obu stronach jest za mało ludzi szukających kompromisu. Z tego powodu jesteśmy na kompletnie nieznanych wodach. Studiowałem historię i muszę powiedzieć, że podobnego klinczu nie było u nas w polityce od ponad stu lat.

Stało się bardzo niedobrze i trzeba teraz sobie z tym jakoś poradzić. Jedno się nie zmieniło: naród dokonał w 2016 r. jednoznacznego wyboru, a jestem po stronie tych, którzy chcą wyjść z UE.

Co się panu nie podobało w umowie premier May? Pozostawanie Wielkiej Brytanii w europejskiej unii celnej, z uwagi na chęć uniknięcia powstania „twardej" granicy między Republiką Irlandii a Irlandią Północną, było bodaj najbardziej krytykowanym punktem tego porozumienia.

Tak, pozostawanie jeszcze przez jakiś czas w unii celnej bardzo mi się nie podobało. Płacenie UE za „rozwód" to również rzecz trudna do przełknięcia i nie ma się co dziwić, że zdecydowana większość zwolenników brexitu nie chciała słyszeć o płaceniu miliardowego rachunku za opuszczenie Unii. Ale tak to już jest z kompromisami – pewne rzeczy będą nas w nich uwierały.

Co zatopiło umowę premier May?

Generalnie rzecz ujmując, mało kto u nas chce kompromisu. Zwolennicy pozostania w UE nie chcą opuszczać tej organizacji, a brexitowcy chcą wyjść bez umowy i bez płacenia UE.

Co teraz? Brexit bez jakiejkolwiek umowy, drugie referendum czy może trzecia opcja, czyli przedłużenie negocjacji?

Nikt poważny nie powie panu, jak to się skończy. Jeżeli ktoś w tym momencie decyduje się na wyrokowanie, to nie ma pojęcia, o czym mówi. Tak bardzo skomplikowały się u nas sprawy po wtorkowym głosowaniu. Odrzucenie umowy premier May otworzyło cały wachlarz opcji.

Weszliśmy w okres wielkiej niepewności, w naszym parlamencie dojdzie teraz do prawdziwej bitwy o brexit. Na razie nie

eprasa.pl e3336b6748

Demonstracja zwolenników brexitu 15 stycznia w Londynie
FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

ma niczego konkretnego na stole, ale każdy będzie ciągnął w swoją stronę. Prawo mówi jasno: 29 marca 2019 r. wychodzimy z UE. Z umową lub bez niej. Jeżeli jednak negocjacje miałyby zostać przedłużone lub – nie daj Boże – zorganizowane miałoby zostać drugie referendum, to dowiemy się o tym bardzo szybko.

Wśród zwolenników pozostania w UE widać wielką nadzieję, że może jednak uda się przełożyć negocjacje, co ostatecznie doprowadzi do pozostania w Unii.

Nie ma na to mojej zgody. Na negocjacje mieliśmy trzy lata. Czas tu nic nie zmieni. Są trzy opcje: pozostajemy w UE, wychodzimy z niej bez umowy albo wychodzimy z niej na podstawie nowej umowy. Już wiemy, że mało kto chce kompromisu, więc opcja numer trzy odpada. Przekładanie tego na po 29 marca nic nie da. Gdyby tak się jednak stało – w co nie wierzę – to na pewno doszłoby do potężnych protestów.

A jeżeli mimo wszystko Wielka Brytania pozostanie w UE?

Wtedy 17,4 mln ludzi wyjdzie na ulice. Ja również będę w tym tłumie. Powiedzieliśmy w 2016 r. jasno: wychodzimy z Unii! Każdy rząd musi uszanować tę decyzję i doprowadzić do opuszczenia UE, bo w przeciwnym razie jaki sens ma robienie wyborów? Po co nam głosowanie i w ogóle demokracja, skoro wola narodu okazuje się na koniec nieważna?

Lewicowe media w Wielkiej Brytanii myślą, że wiedzą lepiej niż większość. Ostatnie trzy lata spędziły na przedstawianiu nas, brexitowców, jako bandy rasistów, dewotów, ciemnych robotników, którzy czytają „złe gazety". To były trzy lata wyzwisk pod naszym adresem. Na pewno nie będziemy siedzieli z założonymi rękoma, jeżeli pojawiłoby się realne zagrożenie, że do brexitu mogłoby nie dojść. Cały kraj ogarnęłaby wtedy wielka fala protestów.

Jest pan gotowy na „twardy" brexit, czyli wyjście bez jakiejkolwiek umowy?

Oczywiście, że tak. Nie widzę w takim rozwiązaniu żadnego problemu. Wręcz oczekuję „czystego" brexitu bez żadnej umowy, bo najwyraźniej to jedyny sposób, by wyrwać się z Unii.

Nie czyta pan gazet? Twardy brexit oznaczać będzie olbrzymie problemy dla brytyjskiej gospodarki. Bez odpowiednich regulacji samoloty przestaną latać do Wielkiej Brytanii, handel zostanie zduszony, a brytyjscy robotnicy, którzy zdecydowanie opowiedzieli się za brexitem, stracą przez niego pracę.

Bzdura. Mam dobrą pamięć i pamiętam, jakie skutki miało przynieść już samo głosowanie za brexitem – spadek wiarygodności Wielkiej Brytanii w oczach inwestorów, ucieczkę kapitału i duży skok bezrobocia. Minęły prawie trzy lata i nic takiego się nie stało. Groźby zwolenników pozostania w UE nie trzymają się kupy. Raz straszą, że nie będzie u nas rąk do pracy, bo wszyscy po brexicie wyjadą, a równocześnie przekonują, że wzrośnie u nas bezrobocie… To samo z jedzeniem. W jednych antybrexitowych gazetach straszą, że zabraknie nam jedzenia, a w innych, że zostaniemy zalani tanią żywnością z całego świata. Jak można traktować to poważnie? To już chyba na nikogo nie działa.

Co przede wszystkim sprawiło, że głosował pan za wyjściem z UE?

To, że ludzie, którzy rządzą w Brukseli, nie są przed nikim odpowiedzialni. Mamy demokrację i można Theresy May nie lubić, ale wiadomo, że u nas to ona rządzi, i wiadomo też, jak to się stało, że pani premier stanęła na czele rządu. To samo z premierem Polski. Wiemy, kim są ludzie, którzy nami rządzą, i mamy na nich wpływ. Tego samego nie mogę powiedzieć o UE. Wiąże się z tym również marnotrawienie przez Brukselę pieniędzy Europejczyków.

Druga ważna rzecz: nie chcę, by Wielka Brytania była częścią europejskiego państwa federacyjnego, a nie oszukujmy się – do tego to przecież zmierza. Wy, Polacy, ciężko walczyliście, żeby wyrwać się w 1989 r. z bloku komunistycznego. Myślę, że ludzie również w Polsce zaczynają się orientować, że to, do czego przystąpiliście z własnej woli, zmierza w złym kierunku. Na pewno ma bardziej przyjacielską twarz niż Związek Sowiecki, ale jednak odbiera wolność.

Polscy politycy muszą bardzo uważać z takimi słowami, bo zdecydowana większość Polaków popiera naszą obecność w UE. To się oczywiście wiąże z doświadczeniem życia w bloku komunistycznym i marzeniami o przynależności do wolnego i dostatniego Zachodu…

Rozumiem kontekst historyczny, ale nie ma się co obawiać o przyszłość poza UE. Jestem przekonany, że Polacy, tak samo jak Brytyjczycy, będę sobie w stanie poradzić bez Junckera…

„Twardy" brexit nie oznaczałby kłopotów dla Polaków żyjących w Wielkiej Brytanii, którzy nie mają jeszcze brytyjskiego obywatelstwa?

Nie ma takiego niebezpieczeństwa. Chciałbym powiedzieć jasno imigrantom z Polski: nie wierzcie ludziom, którzy straszą was, że coś wam będzie u nas groziło. Jakkolwiek by się to potoczyło, to nikt nie będzie przecież wyrzucał Polaków. To szaleństwo nakręcane przez grupy lobbingowe chcące na siłę utrzymać nas w Unii. Moja żona jest Węgierką, więc takie straszenie działa mi na nerwy.

Nie znam ani jednego członka Izby Gmin, który chciałby wyrzucić imigrantów z Europy Wschodniej. Nigdy nie słyszałem takich sugestii, nawet w rozmowach prywatnych. Polakom nic u nas nie grozi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***David Davies** – członek Izby Gmin z okręgu Monmouth w południowej Walii. Należy do prawego skrzydła Partii Konserwatywnej, od wielu lat wzywał do opuszczenia UE, a w 2013 r. głosował przeciw wprowadzeniu instytucji małżeństw homoseksualnych.*

eprasa.pl e3336b6748

Francuski premier Édouard Philippe (z lewej) i szef Komisji Europejskiej Jeane-Claude Juncker po spotkaniu w Brukseli w 2017 r.

FOT. WIKTOR DĄBKOWSKI/EAST NEWS

Podwójne standardy

Olivier Bault

Dlaczego Francuzi mogą mieć większy deficyt i pozostawać bezkarni, a Włosi są karceni? Bo ci drudzy nie pałają miłością do imigrantów

W krajach Europy Środkowej, które w 2004 r. lub później przystąpiły do Unii Europejskiej, często obecne jest przekonanie, że w Brukseli są stosowane podwójne standardy. Protesty „żółtych kamizelek", mające miejsce we Francji od połowy listopada, przyniosły potwierdzenie tej tezy i obnażyły polityczne oraz ideologiczne motywy działania członków Komisji Europejskiej. Trudno już zaprzeczyć, że inaczej traktują oni państwa członkowskie w zależności od tego, czy dany rząd jest im bliski ideowo, czy też nie. Takie postępowanie stoi w jaskrawej sprzeczności z zasadą praworządności, ponieważ jest łamaniem artykułu 17 Traktatu o Unii Europejskiej stanowiącego, że: „Komisja wspiera ogólny interes Unii" oraz, jeśli chodzi o samych komisarzy, iż: „powstrzymują się oni od podejmowania wszelkich działań niezgodnych z charakterem ich funkcji lub wykonywaniem ich zadań".

Jednak to nie brak reakcji na brutalność francuskiej policji jest dzisiaj najlepszym dowodem podwójnej miary obowiązującej w Brukseli, tylko podejście Komisji Europejskiej do deficytu finansów publicznych Francji i Włoch. Na mocy tzw. paktu fiskalnego, który wszedł w życie w 2013 r., rządy krajów UE muszą co roku przedstawiać Komisji projekty budżetów krajowych, a ta może taki projekt odrzucić, jeśli uzna, że zakładany deficyt może zagrażać stabilności finansów publicznych danego kraju. Co prawda o ewentualnych dotkliwych karach finansowych dla krajów, które nie chciałyby się podporządkować wytycznym Komisji, ostatecznie decydują pozostałe rządy krajów UE, ale sama zapowiedź ewentualnych sankcji rodzi potężną presję na niesforny rząd, chociażby w postaci wzrostu oprocentowania jego papierów dłużnych na rynkach finansowych (z powodu zwiększonego ryzyka z punktu widzenia inwestorów).

RÓŻNICA W BUDŻETACH

W październiku ubiegłego roku Komisja Europejska odrzuciła projekt budżetu Włoch, bo zakładał deficyt finansów publicznych w 2019 r. na poziomie 2,4 proc. PKB. Nawet jeśli byłoby to dużo poniżej oficjalnego limitu 3 proc. obowiązującego wszystkie kraje Unii, było to więcej niż poziom 0,8 proc. uzgodniony z Komisją na rok 2019 przez poprzedni włoski rząd.

Był to pierwszy przypadek odrzucenia budżetu krajowego od czasu przyjęcia paktu fiskalnego. Tymczasem Francja zakładała na 2019 r. deficyt finansów publicznych na poziomie 2,8 proc., co bez żadnego problemu zostało zaakceptowane przez Komisję Europejską. Później jednak, pod wpływem żądań „żółtych kamizelek", prezydent Macron i premier Philippe postanowili w grudniu poluzować jeszcze

eprasa.pl e3336b6748

bardziej finanse publiczne i zapowiedzieli, że deficyt wyniesie 3,2 proc. Tym samym – jak zwrócił uwagę komisarz ds. ekonomicznych i monetarnych, Francuz Pierre Moscovici – Francja będzie jedynym krajem UE, który przekroczy w 2019 r. limit 3 proc. Jednakże, jak stwierdził, nowy deficyt zapowiedziany przez Paryż jest do zaakceptowania i nie ma powodu, aby wszcząć przeciwko Francji procedurę nadmiernego deficytu, o ile przekroczenie limitu 3 proc. będzie „wyjątkowe i ograniczone".

Wyjaśnienie to nie brzmi jednak zbyt wiarygodnie, zważywszy, że zwiększony deficyt wynika – jak zauważył niemiecki komisarz ds. budżetu Günther Oettinger – z dodatkowych wydatków „strukturalnie stałych". Oettinger podkreślił, że: „Kraj ten łamie limity zadłużenia jedenasty rok z rzędu poza rokiem 2017". I rzeczywiście, w marcu ubiegłego roku francuskie media odtrąbiły sukces, ponieważ deficyt finansów publicznych wynosił w 2017 r. „tylko" 2,6 proc. PKB i był po raz pierwszy od 2007 r. poniżej limitu UE. A w latach 2012–2013, gdy obecny komisarz ds. ekonomicznych i monetarnych był ministrem finansów socjalistycznego prezydenta François Hollande'a, francuski deficyt wahał się między 4 a 5 proc. PKB.

Mimo tych zastrzeżeń także Oettinger pod koniec grudnia zaakceptował zapowiedź zwiększenia deficytu Francji na 2019 r. – pod warunkiem że spadnie on poniżej 3 proc. w 2020 r. Niemiecki komisarz wyjaśnił, że prezydent Francji „pozostaje zagorzałym obrońcą Unii Europejskiej" i „istotne jest, aby Macron reformował dalej swój kraj, zwłaszcza jeśli chodzi o rynek pracy, tak aby Francja pozostała na drodze wzrostu".

PROSTY PODZIAŁ

Dlaczego jest to takie istotne, tłumaczył jego kolega Moscovici pod koniec października w publicznej telewizji francuskiej Public Sénat: – Uważam, że istnieją dzisiaj dwie linie podziału, które dadzą o sobie znać w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Pierwsza linia podziału przebiega między tymi, którzy są nastawieni proeuropejsko, a tymi, którzy są nastawieni antyeuropejsko. Jest to podział między tymi, którzy są przywiązani do demokracji liberalnej, a tymi, którzy przeciwstawiają się demokracji liberalnej. Z tego punktu widzenia pan Orbán, pan Kaczyński, pani Le Pen i pan Salvini są tymi, których trzeba zwalczać politycznie.

Włosi są oczywiście wściekli. Pod naporem Komisji i na skutek rosnącego spreadu (czyli różnicy oprocentowania między papierami dłużnymi Włoch i Niemiec) na rynkach finansowych rząd Giuseppe Contego, w następstwie uzgodnień między liderem Ruchu Pięciu Gwiazd (M5S) Luigim di Maio a liderem Ligi Matteo Salvinim, zgodził się opóźnić realizację niektórych obietnic wyborczych obu ugrupowań, aby nie przekroczyć deficytu finansów publicznych równowartego 2,04 proc. PKB w tym roku, zamiast zakładanych 2,4 proc. Wcześniej wicepremier Matteo Salvini zapewniał, że Rzym nie ugnie się przed Brukselą i że: „Skoro Macron zwiększa deficyt Francji do 2,8 proc., my też zwiększymy nasz deficyt, gdyż jesteśmy krajem suwerennym".

Włoskie ośrodki dla imigrantów pustoszeją, tymczasem Francja musi się bronić przed napływem nowych osób

Odmienne podejście do obu krajów Komisja tłumaczyła wtedy tym, że Włochy mają zadłużenie sektora publicznego równowarte 130 proc. PKB, podczas gdy zadłużenie Francji wynosi niecałe 100 proc. PKB. Inne wyjaśnienie podawane przez Komisję Europejską dotyczy tego, że powiększone wydatki Rzymu miały być związane z nowymi wydatkami strukturalnymi przez obniżenie podatków, wprowadzenie minimalnego zasiłku dla każdego bezrobotnego oraz obniżenie wieku emerytalnego. Koalicja M5S i Ligi uważa, że reformy te doprowadzą do bardziej dynamicznego wzrostu gospodarczego i tym samym do zwiększonych wpływów do kasy państwa, lecz takich argumentów w przypadku Włoch Komisja Europejska nie przyjmuje. Problem w tym, że to rząd Włoch, a nie KE będzie później odpowiadać przed włoskimi wyborcami, a cała ta dyskusja pokazuje, iż Unia Europejska ma strukturalny problem z demokracją.

Poza tym Komisja w ogóle nie brała pod uwagę przyszłych oszczędności, które wynikną ze skutecznej walki z nielegalną imigracją prowadzonej przez ministra spraw wewnętrznych Matteo Salviniego. Włoskie ośrodki dla imigrantów pustoszeją, a tymczasem Francja musi się bronić przed napływem nowych imigrantów (już nie tyle na swojej granicy z Włochami, ile z Hiszpanią). A Francja Macrona broni się bez przekonania i nadal zachęca do nielegalnej imigracji, chociażby darmowym dostępem do usług zdrowotnych dla nieproszonych przybyszy (na co rodowici Francuzi nie mogą liczyć). W 2019 r. przewidziano na ten jeden cel prawie miliard euro w budżecie francuskim, a to tylko niewielka część kosztów związanych z polityką otwartych granic.

Inna pozycja francuskiego budżetu dotyczy „azylu, imigracji i integracji uchodźców", czyli procedowania wniosków o azyl i zapewniania dachu nad głową oraz bezpłatnego wyżywienia dla wnioskodawców (na co francuscy bezdomni także nie mogą liczyć) – zapisano na to w sumie 1,4 mld euro w 2018 r., z tendencją wzrostową. Przykłady tych rosnących kosztów strukturalnych we Francji można mnożyć.

IDEOLOGIA IMIGRACJI

Tuż przed utworzeniem rządu koalicyjnego M5S i Ligi w Rzymie przewodniczący Komisji Jean-Claude Juncker ostrzegał, że Bruksela będzie „uważać na poszanowanie praw Afrykanów we Włoszech". W czerwcu druga wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej, była komunistka Federica Mogherini, przestrzegała na szczycie UE-G5 Sahel w Brukseli przed próbami zatrzymania imigracji, gdyż „niektóre sektory gospodarki w Europie bez imigracji przestałyby po prostu funkcjonować z dnia na dzień". Komisarz Oettinger już w maju ubiegłego roku, podczas finalizowania rozmów koalicyjnych M5S i Ligi, rozwścieczył Włochów stwierdzeniem, że rynki finansowe na pewno nauczą ich, na kogo należy głosować. We wrześniu dodał jeszcze, że są w Europie tacy, którzy chcą osłabić lub nawet zniszczyć projekt europejski. Winowajcy to: „Polska, Węgry, Rumunia, rząd Włoch". Co się tyczy byłego (?) komunisty Moscoviciego, to kilkakrotnie porównywał Salviniego i Ligę do przedwojennych faszystów, a o eurodeputowanym z Ligii, który deptał jego notatki własnym butem przy ogłaszaniu decyzji o odrzuceniu włoskiego projektu budżetu, powiedział, że to „kretyn, prowokator, faszysta". I dodał: – Tych ludzi będę zwalczać do ostatniego tchnienia.

I to właśnie czyni z pozycji europejskiego komisarza, podobnie jak to robią Juncker, Oettinger czy Timmermans w przypadku Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

55-letni Jeff Bezos deklaruje, że wraz z 48-letnią MacKenzie pozostaną przyjaciółmi

FOT. IMAGE PRESS/FORUM

Fortuna za wolność

Jacek Przybylski

Najbogatszy człowiek świata wkrótce mocno zbiednieje. Jeff Bezos rozwodzi się po 25 latach małżeństwa. Jego żona MacKenzie na otarcie łez dostanie zapewne równowartość ponad 250 mld zł

Istnieje sposób na transfer funduszy szybszy nawet niż elektroniczna bankowość. To małżeństwo" – mawiał pisarz James Holt McGavran. Powiedzenie to mają wkrótce potwierdzić twórca znanego na całym świecie serwisu Amazon i jego żona MacKenzie Bezos.

Jak wyliczyli dziennikarze Bloomberga, wartość majątku 55-letniego Jeffa Bezosa szacuje się obecnie na 137 mld dol. Małżeństwo nie miało podpisanej intercyzy. Zgodnie z prawem stanu Waszyngton, w którym, tuż zanim powstał Amazon, doszło do zawarcia małżeństwa Bezosów, w przypadku rozwodu obu stronom należy się połowa majątku. Skoro więc skłóceni małżonkowie mimo prób separacji nie doszli do porozumienia, to najprawdopodobniej czeka ich podział fortuny równo po połowie. Jeśli do tego dojdzie, to pani Bezos otrzyma po rozwodzie mniej więcej 68,5 mld dol., czyli równowartość 257 mld zł. Jak wyobrazić sobie taką kwotę? W projekcie ustawy budżetowej polskiego rządu zapisano dochody budżetowe na poziomie 386,9 mld zł, a wydatki na poziomie 415,4 mld zł. Pani eks-Bezos przez ponad pół roku mogłaby więc finansować funkcjonowanie Polski.

48-letnia MacKenzie, z zawodu pisarka i założycielka walczącej z przemocą organizacji Bystander Revolution, będzie mogła też kupić 2 mln nowych samochodów lub 300 tys. domów (po 850 tys. zł każdy). Aby zaoszczędzić taki majątek, trzeba by przez sto lat codziennie odkładać nieco ponad 7 mln zł. Po rozwodzie była żona założyciela największego handlowego imperium świata automatycznie wejdzie do pierwszej dziesiątki najbogatszych ludzi świata. A jednocześnie stanie się najbogatszą kobietą globu. Magazyn „Forbes" fortunę Alice Walton –

eprasa.pl e3336b6748

córki założyciela sieci Walmart, najbogatszej jak dotąd przedstawicielki płci pięknej – szacuje bowiem na 46 mld dol., a majątek Françoise Bettencourt Meyers, francuskiej bizneswoman i głównego udziałowca koncernu L'Oréal na nieco ponad 42 mld dol.

Mimo niewiarygodnie wielkiej fortuny, którą miliarder prawdopodobnie będzie musiał oddać, Jeff Bezos nie ma raczej szans na łagodniejszy wymiar finansowej kary. Po pierwsze dlatego, że MacKenzie Bezos aktywnie wspierała męża w rozwoju Amazona. Po drugie zaś dlatego, że dzień po ogłoszeniu decyzji o rozstaniu najbogatszej pary świata światło dzienne ujrzały jego dość jednoznaczne SMS-y do kochanki. Według magazynu „National Enquirer" jest nią 49-letnia dziennikarka telewizyjna Lauren Sánchez.

Żadne z Bezosów nie skomentowało tych doniesień. „Jesteśmy niesamowicie szczęśliwi, że na siebie trafiliśmy, i wdzięczni za każdy rok naszego małżeństwa. Nawet gdybyśmy wiedzieli, że rozstaniemy się po 25 latach, niczego nie zrobilibyśmy inaczej" – oznajmił jedynie najbogatszy człowiek świata, zapewniając, że wraz z byłą żoną pozostaną przyjaciółmi i będą wspólnie dbać o wychowanie czworga dzieci. – Nazwa się zmieni, ale pozostaniemy rodziną i przyjaciółmi – podkreślił Bezos.

Zdaniem adwokatów to możliwe. W przypadku miliarderów często do porozumienia rozwodowego dochodzi bowiem łatwiej niż w przypadku zwykłych śmiertelników z prostego powodu: tak czy owak oboje będą piekielnie bogaci. A nikt rozsądny nie chce wydawać fortuny na prawników. – Rozwód Bezosów może być tak szybki jak dostawa przesyłki z Amazona – mówi więc Christopher Melcher, adwokat z Zachodniego Wybrzeża, cytowany przez „The Economic Times". Ich sprawa rozwodowa może jednak spędzać sen z powiek niejednemu prawnikowi. Nawet drobny błąd może bowiem kosztować miliardy. A przykłady niektórych głośnych rozwodów pokazują, że nawet bogacze potrafią toczyć wyjątkowo zacięte spory o bezcenne obrazy czy bajecznie piękne nieruchomości.

Nie wiadomo również, jak ewentualna sprzedaż nawet części udziałów Amazona, które należą do Bezosa, może wpłynąć na wartość firmy. Założyciel i szef spółki ma bowiem 16 proc. wszystkich akcji, czyli aż 79 mln sztuk. Pozostaje pytanie: Czy jeśli zdradzona żona zostanie jednym z najważniejszych udziałowców spółki, bo Bezos odda jej połowę akcji, to czy nadal będzie mógł kierować stworzoną przez siebie firmą? Inny wariant to rozliczenie w gotówce. W tym przypadku nagła sprzedaż dużego pakietu mogłaby jednak sprawić, że wartość akcji spółki mogłaby nagle spaść. Na czym straciliby nie tylko założyciel spółki, lecz także wszyscy pozostali akcjonariusze.

Lauren Sánchez to według tabloidów nowa wybranka serca twórcy Amazona
FOT. BDG/REX FEATURES/EAST NEWS

Eksperci zapewniają, że najprawdopodobniej warunki rozwodu zostaną ustalone wspólnie przez prawników rozwodowych oraz maklerów giełdowych, tak aby Bezos mógł zachować kontrolę nad Amazonem, a jego była małżonka należne jej pieniądze, a jednocześnie aby nie doprowadzić do wahań kursu spółki.

BARDZO DROGIE ZDRADY

Alec Wildenstein – dotychczasowy rekordzista w nietypowej kategorii „najdroższych rozwodów" – za odzyskanie wolności zapłacił swojej byłej żonie niemal 20 razy mniej, niż ma to kosztować założyciela Amazona. W 1999 r. francusko-amerykański biznesmen i znany marszand sztuki oraz hodowca koni musiał zapłacić dawnej ukochanej Jocelyn aż 2,5 mld dol. od razu i po 100 mln dol. przez kolejne 13 lat. W sumie porzucenie małżonki uzależnionej od operacji plastycznych – które ponoć miały upodobnić ją do dzikiego kota – kosztowało 3,8 mld ówczesnych dolarów (czyli ok. 5,7 mld dzisiejszych dolarów). Efekt był mocno dyskusyjny. Pani Wildenstein zyskała przydomek Narzeczona Frankensteina. Niewykluczone, że tych dramatycznych wydarzeń dałoby się uniknąć, gdyby dwa lata wcześniej Jocelyn nie przyłapała męża na gorącym uczynku z 19-letnią rosyjską modelką.

Pod koniec XX w. doszło również do innego wyjątkowo drogiego rozwodu. Wprawdzie szczegóły ugody między magnatem medialnym Rupertem Murdochem a jego byłą żoną Anne nie zostały upublicznione, to jednak najpoważniejsze anglojęzyczne gazety szacowały koszt rozstania na 1,7 mld dol. Murdoch dość szybko znalazł pocieszenie i zaledwie 17 dni po rozwodzie wziął kolejny ślub. Tym razem jego wybranką była wówczas 30-letnia Wendi Deng. Przed zawarciem małżeństwa para podpisała jednak intercyzę. Dzięki niej w roku 2013 Murdoch bez większego stresu wniósł do sądu kolejny pozew rozwodowy, ogłaszając, że doszło do „bezpowrotnego rozpadu związku". Deng nie miała jednak wielkich powodów do narzekań. Były mąż w podziękowaniu za ugodowe zakończenie związku zostawił jej prestiżowy apartament na nowojorskim Manhattanie, wart kilkadziesiąt milionów dolarów. Trzy lata później 85-letni wówczas bogacz kolejny raz stanął na ślubnym kobiercu: tym razem – już po raz czwarty – miłość aż po grób miliarder obiecywał aktorce i modelce Jerry Hall.

Dużo mniej ugodowy przebieg miał drugi rozwód Romana Abramowicza (jego pierwsze małżeństwo z prostą dziewczyną z Astrachania Olgą Łysową rozpadło się wraz ze Związkiem Sowieckim, ale nie było drogie, gdyż Abramowicz dopiero zaczynał robić wielomilionowe interesy). W 2006 r. rosyjski przedsiębiorca, którego majątek „Forbes" szacuje na 11,4 mld dol., został oskarżony o małżeńską zdradę oraz zaniedbywanie rodziny przez żonę Irinę. Dawna stewardesa rosyjskich linii lotniczych Aerofłot, która przez lata towarzyszyła mężowi na każdym meczu jego londyńskiego klubu Chelsea i urodziła miliarderowi pięcioro dzieci, otrzymała wówczas – według informacji tabloidów – 1,6 mld dol. oraz kilka luksusowych posiadłości Rosjanina w Wielkiej Brytanii i we Francji. Roman Abramowicz trzeci ślub – z piękną, młodziutką kochanką Daszą Żukową, córką rosyjskiego biznesmena, która wychowywała się już na Wyspach i z którą spotykał się, jeszcze zanim doszło do rozwodu z Iriną – wziął w roku 2008. I ten związek nie przetrwał zbyt długo. W 2017 r.

eprasa.pl e3336b6748

Rupert Murdoch miłość aż po grób obiecywał już czterem kobietom (na zdjęciu z byłą żoną Wendi Deng)
FOT. EUGENE HOSHIKO/AP/EAST NEWS

właściciel flotylli luksusowych jachtów, prywatnych odrzutowców, floty supersamochodów oraz wielu luksusowych posiadłości (w tym wartej 99 mln dol. rezydencji w Nowym Jorku) ogłosił, że rozwodzi się po raz trzeci. Piękna Żukowa według tabloidów nie była wzorem wierności: wścibscy paparazzi robili jej zdjęcia podczas randek ze sporo młodszym od Abramowicza amerykańskim biznesmenem Joshuą Kushnerem oraz z nowojorskim kolekcjonerem dzieł sztuki Vito Schnabelem. Mimo że Żukowa nie musiała wyciągać pieniędzy od męża, bo już jej tatuś dysponował gigantyczną fortuną, to i tak koszt rozwodu był dla Abramowicza odczuwalny. Według informacji austriackiego kanału telewizyjnego OE24 TV musiał dać Daszy co najmniej miliard euro.

Od 1 mld do 1,5 mld dol. otrzymała w 2009 r. była żona szefa Formuły 1. Dzięki temu chorwacka modelka Slavica Ecclestone błyskawicznie stała się jedną z najbogatszych kobiet w Wielkiej Brytanii. Bernard Ecclestone – którego majątek „Forbes" szacuje na 4,2 mld dol. – szybko znalazł pocieszenie i trzy lata po rozwodzie znów był żonaty. Tym razem wybranką miliardera została 46 lat od niego młodsza Brazylijka Fabiana Flosi (jest niemal dwukrotnie młodsza od najstarszej córki bogatego przedsiębiorcy). Tanio wolności mężowi nie chciała też sprzedać Soraya Khashoggi. Batalia prawna między Brytyjką, która saudyjskiego miliardera Adnana Khashoggi poślubiła w roku 1960, trwała aż osiem lat. Soraya – która dla swego ukochanego zmieniła wcześniej wiarę, a także musiała przyzwyczaić się nie tylko do nowego nazwiska, lecz także imienia – żądała w sądzie aż 2,5 mld dol. W 1982 r. Brytyjka zgodziła się na wypłatę niecałych 900 mln dol. Po rozwodzie wróciła do Londynu i zaczęła skromne życie, pracując w kwiaciarni i przekonując media, że nigdy nie dostała od Saudyjczyka obiecanych jej pieniędzy. Sam miliarder tuż po odzyskaniu wolności poślubił zaś 17-letnią wówczas Włoszkę Laurę Biancolini.

Niektórzy miliarderzy mają na koncie dwa rozwody… z tą samą osobą. Tak było w przypadku Steve'a i Elaine Wynn, właścicieli kasyn w Las Vegas. Para ostatecznie rozstała się w roku 2010, ale walka o podział majątku trwała jeszcze długo. Po sądowej batalii Elaine otrzymała pakiet 20 proc. akcji o wartości aż 750 mln dol.

W Polsce wśród najdroższych rozwodów były rozstania w klanie Kulczyków. Polubowny rozwód między Janem Kulczykiem a Grażyną Kulczyk, po 33 latach małżeństwa, nastąpił w roku 2005. Jan Kulczyk na liście najbogatszych Polaków spadł wówczas z pierwszego miejsca na 12. (chociaż błyskawicznie odrobił stracone pieniądze). Cztery lata później decyzję o rozwodzie z Katarzyną Jordan ogłosił Sebastian Kulczyk.

Rozwód Zygmunta Solorza z Małgorzatą Żak po ponad 20 latach małżeństwa trwał dwa lata. Finansowe szczegóły nie zostały jednak ujawnione. Wiadomo jedynie, że biznesmen zachował wszystkie pakiety udziałów i stanowiska w swoich firmach.

MILIONER Z MILIARDERA?

Według brytyjskiego brukowca „Daily Mail", powołującego się na słowa bliskiej przyjaciółki już-prawie-znów-panny Sanchez: kochanka szefa Amazona oraz Jeff Bezos są w sobie szaleńczo zakochani i planują wziąć ślub, gdy uda się dokończyć sprawy rozwodowe. W trakcie rozwodu ze znanym hollywoodzkim agentem największych gwiazd Patrickiem Whitesellem jest również pani Sanchez. Biedaczysko (wartość jego majątku szacuje się na marne 300 mln dol.) w 2005 r. wydał na ślub z Sanchez ponad 2 mln dol.

Oby więc założyciel największego imperium światowego handlu tym razem pozostał stały w uczuciach. Jeśli bowiem znów nie podpisze intercyzy i w przyszłości stanie się kolejny raz o połowę biedniejszy, to jego historia potwierdziłaby tylko seksistowski aforyzm, który mówi, że kobieta może zrobić milionera tylko z takiego mężczyzny, który jest już miliarderem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

FOT. ADOBE STOCK

POWSTAŃCZA KOTWICA NAZISTOWSKA?

Ponieważ w dzielnicy Greenpoint w Nowym Jorku nasiliły się przestępstwa wobec mniejszości narodowych i etnicznych, grupa mieszkańców postanowiła wydać ulotki, pokazując swój sprzeciw. „Naziści precz z Greenpointu" – napisali i wydrukowali symbole używane przez faszystów. Wśród znaków umieścili znak Polski Walczącej, objaśniając, że to symbol AK przejęty przez polsko-amerykańskich faszystów. Konsul RP w Nowym Jorku uznał to za próbę dyskryminacji symbolu mającego wielkie znaczenie dla Polaków.

PEŁEN ODLOT

75-letni Polak poleciał do córki do Wielkiej Brytanii na święta. Później chciał wrócić do siebie, do Gdańska. Przeszedł odprawę, pokazał bilet i wsiadł do samolotu, który... wylądował na Malcie. Starszy pan nie miał przy sobie ani pieniędzy, ani telefonu. Na szczęście na lotnisku oddalonym od jego domu o 2 tys. km trafił na Polkę, która pomogła mu – po 14 godzinach podróży – wrócić do kraju. Linie Ryanair przyznały się, że Polak przeszedł odprawę z biletem do Gdańska. Zaznaczają, że „doszło do pomyłki", którą będą wyjaśniać.

ROBOTY ZWOLNIONE Z PRACY

Od lat liczni eksperci wieszczą, że automaty odbiorą ludziom miejsca pracy. Nadzieję na zachowanie posad daje wieść z Japonii. W tamtejszym hotelu Henn-na zdecydowano się wycofać połowę robotów obsługujących klientów. Bo były niekompetentne. Niektóre się zawieszały i człowiek nie mógł się zameldować, a nawet nie miał z kim o tym porozmawiać, inne z kolei miały dostarczać bagaż do pokojów, ale nie zawsze im się udawało, a te, które miały wskazywać atrakcje turystyczne, robiły to gorzej niż internetowa wyszukiwarka.

TO JAKIEŚ JAJA

Historia na naszych oczach, a właściwie – na ekranach. Jest zdjęcie, które pobiło rekord polubień w serwisie Instagram (znani i zupełnie nieznani zamieszczają tam fotografie i krótkie filmiki). Najbardziej „lajkowanym" przez internautów okazała się fotografia przedstawiająca... jajko. Takie zwykłe, kurze. W ciągu jednego dnia zdjęcie spodobało się 9 mln osób, a do zamknięcia tego numeru tygodnika liczba „lajków" przekroczyła 45 mln. Fotka jajka pokonała rekordowo polubiane zdjęcie z nowo narodzonym dzieckiem Kylie Jenner, amerykańskiej gwiazdy reality show i modelki. ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Krok w dobrą stronę

Dlaczego Jarosław Kaczyński zdecydował się nie wystawiać kandydata w wyborach prezydenta Gdańska, które muszą się odbyć po śmierci Pawła Adamowicza? Wskazanie przynajmniej dwóch możliwych odpowiedzi nie wydaje się trudne. Po pierwsze – mógł się obawiać drugiej porażki. Chociaż trzeba pamiętać, że Kacper Płażyński zdobył naprawdę bardzo przyzwoity wynik (ponad 35 proc.) jak na praktycznie politycznego debiutanta. Po drugie – mógł uznać, że stanięcie do rywalizacji po tragicznej śmierci Adamowicza byłoby dla PiS wizerunkowo fatalne. Jest też trzecia możliwość, aczkolwiek najmniej prawdopodobna: że Kaczyński, zaniepokojony temperaturą konfliktu, postanowił naprawdę złagodzić kurs.

Może się ktoś oburzać, że nie jest to „szczery gest", lecz kolejny wyraz cynizmu prezesa PiS. Tylko jakie znaczenie mają właściwie motywacje? I czym właściwie jest w polityce „cynizm"? Czy nie jest tak, że każdą niemal decyzję podejmuje się, rozważając uważnie jej skutki?

Przede wszystkim zaś w polityce liczy się to, co się robi, a na drugim miejscu – co się mówi, bo same słowa także miewają moc sprawczą. Dlaczego się to robi lub mówi – może być ciekawe z analitycznego punktu widzenia, a także jako czynnik istotny przy przewidywaniu kolejnych ruchów, ale dla samej rzeczywistości, kształtowanej przez polityków, nie ma to znaczenia.

Dlatego nie ma znaczenia, z jakiego powodu Kaczyński podjął taką, a nie inną decyzję w sprawie wyścigu o prezydenturę Gdańska. Ważne, że nie będzie kampanii z zabójstwem w tle i że pierwszy raz od lat mamy do czynienia z istotnym politycznym ustępstwem na rzecz w istocie przeciwnika. Nawet jeśli jest to ustępstwo jedynie z pragmatycznych powodów.

Decyzja PiS jest na tyle odmienna od dotychczasowej politycznej praktyki, że może wywołać apetyt części elektoratu, znużonej nieustanną wojną, na kolejne podobne. W ten sposób ze zła wynikłoby coś dobrego. ©℗

eprasa.pl e3336b6748

Z Andrzejem Adamczykiem, ministrem infrastruktury
rozmawia Łukasz Zboralski

To Niemcy chcą uderzyć w transport

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

ŁUKASZ ZBORALSKI: Jechał pan kiedyś Uberem?

ANDRZEJ ADAMCZYK: Bardzo lubię kierować i choć jako minister mam do dyspozycji służbowy samochód, to zawsze – kiedy tylko mogę – siadam za kierownicą.

Pytam o Ubera, bo wiadomo, że ambasador USA Georgette Mosbacher wpływała na pana, by nie ograniczać regulacjami działalności tej firmy w Polsce. Udało jej się?

Spotykam się z wieloma ambasadorami różnych państw, wiem, jaką pełnią funkcję i jakie mają obowiązki. Z mojego doświadczenia jako ministra wynika, że czasem starają się oni o przychylność dla firm ze swoich krajów w odniesieniu do konkretnych projektów czy nawet przetargów. Rozumiem, że pani Mosbacher jako ambasador zabiega o interesy firm amerykańskich. To zrozumiałe. Nie ma jednak i nigdy nie powinno to mieć wpływu na decyzję rządu, parlamentu.

To jaka będzie decyzja w sprawie Ubera i jego działalności nad Wisłą?

Trwa proces legislacyjny, który nie został w Ministerstwie Infrastruktury zatrzymany. Trwa debata nad tym projektem. Wszyscy jesteśmy jednak zgodni co do tego, że w Polsce wszystkie przedsiębiorstwa powinny realizować swoje zadania na podstawie przepisów prawa. Każdy powinien np. płacić podatki i co do tego pani ambasador była akurat zgodna.

Pojawiły się jednak informacje, że ta ustawa nie wejdzie już w życie przed wyborami.

To są spekulacje, które pojawiły się w mediach, i nie chcę się do nich odnosić. Trwa proces legislacyjny, nad projektem pracuje Stały Komitet Rady Ministrów.

Zaznaczmy, że to nie jest projekt wymierzony w jakąś konkretną firmę. Technologie się zmieniają, nowe rozwiązania stosowane są przez wiele podmiotów, dlatego prawo musi za nimi nadążać. Oczywiście nie powinniśmy też stwarzać utrudnień, naszym zadaniem jest likwidacja barier, które ograniczają dostęp do rynku.

Czyli uważa pan, że w dzisiejszym świecie licencje taksówkarskie to przeżytek?

Licencja taksówkarska ma sens – potwierdza klientowi, że może czuć się bezpiecznie. Za licencją idzie przede wszystkim potwierdzenie niekaralności osoby, z którą będzie się jechać. To także zaświadczenie o zdrowiu, zwłaszcza jeśli chodzi o zdrowie psychiczne. Uzyskanie zaświadczenia o niekaralności z rejestru czy też wizyta u lekarza i badania to nie jest nadmierne utrudnienie. No i trzeba też zarejestrować działalność i płacić podatki. Te trzy elementy są potrzebne.

Kiedyś pana kolega po fachu w rozmowie przed audycją opowiadał mi, że często korzysta z usługi odwożenia dzieci do szkoły. Zapytałem go, czy zna osobę, która je zawozi. Zdziwił się. „Przecież to taki porządny człowiek" – odpowiedział. Ja go jednak dopytywałem, czy cokolwiek wie o tej osobie. Wtedy przyznał się, że wcześniej o tym nie myślał, a to jest bardzo ważne. Zaświadczenie o niekaralności oraz zaświadczenie o stanie zdrowia dają taką podstawową wiedzę.

Czyli niepotrzebny jest tylko egzamin z topografii?

eprasa.pl e3336b6748

Nie mam przekonania, że taksówkarz powinien dziś jeszcze zdawać taki egzamin. Dziesięć lat temu miałem w sejmie takie wątpliwości. Dzisiaj każdy z nas, kierujących samochodem, nie tylko planuje trasę, lecz także sprawdza za pomocą aplikacji, którą drogę wybrać ze względu na czas przejazdu.

Przypomnę, że odeszliśmy ustawowo od obowiązku zdawania egzaminu z topografii w małych gminach. I nic złego się nie stało. Warto zastanowić się nad ułatwieniami w tym zakresie dla wszystkich taksówkarzy.

Licencja powinna nam zapewniać minimum wiedzy o kierowcach przewożących ludzi. Przecież wiadomo, że jeżdżą u nas w ramach przewozu osób kierowcy z zagranicy. Nie gwarantują klientom bezpieczeństwa, bo choć mają dokument, to nie jesteśmy pewni, czy posiadają odpowiednie umiejętności.

Pani ambasador próbowała też wpłynąć na to, by państwo zrezygnowało z odzyskania spółki PKP Energetyka.

Stale powtarzam, że w polskim sądzie jest wniosek zarządu PKP SA o unieważnienie transakcji ze względu na wady prawne w postępowaniu sprzedaży tej spółki. Zdaniem ekspertów, grupy profesorów prawa, którzy badali to zagadnienie, na skutek wad w tej transakcji nie powinno było dojść do sprzedaży. Czekamy więc na rozstrzygnięcie sądowe. A z punktu widzenia interesów państwa podtrzymuję to, co mówiłem w 2015 r. w parlamencie – sprzedaż PKP Energetyka nie leży w interesie naszego państwa. Zwłaszcza teraz, gdy przebudowujemy szlaki kolejowe i infrastrukturę energetyczną w ramach ambitnego programu kolejowego. Jest to bowiem firma, która posiada monopol w sprzedaży energii elektrycznej i dostawie paliw do napędzania lokomotyw. Powinna ona być pod kontrolą państwa. Poprzednicy zdecydowali jednak inaczej...

Walczymy też na europejskim froncie. Wrócił pan niedawno z Brukseli, gdzie Komisja Transportu Parlamentu Europejskiego przyjęła stanowiska dotyczące Pakietu Mobilności. Odnieśliśmy sukces w naszych staraniach czy porażkę?

Nie możemy o tym mówić tylko w wymiarze jednego kraju – Polski. Rada ministrów transportu w grudniu ubiegłego roku podjęła decyzję o podejściu ogólnym. Przyjęto tam procedury dotyczące sytuacji kierowców oraz zasad wykonywania przewozów większością dwóch trzecich głosów. Dziewięć państw się więc zmianom sprzeciwiło. I to nie tylko grupa państw, które ostatnio dołączyły do UE, ale są wśród nich również Irlandia, Belgia, Malta...

Wie pan, co przebijało w debacie i rozmowach bilateralnych, które toczyłem z ministrami? To, że przepisy uderzają w sektor transportu wszystkich państw Unii.

Przegramy czy wygramy tę bitwę?

Na razie nic nie jest przesądzone. Wszystko rozegra się w ciągu najbliższych tygodni. Rozmawiałem o kompromisie z czeskim europosłem Pavlem Teličką. Powiedział, że czegoś takiego jeszcze w Parlamencie Europejskim nie przeżył. Koordynatorzy zmian nie byli nawet w stanie ustalić, kiedy projekt trafi do debaty w PE i jakie temu będą towarzyszyły procedury. Powiedział wprost, że poziom emocji na tym spotkaniu był tak ogromny, że nie zdołano ustalić nawet tych najprostszych technicznych rzeczy w procedowaniu.

Zatem tuż przed posiedzeniem Parlamentu Europejskiego, wyznaczonym na koniec stycznia, nie znamy zasad procedowania. A jeśli ten projekt nie wejdzie na to posiedzenie PE, to praktycznie nie ma już szans, żeby w tej kadencji parlamentu pakiet mobilności został przyjęty.

To, co się działo ostatnio wokół projektu dotyczącego Pakietu Mobilności w PE, odbywało się właściwie w szarej strefie legislacyjnej

Czy na to liczymy? Bo na razie – zgodnie ze stanowiskiem przyjętym przez Komisję Transportu PE – zanosi się na to, że polskie firmy transportowe nie będą musiały płacić „delegowanym" pracownikom jak w krajach, po których jeżdżą, ale za to będzie zakaz przewozu między dwoma innymi krajami niż ten, w którym działa firma. To rozłoży nasz transport na łopatki. Ponieważ wiele firm działało pomiędzy innymi krajami niż Polska, a wiele jeżdżących z Polski po drodze zabierało towary pomiędzy innymi krajami, żeby wyjazd był bardziej opłacalny.

To zawiera sprawozdanie niemieckiego europosła, socjalisty Ismaila Ertuga. On w swoich propozycjach wprowadził rozwiązania, które nakażą zatrudniać kierowców realizujących kabotaż – czyli usługę przewozową w granicach państwa trzeciego – na podstawie przepisów tego państwa, w którym wykonywana jest usługa. To, a także wymóg „aresztowania" pojazdu na kilka dni po wykonaniu określonej liczby czynności transportowych, w praktyce zabije kabotaż.

W ubiegłym tygodniu zostały odrzucone sprawozdania innych europosłów, m.in. Holendra Wima van de Campa. W jego ocenie to, co proponuje Ertug, musi zostać co najmniej zmodyfikowane, poddane głębokiej reformie.

Wciąż nie wiem – to wygrywamy tę wojnę o polski transport czy przegrywamy?

W obecnej sytuacji cały transport jest wyłączony spod nakazu delegowania pracowników. Jeśli udałoby się odrzucić albo zmodyfikować wnioski Ertuga, na co jest nadzieja, to będzie dobrze. Jednak nie można powiedzieć, że wygraliśmy... Celnie określił to w Brukseli na proteście transportowców jeden z bułgarskich przedsiębiorców. Stwierdził, że udało się wygrać jedną bitwę, ale wojna nie jest jeszcze wygrana.

Pamiętajmy, że Komisja Transportu już wcześniej przegłosowała i przyjęła stanowiska, w których określiła zasady transportu międzynarodowego bardzo korzystne dla naszych transportowców. I to potem zostało w dziwny sposób odrzucone.

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że to, co działo się w ubiegłym tygodniu wokół projektu, działo się właściwie w tak zwanej szarej strefie legislacyjnej. Najstarsi europarlamentarzyści twierdzą, że nie pamiętają, by kiedykolwiek w takim trybie i w taki sposób wprowadzono sprawozdania do Komisji Transportu, żeby tak to procedowano i głosowano.

Reasumując – walczymy. Sytuacja będzie jasna w najbliższych tygodniach. Rozumiem tu napięcie i niecierpliwość transportowców, którzy chcą mieć jasność – bo chcą podejmować decyzje biznesowe związane z zakupami floty czy podpisywaniem długoterminowych umów. Tego na razie nie wiemy. I na razie też np. obowiązują niekorzystne dla firm transportowych, protekcjonistyczne i niszczące rynek przepisy niemieckie i francuskie, choć trwa wobec nich procedura naruszeniowa.

eprasa.pl e3336b6748

W 2019 r. według prognoz ma powstać w Polsce ok. 500 km nowych dróg

FOT. ADOBE STOCK

Z tego, co pan powiedział, wynika, że właściwie do wywrócenia do góry nogami transportu w Unii Europejskiej prą Niemcy...

Wraz z ministrami transportu Węgier, Bułgarii i Litwy spotkałem się z europosłem Ertugiem. I on powiedział nam wprost: koniec z sytuacją, w której 60 proc. rynku przewozu w Niemczech przejęły firmy spoza Niemiec. Mówił, że do niego przychodzą niemieccy przedsiębiorcy i żalą się, że są rozstrzygane kolejne przetargi, które oni przegrywają. Powiedział: „Zrobimy wszystko, żeby tę sprawę uporządkować i żeby wreszcie w Niemczech to niemieckie firmy mogły realizować kwestie transportowe".

I jeśli Niemcy przeforsują to, co chcą, to co się stanie?

Jeśli dojdzie do tego, co forsują głównie Niemcy na forum UE, to przegra transport międzynarodowy w całej Europie.

Pytałem ministra transportu Niemiec Andreasa Scheuera, co o tym myślą niemieccy przedsiębiorcy. On unika odpowiedzi, ale ja – ponieważ najczęściej spotykam się właśnie z nim – nękam go tym pytaniem. Wiem, że część przedsiębiorców w Niemczech jest przeciwna takim zmianom. To ci, którzy realizują transport międzynarodowy w innych krajach.

W ogóle w UE tak głębokich podziałów, jak w tej sprawie, chyba jeszcze nie było. I to nie jest podział na Europę Wschodnią i Zachodnią. W kwestii transportu tych zmian nie chcą m.in. Finowie, Irlandczycy, Belgowie, państwa bałtyckie, Malta.

W Polsce ogłosił pan waloryzację kontraktów drogowych i kolejowych. W końcu, po latach, przedsiębiorcy nie będą cierpieli, gdy rosną np. ceny surowców, a oni muszą realizować budowy podpisane lata wcześniej?

Odbywamy jeszcze spotkania z branżą. My już te zmiany przedyskutowaliśmy z różnymi instytucjami. Zakładamy comiesięczną waloryzację na podstawie koszyka podstawowych elementów, ale zawierających m.in. cenę produkcyjną paliw, cenę podstawowych surowców. Jest też odniesienie do wynagrodzeń. To zapewni obiektywne podejście do tematu. Mam nadzieję, że wszystkie nowe kontrakty będą już taki sposób waloryzacji zawierały.

A kontraktów ma być sporo – w przyszłym roku samych dróg ma przybyć ok. 500 km. Rozbudowana zostanie m.in. autostrada A2. Czy to prawda, że do tej pory nie można było dodać do niej pasów, bo jako projekt unijny miała okres, w którym nie wolno było nic zmieniać?

Na decyzję o rozbudowie wpływ miało wiele czynników. Wchodzimy w okres, gdy jesteśmy jednym z przodujących państw Unii Europejskiej, jeśli chodzi o liczbę pojazdów na tysiąc mieszkańców. Kiedy Polacy dysponują taką flotą, konieczna staje się rozbudowa już istniejących odcinków drogowych. Takim odcinkiem jest dziś A2, ale i A4 między Wrocławiem a Krzyżową. Na A4 jakiekolwiek zdarzenie powoduje, że tworzą się gigantyczne korki, bo tam nie ma nawet pasów awaryjnych. Konieczna jest także Północna Obwodnica Krakowa, jako odciążenie obwodnicy miasta w ciągu autostrady A4. Musimy podejmować decyzje, które zwiększą bezpieczeństwo na najbardziej zatłoczonych autostradach i drogach szybkiego ruchu, bo na nich wypadki zdarzają się już często.

Jeśli wspomina pan o tym, to dodam, że większość krajów UE ma zakazy wyprzedzania na autostradach z prawej strony. W Polsce takiego zakazu nie ma, ale policja ostrzega, by kierowcy lepiej tak nie wyprzedzali. To po prostu jest niebezpieczne. Nie powinniśmy tego zakazać?

Tak, zgadzam się z panem.

Będą też miliardy złotych na trasy samorządowe. Czy tam też firmy będą mogły liczyć na taką waloryzację kontraktów, jaką wypracujecie dla dróg krajowych? Już dziś samorządom trudno bowiem znaleźć wykonawców.

Kiedy objąłem funkcję ministra infrastruktury, nie mieliśmy zbyt wielu inwestycji w fazie realizacji, przedsiębiorcy czekali na pracę. Proszono, żeby dać jakiekolwiek kontrakty. Nie tylko wykonawcy, lecz także firmy produkcyjne. Teraz sytuacja jest inna – w 2018 r. dał się zauważyć brak przedsiębiorstw, które mogłyby realizować małe i średnie kontrakty, szczególnie małe inwestycje samorządowe. Chcielibyśmy doprowadzić do tego, by zasady waloryzacji obowiązywały na wszystkich zadaniach, także tych zleconych przez samorządy, i żeby nie były tylko przejawem dobrej woli zamawiającego. O tym, jak to zrobić, chcemy rozmawiać z samorządami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wreszcie plus czy wciąż minus

Przybywa spekulujących i spekulacji, że w 2018 r. byliśmy blisko upragnionego wyjścia z deficytu budżetowego. Upragnionego przez wszystkich świadomych zgubności nieustannego zadłużania się naszego państwa. Czyli blisko pierwszego dodatniego salda budżetu w nie aż tak już krótkiej historii III RP, o zbankrutowanej PRL nie wspominając. A więc wydarzenia o niemałym znaczeniu. Tak blisko, że dzielił nas od niego „jedynie" zabieg księgowy, polegający na przerzuceniu z roku 2018 na 2019 wydatków budżetowych w wysokości kilku, najwyżej kilkunastu – wszelako bliżej 11 niż 19 – miliardów złotych i już można byłoby odtrąbić sukces oraz uznać miniony rok za zamknięty przez budżet państwa na plusie. A właściwie wciąż nas dzieli, bo przecież nadal nie wiadomo, jak rzecz cała się skończy – wszak być może premier podjął decyzję o „księgowym" wyprowadzeniu salda budżetu za 2018 r. na plus.

Trudno nie uznać tego wyniku za osiągnięcie, niezależnie od tego, czy szef rządu się na ten krok zdecydował, czy wybrał utrzymanie w 2018 r. deficytu – choćby z obawy przed rozlewającymi się po Polsce protestami w sprawie podwyżek pensji coraz to nowych grup zawodowych, zachęcanych do tego zapewne m.in. dobrą kondycją kasy państwa. Osiągnięcie tym większe, gdy się ma w pamięci, że od prawie trzech lat realizowany jest program „500+", i nie zapomina o wielkości naszej dziury budżetowej w ostatnich latach: 25,4 mld zł (2017), 46,3 mld zł (2016), 42,6 mld zł (2015), 47,5 mld zł (2014), 42,5 mld zł (2013), 30,4 mld zł (2012), 25,1 mld zł (2011), 44,6 mld zł (2010).

Ten sukces ekipy Morawieckiego ma naprawdę wielu ojców – od wszystkich przedsiębiorców i pracobiorców do tych polityków i urzędników, którzy doprowadzili do zmniejszenia luki podatkowej, czyli ponadprzeciętnego wzrostu budżetowych wpływów, i starają się trzymać w ryzach wydatki. Chociaż niedawna decyzja o odsunięciu podwyżek cen prądu i dołożeniu w 2019 r. spółkom energetycznym 9 mld zł z pieniędzy publicznych o tym trzymaniu w ryzach nie świadczy, to z kolei otwarte przyznanie przez minister finansów, że w budżecie brak pieniędzy na emerytury matczyne – już tak.

Wszelako nie wolno zapominać, że o dobre, czyli dodatnie, saldo budżetu państwa w czasach koniunktury stosunkowo łatwo i że wręcz regułą powinno być regularne uzyskiwanie w tych warunkach nadwyżki budżetowej. Jak to – nawet przy niższym tempie wzrostu – potrafią dziś osiągnąć rządy wielu państw w Europie, które już zmniejszają swe zadłużenie, podczas gdy my swoje wciąż powiększamy. Co naprawdę chętnie odwołam, jeśli okaże się, że nadwyżką budżetową zamknęliśmy rok 2018, a także 2019, na który w projekcie budżetu założono deficyt w wysokości aż 28,5 mld zł. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

W sprawie NBP

Narodowy Bank Polski pełni wiele bardzo ważnych funkcji. Poza dbaniem o niską i stabilną inflację nadzoruje funkcjonowanie systemów płatności, dba o sprawny obieg gotówki, zapewnia bankom dostęp do wystarczającej ilości płynnych środków, aby sprawnie obsługiwać ludność i firmy, zarządza rezerwami dewizowymi państwa. Gdyby NBP przestał właściwie pełnić te funkcje i wiele innych, które pominąłem, kraj pogrążyłby się w finansowym chaosie.

Decyzją suwerena wyrażoną w konstytucji NBP jest monopolistą w obszarze emisji pieniądza oraz zarządzania rezerwami dewizowymi. Ta pozycja monopolu pozwala NBP zarabiać bardzo dużo pieniędzy w postaci odsetek od zainwestowanych rezerw dewizowych i w postaci renty emisyjnej. Część zysków lub całe zyski mogą zostać „zjedzone" przez umocnienie złotego, ale w typowym roku NBP przekazuje do budżetu państwa miliardy złotych zysków, wynikających z monopolistycznej pozycji NBP, po odliczeniu kosztów działalności banku.

Z racji państwowego monopolu w tych dwóch obszarach należy uznać, że środki, którymi dysponuje NBP, są środkami publicznymi i ich wydatkowanie powinno odbywać się w sposób odpowiadający najwyższym standardom. W szczególności dotyczy to także głośnej w minionych tygodniach sprawy wynagrodzeń w NBP. Powinny istnieć opisy kompetencji dla poszczególnych stanowisk w banku centralnym, szczególnie tych na poziomie zarządczym, oraz powinna być prowadzona coroczna aktualizacja wyceny tych kompetencji na rynku. Taka transparentna procedura prowadzi do corocznej aktualizacji wysokości wynagrodzeń, a system zarządzania przez cele lub podobny powinien regulować wysokość premii pracowników NBP. Z kolei NIK ma za zadanie oceniać jakość i funkcjonowanie takiego profesjonalnego systemu zarządzania kadrami podczas corocznych kontroli. Wszystkie wakaty należy obsadzać w wyniku konkursów anonsowanych na (pod)stronie NBP. Informacje o siatce płac w postaci widełek dla poszczególnych typów stanowisk powinny być publicznie dostępne w corocznym raporcie NBP, bez podawania danych osobowych.

Gdybym został poproszony o przygotowanie założeń ustawy regulującej wynagrodzenia w NBP, to byłyby to założenia w skrócie opisane powyżej. Taka ustawa z jednej strony skutecznie eliminowałaby ewentualne patologie, a z drugiej zapewniałaby poziom wynagrodzeń odpowiedni do stawianych wymagań. Mam jednak obawy, że sklecona w pośpiechu przed wyborami ustawa tnąca na oślep wynagrodzenia może w długim okresie wyrządzić wiele złego i doprowadzić do licznych patologii, tak jak w przypadku ustawy kominowej w przedsiębiorstwach państwowych. Jest lepsza opcja działania, opisana w tym felietonie. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl e3336b6748

Imperium

Tomasz Wróblewski

Polska znalazła się w samym środku awantury o prymat nad światem. Warszawski incydent może być pierwszym poważnym ciosem w ekspansję Chin

Aresztowanie i posądzenie o szpiegostwo jednego z szefów polskiego oddziału Huawei może być brakującym puzzlem w amerykańskiej kampanii przeciwko technologicznemu gigantowi. Waszyngton, przy wsparciu Australii i cichym zrozumieniu Unii Europejskiej, od dłuższego czasu przestrzega przed chińską technologią, ale nikt dotychczas nie złapał koncernu za rękę. Warszawski incydent może dać pretekst do blokowania i pewnie pogrążenia imponującej kariery firmy na całym świecie. A co ważniejsze, to pierwszy poważny cios w wielki projekt globalnej ekspansji Chin.

Przy okazji aresztowania w Polsce pojawiło się sporo głosów przestrzegających przed wchodzeniem w zatarg z Pekinem. Przed zbyt jednoznacznym opowiadaniem się po stronie Ameryki, a przeciwko, kto wie, może w niedługiej przyszłości najpotężniejszemu imperium. Co do konieczności zachowania delikatnej równowagi w stosunkach między Chinami a Ameryką – pełna zgoda. Chiny bezsprzecznie są i pozostaną ważnym graczem na świecie. Popularne jednak teorie o nieuchronnej gospodarczej i militarnej dominacji Chin wydają się, przynajmniej na dziś, mocno przesadzone.

WIELKI SKOK

Niepowtarzalny wzrost gospodarczy plus oczywiście skala – 1,3 mld ludzi – dają Chińczykom powody do zachłyśnięcia się swoim sukcesem i do przepowiadania, że w ciągu 20 lat przegonią Amerykę i będą tworzyć nowy polityczny porządek świata. Trzymając się kurczowo krzywej wzrostu gospodarczego i przedłużając ją mechanicznie w przyszłość, rzeczywiście można wyciągnąć taki wniosek. Co zresztą podtrzymuje wiele międzynarodowych instytucji finansowych, a zwłaszcza publicystów lubujących się w geopolitycznych rozważaniach.

Od przepowiedni końca amerykańskiej dominacji dłuższa jest chyba tylko lista państw, które przewidywały, że to właśnie one wkrótce będą dyktowały światu warunki dalszego rozwoju. W 1956 r. Nikita Chruszczow w sławnym przemówieniu do zachodnich dyplomatów w polskiej ambasadzie w Moskwie powiedział: – My was pogrzebiemy.

Z kolei lata 70. i 80. należały do Japonii. Dynamiczny rozwój, przejęcia na amerykańskim rynku, ekspansja elektroniki i samochodów w świat kazały niektórym głosić początek nowej epoki pod dyktando Japonii. Dzisiaj nikt już nawet nie pamięta, że kiedyś wszystkie najdroższe nieruchomości na Manhattanie należały do japońskich inwestorów.

W 2000 r. Unia Europejska ogłosiła strategię lizbońską. W ciągu dekady Europa miała rozwijać się szybciej niż Stany Zjednoczone, a europejskie uczelnie miały być centrum innowacji i myśli technicznej dla reszty świata. Mógłbym tu jeszcze wymienić kilka pomniejszych sezonowych imperiów, takich jak Argentyna lat 20. i potem znowu lat 50. Jak Brazylia z początków rządów prezydenta Luli. Na liście pretendentów są Indie i od kilku lat Niemcy. O tym, dlaczego nikomu dotychczas się ta sztuka nie udała, napisano sporo książek. Przyczyn były tysiące, ale jedna łączy każdą z tych opowieści – wolność, a raczej brak wolności gospodarczej. Czy to wolności osobistych, czy wolności rynkowych topionych przez nadmiar regulacji. Ta sama przyczyna, dla której ambitna strategia i jej hasło „Made in China 2025" mogą dołączyć wkrótce do sloganów ozdabiających listę imperiów sezonowych.

Chiny dokonały imponującego skoku cywilizacyjnego. W ciągu 40 lat PKB na mieszkańca wzrosło niemal 80 razy (w tym samym czasie PKB w Polsce – aż i zaledwie 18 razy). Szczególnie aktywny był okres zainicjowany reformami Zhu Rongjiego w latach 1998–2003. Epoka

eprasa.pl e3336b6748

sezonowe

FOT. ADOBE STOCK

złudnych nadziei, że przemyślna, odgórnie sterowana strategia przestawiania totalitarnego reżimu na jakąś odmianę kapitalizmu powieli wcześniej trenowany scenariusz południowokoreańskiego czy singapurskiego kapitalizmu. Proces zatrzymał się jednak w pół drogi. Pekin zaostrza kontrolę nad biznesem. Zamiast uwalniać – ogranicza przepływ kapitału i dostęp dla zagranicznych firm. Coraz mniej przejrzyste zasady handlu i kooperacji z jednej strony pozbawiają inwestorów złudzeń, a z drugiej pozbawiają Chiny dotychczasowej taryfy ulgowej udzielanej im przez zachodnie rządy.

Pomijając już kradzież czy wyłudzanie technologii i tajemnic handlowych, świat coraz bardziej zaniepokojony jest skalą interwencjonizmu Chin w globalny rynek. Rzecz nie sprowadza się tylko do kwestii panowania nad Pacyfikiem, Afryką, Ameryką Południową czy do prawdziwych intencji jednego pasa i jednej drogi. Rozregulowanie systemu wycen surowców naturalnych, anomalie w polityce monetarnej czy społeczne skutki kolonializmu kredytowego mogą pociągnąć za sobą przesunięcia, których konsekwencje są trudne do przewidzenia. Powtórka z 2008 r. mogłaby być dziś nieporównanie groźniejsza.

Donald Trump i jego niekonwencjonalne metody uprawiania polityki mogą niektórym wydawać się szalone, ale strach przed Chinami jest dość powszechny. W tym jednym Donald Trump nie jest samotny – zarówno u siebie w kraju, gdzie ma pełne poparcie demokratów dla sankcji, jak i w przeważającej większości państw rozwiniętych. Ostracyzm, sankcje, technologiczny bojkot Chin to zjawisko, które dopiero się rozkręca i musi być brane pod uwagę w każdej poważnej analizie chińskiej ekspansji. Sam wykres tu nie wystarczy.

Żeby lepiej uzmysłowić sobie zagrożenie dla chińskiej technologii, wystarczy przyjrzeć się rynkowi smartfonów. Żaden z chińskich telefonów ani systemów przesyłowych, również tych wykorzystywanych przez polskie sieci telekomunikacyjne, nie jest w stanie działać bez amerykańskich systemów iOS czy Android, które stanowią 99,9 proc. systemów operacyjnych używanych obecnie na smartfonach. Huawei od lat próbuje stworzyć własny system OS. Bez technologii, która natychmiast zostałaby uznana za kradzież patentu, żaden z dotychczasowych eksperymentów nie ma szans powodzenia. Wystarczy, że zaplanowane już amerykańskie sankcje zostaną wprowadzone w życie i Huawei straci dostęp do usług Google, co uniemożliwi mu zainstalowanie jakiejkolwiek aplikacji, w tym w sklepie Google Play.

NIE TEN MODEL

Najpoważniejszą słabością Chin może być jednak to, co uważamy za ich największy sukces – model wzrostu gospodarczego. Chiński model rozwoju jest uderzająco podobny do tego, czego swego czasu dokonał Edward Gierek w Polsce. Biorę oczywiście poprawkę na skale zjawiska i kulturowe różnice, ale mechanizm jest niemal identyczny i skutki mogą być równie opłakane. Dynamiczny wzrost gospodarczy Chinom zapewniła rekordowa stopa inwestycji, finansowana nieproporcjonalnie wysokim w stosunku do wzrostu gospodarczego zadłużeniem. Podobnych cudów świat zna znacznie więcej. Zawrotna kariera Japonii w latach 80. oparta była na dokładnie tych samych parametrach co w dzisiejszych Chinach: ogromnych inwestycjach w rozwój innowacji i przemysłu samochodowego. Stopa inwestycji osiągała chwilami 34 proc. w relacji do PKB. Dziś chińskie inwestycje to 44 proc. PKB. W obydwu przypadkach inwestycje okupione były i są astronomicznym zadłużeniem. W przypadku Japonii zadłużenie wzrosło z poziomu 50 proc. PKB w 1979 r. do 100 proc. w 1995 r. (obecnie – 253 proc. PKB). W przypadku Chin wykres jest jeszcze bardziej spektakularny: z poziomu 20 proc. PKB 40 lat temu zadłużenie w 2018 r. napompowane zostało do 266 proc. PKB (34 bln dol.).

Japonia jest tu dobrym odnośnikiem. Pokazuje, że mimo imponującego rozwoju w latach 80. i 90. kraj nigdy nie był w stanie wyjść z pułapki nadmuchanego rozwoju. Dług i koszty jego obsługi rosły znacznie szybciej niż potencjał rynku eksportowego. Dzień, w którym Japonia ostatecznie została zmuszona do uelastycznienia swojej waluty i szerszego otwarcia rynku, był dniem prawdy. Bańka pękła i po niej przyszło 20 lat gospodarczego marazmu.

Chińscy ekonomiści liczą, że to, co jest unikalne dla ich kraju, to nieporównywalnie większy rynek wewnętrzny od japońskiego. Ogromny potencjał, który,

eprasa.pl e3336b6748

pobudzony, może nakręcić spiralę wzrostową. Zgoda. Jednak jeżeli uważnie prześledzimy strukturę chińskich inwestycji, to zobaczymy, że wydatki publiczne na głowę mieszkańca już dziś są zawrotne i przestały dawać oczekiwany wzrost. Martin Wolf na łamach „Financial Times" dokonał ekstrapolacji inwestycji publicznych na głowę mieszkańca Chin i Japonii w czasie, kiedy kraje miały podobny dochód na jednego mieszkańca. Okazuje się, że udział państwa w rosnącej stopie wzrostu Chin jest dziś wielokrotnie większy. Skutki tego widać zresztą w chińskich miastach gołym okiem. Pustostany budowane, żeby zapewnić wzrost w budownictwie, drogi na wyrost – mające zaspokajać potrzeby kierowców na kolejne ćwierć wieku. Gwałtowny rozwój infrastruktury robi wrażenie na każdym, kto odwiedził Chiny, ale dla inwestorów to sygnał, że wiele już tam nie da się zrobić bez przepalania pieniędzy i sztucznego podtrzymywania dynamiki wzrostu gospodarczego. Najlepszą miarą jest malejąca stopa inwestycji zagranicznych. Rok 2018 był kolejnym rokiem spadku FDI (zagraniczne inwestycje skurczyły się o 1,3 proc.). Przy czym tempo spadku musi być niepokojące dla chińskich ekonomistów. W listopadzie inwestycje rok do roku skurczyły się o 26 proc., w grudniu szacowany spadek wyniesie 33 proc.

W dużej mierze to pewnie zasługa wojny handlowej z Ameryką, ale proces zaczął się dużo wcześniej. Prezesi największych amerykańskich firm w sondzie dla miesięcznika „Forbes" wskazywali na stale rosnący interwencjonizm państwa, rosnące płace, obawy przed utratą kontroli nad technologiami i spadek tempa wzrostu konsumpcji. Ten ostatni parametr może być najgroźniejszy dla ambitnych planów pobudzania wzrostu gospodarczego i utrzymania tempa innowacji.

CO POKAŻE ROK 2019?

2018 rok okazał się kolejnym rokiem spowolnienia wzrostu konsumpcji wewnętrznej. Wzrost szacowany na 34 proc. (38 proc. w 2017 r.) może wydawać się zawrotny na europejskie standardy, ale nie dla państwa, które mówi o dogonieniu w 2040 r. Ameryki w PKB na głowę i wygraniu wyścigu innowacyjności.

Ekonomiści analizujący potencjał rozwoju innowacji i wzrostu gospodarczego patrzą zwykle na zespół parametrów nazywany łączną wydajnością czynników produkcji. W sytuacji słabszej konsumpcji zwracają oczy w stronę dochodów, w nadziei, że chwilowy spadek to tylko łapanie oddechu i zarobki rodzin pozwolą rynkowi na szybkie odbicie. Nic z tego. Tempo wzrostu płac również maleje. Z 18 proc. wzrostu w 2010 r. do 7 proc. w 2018 r. Kolejny czynnik, od którego zależy rozwój innowacji, to długoterminowe prognozy zamówień PMI – tu mamy spadek do 49 pkt z tendencją spadkową na 2019 r. do 47 pkt.

To, co mogłoby zmienić trend, to choćby zwrot z chińskich inwestycji za granicą, zwłaszcza w wysokomarżowe rozwinięte rynki. Chińskie akwizycje nie przynoszą jednak spodziewanych zysków, a transfery technologii zdają się coraz mocniej ograniczane. To, że zaangażowanie chińskich firm w Ameryce spadło o 92 proc., nie powinno dziwić, ale spadek o 40 proc. w Australii i 60 proc. w Kanadzie nie zapowiada dopływu gotówki w przyszłości. Wciąż ważnym hubem inwestycyjnym Chin pozostaje Europa i tu akwizycji przybywa, ale 2019 r. może być przełomowy – w miarę, jak wprowadzane będą nowe obostrzenia. Najlepszym dowodem niech będzie decyzja rządu Czech o blokowaniu niektórych chińskich firm technologicznych, a rządów Niemiec, Wielkiej Brytanii, Belgii i Holandii – o blokowaniu niektórych inwestycji. A teraz i polski rząd rozważa ograniczenie obecności chińskich koncernów.

Zaangażowanie chińskich firm w Ameryce spadło o 92 proc., spadek jest też w Australii – o 40 proc. i w Kanadzie – o 60 proc.

Częścią wielkiej rewolucji gospodarczej Chin są niewątpliwie ich uczelnie; ambitny program zreformowania całego systemu edukacji, inwestowania w najwybitniejsze jednostki, ale też eksportu co zdolniejszych studentów na amerykańskie i europejskie uczelnie, którzy po powrocie do kraju mają szkolić kolejne pokolenia. Z danych Idea, zestawu najczęściej cytowanych i uznanych uczonych, wynika, że chińscy uczeni byli autorami 13 proc. najważniejszych publikacji naukowych w ciągu ostatnich sześciu lat. Japońskie wydawnictwo naukowe Nikkei, zajmujące się dokumentacją odkryć naukowych, ogłosiło, że większość przełomowych odkryć w ciągu ostatnich pięciu lat również pochodziła z Chin.

To są niewątpliwie imponujące wyniki, a wisienką na torcie niech będzie ostatnie lądowanie chińskiej stacji badawczej na ciemnej stronie Księżyca. Coś, co nigdy nikomu w przeszłości się nie udało.

Wagę, jakią władze Chin przywiązują do nauki, najlepiej widać po składzie obecnego rządu, gdzie większość ministrów nie tylko może pochwalić się tytułami doktorskimi, lecz także ma za sobą udokumentowaną i uznaną karierę naukową, często na zachodnich uczelniach. To jedyny taki rząd na świecie.

W swoim ostatnim raporcie o stanie chińskiej edukacji tygodnik „Economist" zwraca jednak uwagę na ogólną jakość prac chińskich uczonych; ludzi pod niezwykłą presją codziennych wynalazków, często idących na skróty i naciągających wyniki swoich badań. Tak jak mamy długą listę imponujących odkryć naukowych chińskich uczelni, tak też mamy szybko rosnącą listę prac, których teorie jedna po drugiej obalane są przez zachodnich uczonych. Chińskie uczelnie niewątpliwie biją wszystkich na głowę, jeżeli chodzi o skalę badań i prowadzonych prób. Jednak w takich dziedzinach jak biotechnologia, medycyna, genetyka odkrycia często nie mogą być wykorzystywane. Nie tylko z uwagi na kwestie etyczne, lecz także przede wszystkim z uwagi na jakość prowadzonych badań i wątpliwą metodologię.

Profesor Zybertowicz na bardzo interesującym zamkniętym seminarium dyskusyjnym Nowej Konfederacji przypomniał, że chińska nauka jest dziś przede wszystkim motywowana aplikacjami wojskowymi. To oczywiście wielu może i powinno niepokoić, ale może oznaczać też zwrot w reorientacji amerykańskich czy NATO-wskich zbrojeń: większe inwestycje w rozwój sztucznej inteligencji AI, nowych technologii kosmicznych, robotyki czy genetyki na potrzeby wojen przyszłości. Dla samej nauki to pewnie będzie wymarzony okres rozwoju, ale dla Chin to jeszcze jeden powód, żeby dołączyły do państw zawiedzionych nadziei na panowanie nad światem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

TEST „DO RZECZY": SŁUCHAWKI SENNHEISER AMBEO SMART HEADSET

To gadżet dla miłośników podróży, którzy marzą o tym, aby do nagranych smartfonem amatorskich filmów dodać dobrej jakości dźwięk.

Producent twierdzi, że to pierwszy „mobilny zestaw do nagrywania dźwięku 3D". W tłumaczeniu z języka marketingowego na ludzki oznacza to po prostu świetny model do nagrywania dźwięku przestrzennego.

Plusami testowanych słuchawek są design oraz ich niewielki rozmiar. Sennheiser AMBEO SMART HEADSET są bowiem niewiele większe niż tradycyjne (bez problemu można je jednak przenosić w kieszeni spodni). Są za to wyposażone w wielokierunkowe mikrofony, które wychwytują dźwięki z otoczenia. Dzięki temu odbiorca nagrania może łatwiej przenieść się myślami do tropikalnego lasu lub nad wzburzony ocean. Gdy użyjemy ich w mieście, to jeśli podczas nagrania samochód będzie przejeżdżał od lewej do prawej, na filmie usłyszymy, skąd dochodził dźwięk i w którym kierunku się przemieszczał. Co ważne, aby odbiorca mógł cieszyć się realistycznym, trójwymiarowym dźwiękiem, wystarczy jakakolwiek para słuchawek stereo.

Plusem testowanych słuchawek jest również prostota obsługi. Słuchawki wymagają jedynie podłączenia do iPhone'a. I już można nagrywać przestrzenny dźwięk. Jednocześnie model ten oferuje funkcję redukcji hałasu, która umożliwia blokowanie dużej ilości szumów z zewnątrz.

Największą wadą tego zestawu jest to, że pasuje on jedynie do iPhone'ów, choć Sennheiser zapewnia, iż pracuje już nad wersją na smartfony z Androidem. Kolejny minus należy się za jakość dźwięku przy odtwarzaniu muzyki. Brzmienie oczywiście nie jest złe, ale jak na tak wysoką cenę tego zestawu powinno być jeszcze lepsze.

Pewnym problemem dla Sennheisera może być więc znalezienie szerokiej grupy docelowej dla tego modelu. Cena: 1119 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOTELIK DLA STARUSZKÓW

Po modzie na filmy o młodych i pięknych coraz częściej pojawiają się lepsze lub gorsze produkcje, których bohaterami stali się emeryci. W jednym z nowych obrazów – „Kto się śmieje ostatni" – Richard Dreyfuss mówi w rozmowie z Chevy Chase'em, że nazywanie staruszków staruszkami jest strasznie obraźliwe, a poprawnie politycznie byłoby mówić „przedzmarli". Obaj niemłodzi już aktorzy z humorem opowiadają o emeryckim życiu, ale w polskich rodzinach, w których „przedzmarłych" nie brakuje, rzeczą oczywistą jest, że życie staruszka wcale wesołe nie jest. Może być jednak ciut łatwiejsze i wygodniejsze, a to dzięki The Smart Rolling Walker. Urządzenie bardzo przydatne dla osób starszych lubiących spacery. Jest połączeniem tzw. balkoniku na kółkach ze składanym fotelem. Zapewnia bezpieczną podpórkę w trakcie chodzenia, a w razie potrzeby pozwala na rozłożenie podpórki, która „spacerownik" zamienia w wygodny fotel. Można usiąść, odpocząć, przejechać na nim kilkanaście metrów. The Smart Rolling Walker można rozłożyć lub złożyć i schować do samochodu jednym silnym pociągnięciem rączki.

Sprzęt zyskał wielkie uznanie w sieci, nic więc dziwnego, że zbiórka na uruchomienie produkcji The Smart Rolling Walker jeszcze przed jej zakończeniem przekroczyła 158 proc. potrzebnych środków. Dostawa w sierpniu, a zamawiać można na Indiegogo. Cena: ok. 1,2 tys. zł.

NIE TAKA ZWYKŁA TORBA

Dla osób w każdym wieku, za to lubiących podróże, przydatna może okazać się wyjątkowo pakowna torba Bento Bag. Waży bardzo niewiele, co jest istotne dla osób latających samolotami, daje się złożyć tak, by idealnie zmieściła się (nawet zapakowana po brzegi) pod fotelem, i wreszcie, co ważne – ładuje telefon lub tablet. Bento ma wymiary 44 cm x 25 cm x 20 cm, wyposażona jest w łatwo dostępną boczną kieszeń, uzbrojoną w przywieszki zabezpieczające osobiste przedmioty typu ładowarki, długopisy, słuchawki, myszki, tablety etc. W środku torby znajduje się wyściełana kieszeń na laptopa. Przygotowano też specjalne „porty" pozwalające wygodnie zasilić telefon posiadanym powerbankiem bez konieczności wyciągania go z torby. Ładnie wygląda, jest przydatna, ale nie jest tania. Koszt na Indiegogo to ok. 750 zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e3336b6748

Stefan Sękowski

Popek walczy

Nie przejmujmy się długiem, stać nas na więcej, niż myślimy – twierdzą twórcy Nowoczesnej Teorii Monetarnej (MMT), a za nimi raper Popek. To błędna i groźna doktryna

Do tej pory kojarzono Popka raczej z MMA niż z MMT. Odkąd jednak raper i okazjonalny zawodnik mieszanych sztuk walki postanowił zająć się polityką i założyć partię Młoda Polska, ten drugi skrót stał się dla niego ważniejszy. – Dobrze zarządzany kraj w interesie Polski i Polaków, a nie banków i korporacji, jest w stanie i powinien zapewnić dostateczne (sic!) życie Polakom – mówi na filmiku promującym jego ugrupowanie. Podstawą programu gospodarczego ma być Nowoczesna Teoria Monetarna. Klip kończy się pozdrowieniami Warrena Moslera – byłego inwestora giełdowego i twórcy tej koncepcji.

To, że ekonomista postanowił potraktować poważnie kontrowersyjnego muzyka, nie powinno dziwić. Sam Mosler był kiedyś outsiderem, choć bogatym. MMT zaczyna zdobywać posłuch wśród publicystów (rzadziej polityków) i niewielkiej grupy ekonomistów (np. związanych z amerykańskim Levy Economics Institute) – głównie w USA i głównie lewicowych. Jednak niewykluczone, że już niebawem jej zalecenia wejdą do kanonu socjalnych polityków, obok wysokiego podatku progresywnego czy bezwarunkowego dochodu gwarantowanego. Składa bowiem smakowitą obietnicę: nie martwmy się długiem, stać nas na więcej, niż myślimy.

PUSTY PIENIĄDZ

Gospodarkę wyobrażamy sobie z reguły tak: każdy z nas zarabia pieniądze, sprzedając innym dobra czy usługi. Państwo, żeby prowadzić swoją politykę, potrzebuje środków, które bierze od nas w formie podatków i pożycza je na rynku. To drugie rozwiązanie prowadzi do zadłużenia, które nie może być zbyt wysokie, ponieważ później państwo będzie musiało te środki zwrócić. A żeby to zrobić, będzie musiało zaciągnąć nowe podatki – zadłużonemu państwu trudno jest także zaciągać nowe pożyczki. Zawsze gdy politycy chcą wydać pieniądze na nowe rozwiązanie, muszą się zastanowić, czy nas na to stać.

Twórcy MMT mówią: nie ma czegoś takiego jak „nasze pieniądze". Tworzy je państwo, które wpuszcza je w obieg. Podatki nie służą ściąganiu środków do budżetu, a odwrotnie – regulacji ich ilości na rynku. Państwo nie może zbankrutować, a gdy potrzebuje nowych środków – nie musi ich pożyczać; może je sobie po prostu wyprodukować. Zamiast martwić się długiem i inflacją (co jest pozostałością z czasów, kiedy pieniądz był wymienialny na złoto), powinniśmy się raczej martwić… nadwyżkami budżetowymi, które powodują, że mamy mniej pieniędzy w kieszeniach. A pieniądze przeznaczone na inwestycje pozyskiwać nie z rynków finansowych, ale z drukarki. W ten sposób MMT chcą choćby zlikwidować bezrobocie, wpuszczając w obieg pieniądze, które miałyby rozruszać koniunkturę i zapewnić nowe miejsca pracy.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że twórcy MMT mają rację. Co najmniej od 1971 r., kiedy to Stany Zjednoczone Ameryki wstrzymały wymianę dolara na złoto, pieniądze powstają… z powietrza. Robi to bank centralny, np. udzielając pożyczek bankom komercyjnym, które później udzielają kredytów. Oczywiście banki muszą utrzymywać rezerwę cząstkową, a banki centralne trzymać się pewnych kryteriów przy kreacji pieniądza, jednak to są hamulce bezpieczeństwa, nie zaś zasady funkcjonowania tzw. pieniądza fiducjarnego, tzn. opartego na wierze w to, że ma on swoją wartość. Kawałki papieru, które trzymamy w naszych portfelach, czy szeregi cyfr na naszych kontach nie mają niezależnej wartości, jak to było w przypadku pieniędzy, które miały pokrycie w drogocennych kruszcach. Mają wartość jako środek wymiany, ponieważ rządzący tak powiedzieli, a my im uwierzyliśmy. Wbrew pozorom to funkcjonuje całkiem sprawnie w wielu cywilizowanych krajach

Raper Popek postanowił zająć się polityką i założyć partię Młoda Polska FOT. MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl e3336b6748

świata, w tym w Polsce. Oczywiście do czasu, gdy ludzie stracą zaufanie do waluty, np. gdy dochodzi do hiperinflacji. Wtedy nie ma znaczenia, jaki jest oficjalny środek wymiany w danym kraju, bo ludzie i tak płacą sobie nawzajem albo w obcych walutach, albo np. papierosami.

ODKURZONY KEYNES

Twórcy MMT rozpościerają przed czytelnikami wizję skrywanych przed obywatelami możliwości kreacji pieniądza. Widzą gospodarkę jako wielką grę w „Monopoly". Zrobiłeś okrążenie? Nie ma sprawy – bank wypłaca ci zawsze te same 200 dol. Pieniądze nigdy się nie kończą. I rzeczywiście, także państwu środki mogą się nigdy nie skończyć. Problem w tym, że mogą stracić na wartości. Kreacja pieniądza ograniczona jest realiami gospodarczymi – jeśli nowe pieniądze nie mają pokrycia w produktywności gospodarki, ceny pójdą w górę, a co za tym idzie – pieniądze w naszych kieszeniach (których mamy teraz „więcej"), stracą na wartości. Inflacja wprowadza na rynek niepewność wywołaną niestabilnością cen. Ponadto najwięcej zyskują na tym ci, którzy nowe pieniędze otrzymali pierwsi, jeszcze zanim rynek zdążył odpowiedzieć wzrostem cen. Stratni są ci, do których fala dotarła ostatnia, a także ci, którzy oszczędzają.

Mechanizm, który zdaniem twórców MMT ma zapobiegać takim sytuacjom, opisał już prawie sto lat temu ekonomista John Maynard Keynes. Proponował on, by w okresie recesji (i wysokiego bezrobocia) napędzać gospodarkę nowymi środkami i obniżką podatków. Z kolei później, by inflacja za bardzo nie urosła (a gospodarka nie przegrzała), należało nadmiar środków ściągać z rynku przez podwyżki podatków. Nie ma w tym nic „nowoczesnego" oprócz tego, że MMT odnosi się do współczesnych realiów finansowych. Jej zwolennicy mają w zanadrzu też nowe argumenty. Po wybuchu kryzysu finansowego w 2008 r. w USA i Unii Europejskiej wprowadzono politykę, która miała rozpędzić koniunkturę dzięki obniżeniu stóp procentowych do historycznie niskich poziomów i tzw. luzowaniu ilościowemu – czyli, w uproszczeniu, wpompowaniu w rynek finansowy bilionów dolarów i euro. Zanim gospodarka wróciła na właściwe tory, minęło kilka lat, jednak dziś można powiedzieć, że z kryzysu wyszliśmy i żyjemy w czasach światowej koniunktury. I przy okazji uniknęliśmy poważnego skoku inflacji.

Nie oznacza to jednak, że głosiciele MMT mieli rację. Luzowanie ilościowe nie oznaczało bezpośredniego wpompowania pieniędzy w gospodarkę, lecz skupowanie od banków papierów wartościowych, co początkowo wcale nie przekładało się na zwiększoną akcję kredytową. Zdaniem części badaczy w dłuższej perspektywie mogło skutkować tym, że banki chętniej udzielały kredytów, jednak zanim to się stało, minęło kilka lat. Wskaźnik podaży pieniądza M4 początkowo wręcz spadał. A gdy macherzy amerykańskiej polityki monetarnej upewnili się, że gospodarka jest z powrotem na właściwym kursie, w 2016 r. amerykańska Rezerwa Federalna znów zaczęła podnosić stopy procentowe, by nie doprowadzić do inflacji.

I miała rację. Kryzys, z którego po latach USA się wykaraskały, spowodowany był m.in. zbyt tanimi kredytami mieszkaniowymi. Jednak przyjmijmy, że bankierzy centralni niepotrzebnie się tym martwią. Stany Zjednoczone to ogromna gospodarka, a dolar to światowa waluta. Gdyby Polska zdecydowała się na daleko idące eksperymenty z polityką monetarną, mogłoby się okazać, że naszej waluty nikt już nie traktuje poważnie. To oznaczałoby problemy z wymienialnością złotówki na inne waluty i poważne problemy m.in. z handlem międzynarodowym. Nawet jeśli jest to program dla USA, to nie dla Polski.

ZAGROŻENIE DLA WOLNOŚCI

Tych problemów można uniknąć, prowadząc politykę kreacji pieniądza idącą za produktywnością gospodarki – tyle że to nic innego, jak stosowanie się do starych zaleceń monetarystów. Albo też stosując kombinację pro- i antycyklicznego „rozgrzewania" i „schładzania" gospodarki poprzez politykę podatkową – a to z kolei jeszcze starsze zalecenia keynesistów, tyle że zwulgaryzowane. Może i istnieje przestrzeń dla bardziej odważnej polityki monetarnej, tylko że nawet najbardziej odważna musi brać pod uwagę realną gospodarkę – i to, że zbyt tani kredyt prowadzi do błędnego inwestowania, co pokazują bańki spekulacyjne. Koncepcja MMT rozbudza nadmierne nadzieje na uwolnienie się od „przymusu ekonomicznego", co nie jest możliwe.

Z MMT wiąże się jeszcze jedno, ogromne zagrożenie. Ten pogląd odwraca wyobrażenia na temat relacji państwo – obywatel do góry nogami. To obywatele tworzą państwo i się na nie składają. W świetle MMT to państwo w łaskawości swojej przyznaje ludziom punkty, które może im odebrać, gdy się okaże, że tak będzie dobrze dla polityki monetarnej. Może to prowadzić do zniewolenia, zwłaszcza w połączeniu z nowoczesnymi technologiami, które utrudnią korzystanie z tak rozumianego pieniądza poza kontrolą państwa. MMT może także usprawiedliwiać przyznawanie bądź odejmowanie punktów obywatelom za „odpowiednie" z punktu widzenia decydentów zachowanie – jak w systemie „kredytu społecznego", z którym eksperymentują Chińczycy.

MMT to nauki starych proroków w nowym opakowaniu, których realizacja mogłaby przynieść katastrofalne skutki – dla dobrobytu i wolności.

w złej sprawie

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą thinkzine'u Nowa Konfederacja.

eprasa.pl e3336b6748

Moda: zwolnić, proszę

Joanna Bojańczyk

Moda wpycha nam rzeczy, których nie potrzebujemy i które zaraz wyrzucamy. Czy zdołamy to zmienić? Przemysł fast fashion jest jednym z pięciu najbardziej szkodliwych przemysłów świata

FOT. MATEUSZ GRZELAK/MATERIAŁY PRASOWE

W bengalskim mieście Savar 10 tys. pracowników wyszło w grudniu i styczniu na ulice w proteście przeciwko niskim płacom i skandalicznym warunkom pracy. Protestowali także pracownicy w Dakce. Bangladesz jest drugim po Chinach producentem tekstyliów na świecie.

W 50 fabrykach powstają ubrania m.in. dla H&M, Benettona, Tesco, Walmartu, Carrefoura, Reserved. Chociaż minimalna płaca została w grudniu podniesiona o 50 proc. i wynosi obecnie 93 dol., to robotnicy bengalscy pozostają najgorzej opłacanymi na świecie. Pracują nie tylko za nędzne pieniądze, lecz także w fatalnych warunkach.

Pożar w Rana Plaza w roku 2013, gdy zawaliła się przeciążona maszynami i ludźmi hala, pochłonął 1130 ofiar. Wtedy opinia publiczna uniosła się oburzeniem, a przemysł mody, beneficjent tego systemu, uderzył się w piersi.

Niewiele jednak z tego wynikło. System fast fashion wymusza gigantyczną produkcję ciuchów.

Nowe kolekcje dostarczane są do sklepów co kilka dni. Wyprzedaże zaczynają się przed Bożym Narodzeniem i trwają do wiosny, potem w lecie, ale praktycznie przeceny są przez cały rok.

Kto był w którejś z sieciówek odzieżowych w porze poświątecznej wyprzedaży, ten był świadkiem zwałów ubrań poniewierających się po ziemi. Klienci kupują je nie dlatego, że są potrzebne, ale dlatego że modne i tanie. Wyrzucamy ubrania dwa razy częściej niż 15 lat temu. Jak podaje Greenpeace, w 2015 r. sprzedano ubrań za niewyobrażalną kwotę 1,8 bln dol. – 1 800 000 000 000 000! (dane podaję za tygodnikiem „The Economist"). Ubrań nikt nie nosi do zdarcia – teraz zamiast naprawiać podarte, zniszczone i brudne, kupujemy już nowe, firmowe. Wystarczy popatrzeć na dżinsy. Sprzedaż napędzają trendy. Ciuch, który nie jest trendowy, ma słabe szanse na sprzedaż. Jednak niesprzedanego towaru trzeba się pozbyć. Tylko jak?

W zeszłym roku wybuchł skandal, gdy do mediów przedostała się wiadomość, że brytyjska marka Burberry zniszczyła niesprzedane w roku 2018 ubrania i dodatki warte 38 mln dol. „Taka polityka uwarunkowana jest pozycjonowaniem marki na rynku" – tłumaczyli menedżerowie Burberry. „Firma wychodzi z założenia, że ograniczona dostępność towaru wpływa na jego ekskluzywny charakter".

eprasa.pl e3336b6748

Ponieważ wiadomość wywołała oburzenie, marka wyraziła skruchę i obiecała, że już nie będzie więcej niszczyć ubrań. Ciekawe tylko, co z nimi zrobi. Przecenić nie można, bo marki z wyższej półki niechętnie przeceniają swoje rzeczy, jeżeli już, to minimalnie. To obniżyłoby prestiż. „Ograniczona dostępność towaru buduje jego ekskluzywny charakter" – mówią menedżerowie. Powstaje tylko wątpliwość, czy „luksusem" jest szalik w kratkę, który noszą tysiące ludzi na świecie...

Nikomu jak dotąd nie udało się tego zatrzymać. Fashion biznes daje zatrudnienie 30 mln ludzi na świecie. Oprócz tego samą tylko uprawą bawełny zajmuje się 100 mln rolników.

ZA TANIO I ZA DROGO

A jednak do świadomości publicznej coraz bardziej dochodzi to, że przemysł tekstylny to gigantyczny szkodnik i truciciel. Żeby włókno stało się tkaniną, a potem ubraniem, trzeba zużyć 8 tys. rozmaitych środków chemicznych. Do wyprodukowania kilograma bawełny zużywa się 10 tys. litrów wody, jeden T-shirt to 2720 litrów. Ta produkcja pochłania 11 proc. światowego zużycia pestycydów. W krajach Afryki i Azji pod uprawy karczuje się lasy zwrotnikowe. Jednak najbardziej wykorzystuje się ludzi, bo ubrania powstają w najbiedniejszych regionach globu.

Naukowcy alarmują, że znaleźliśmy się w punkcie, z którego nie ma odwrotu. A moda jest jednym z pięciu najbardziej zatruwających planetę przemysłów.

– Moda wpycha nam rzeczy, których nie potrzebujemy – mówi dokumentalistka BBC, Stacey Dooley, autorka filmu „Brudne sekrety mody". Pokazała w nim, jak toksyczne chemikalia używane do produkcji ubrań zatruwają źródła wody, z których korzystają miliony ludzi. Morze Aralskie, niegdyś zbiornik słodkiej wody, stało się stepem.

To wszystko wynika z koncentracji własności oraz outsourcingu, który przeniósł produkcję do krajów Azji, gdzie kosztuje grosze w porównaniu z tym, co mogłaby kosztować w krajach Pierwszego Świata. Zaczęło się po kryzysie naftowym i w czasach zachodniej prosperity ekonomicznej, w latach 80. doszło do zenitu. Wtedy przedsiębiorcy doszli do wniosku, że można produkować jeszcze taniej, jeszcze więcej. Wymyślono modę marketingową i fast fashion, powstały wielkie grupy – konglomeraty mody – i cały system zrobił się gigantyczną maszyną rozrastającą się na całym świecie i trudną do zatrzymania. Chodzi nie tylko o tanią masówkę, która jest za tania. Także o absurdalne ceny masowo produkowanych tzw. artykułów luksusowych, w których marże sięgają kilkuset procent.

ZAPŁACIĆ ZA DZIURĘ

Jest jednak nadzieja: młode pokolenie konsumentów jest coraz bardziej świadome tych groźnych zjawisk. Podnoszą się ruchy antysystemowe: minimalizm, slow fashion, fairtrade. W roku 2018 wartość rynku tzw. mody odpowiedzialnej, wyprodukowanej z poszanowaniem norm ekologicznych oraz pracy ludzkiej wzrosła o 19,9 proc. (podaję za portalem Business of Fashion). Przy czym wzrost tej świadomości jest największy w najmłodszym pokoleniu, w grupie wiekowej 18–24 lata. Internet i media społecznościowe robią swoje. We Francji sprzedaż tekstyliów w roku 2018 spadła o 2,9 proc. W roku 2019 stowarzyszenie Zero Waste zachęca do akcji „Wyzwanie nic nowego".

Także w Polsce ruch slow fashion coraz odważniej dochodzi do głosu. W październiku 2018 r. w Warszawie odbyły się targi Slow Fashion, już po raz 12. Wystawiło się prawie 250 producentów z całej Polski. Pokazano ubrania, dodatki, biżuterię. Do nowo otwartej przestrzeni dawnej fabryki wódek Koneser przyszedł tłum kupujących i tylko oglądających.

Można być pod wrażeniem dynamicznie rozwijającej się polskiej mody, ale są także wątpliwości. Czy kupując ubrania, rzeczywiście robimy to, myśląc o robotnicach w Bangladeszu i o rozsądnym kupowaniu? O produkcji odpowiedzialnej? Wątpię. Większość rzeczy prezentowanych w Koneserze nie odbiega poziomem od sieciówek, ale jest od nich droższa, bo praca w Polsce kosztuje więcej niż w Azji. A jak wskazują wszystkie badania, Polaków w każdym produkcie najbardziej interesuje cena. Na masowego klienta slow fashion w Polsce nie może liczyć.

Inna wątpliwość to to, czy to, co reklamuje się jako slow fashion, rzeczywiście nim jest.

Materiały mamy bardziej trwałe niż dawniej, ale i tak dzisiaj nikt nie nosi ubrań do zdarcia. Średnio zakładamy je pięć razy. Młodsze pokolenie nie zna widoku babci cerującej skarpetki, nastolatki kombinują, jak by tu zrobić samemu dziurę w dżinsach, żeby nie płacić za gotowe dziury w markowych spodniach... Do takich absurdów doszliśmy.

„Wear Polish", styczniowa prezentacja polskiej mody na Fashion Weeku w Berlinie, zainicjowana przez Instytut Adama Mickiewicza, jest inną cenną inicjatywą dla upowszechniania za granicą zarówno naszej mody, jak i świadomości ekologicznej. IAM intensywnie promuje polską modę i design za granicą. W specjalnie zaprojektowanym pawilonie pojawią się polskie marki – Orska, Pat Guzik, Nago, Surplus, Szymańska, Wearso.organic. Ich twórcy skupiają się nie na trendach, ale na uniwersalnych fasonach skrojonych z organicznej bawełny, pozyskiwanej z upraw ekologicznych, wyprodukowanych bez chemii i nawozów sztucznych, szytych z materiałów z recyklingu. Ubrania szyte są w Europie, swetry robione ręcznie z naturalnych wełen. Powrót autorskiego rzemiosła to jedno z haseł slow fashion. Anna Orska własnoręcznie tworzy biżuterię inspirowaną podróżami, wykorzystując przywiezione stamtąd elementy oraz techniki. – Zawsze sprawdzam wiarygodność źródeł, z których czerpię materiały – mówi Orska. Staram się minimalizować zagrożenia dla środowiska, na które mam wpływ. Pracuję obecnie nad linią biżuterii, która, mam nadzieję, zwróci uwagę na alarmujący problem zanieczyszczenia oceanów.

Młodsze pokolenie nie zna widoku babci cerującej skarpetki, nastolatki kombinują, jak by tu zrobić samemu dziurę w dżinsach

Na starych zdjęciach widzimy ludzi w zniszczonych ubraniach. Naturalne tkaniny szybko się niszczyły, odzież była droga w stosunku do zarobków. Jeszcze w latach 70. kupno płaszcza było poważnym wydatkiem w rodzinie. Pamiętam z dzieciństwa w latach 60., jak przerabiano dla mnie płaszcz taty. Trzeba było całość spruć, wyciąć zniszczone i wytarte kawałki, przełożyć lewą stronę materiału na prawą i paletko było jak nowe. Mogłam je nosić jeszcze parę lat. Zabieg nazywał się nicowanie, dziś powiedzielibyśmy recykling.

Komu jednak będzie się chciało dzisiaj cokolwiek reperować, przerabiać, kiedy można iść do sklepu i tanio kupić nowe?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e3336b6748

Odchudzaj się ostrożnie

FOT. ADOBE STOCK

Katarzyna Pinkosz

Nabity na widelec serdelek z tlącym się lontem, otyła postać siedząca na malutkim krześle, napis „żryj" z przekreślonym „r" – o kampanii „Jedz ostrożnie" zrobiło się głośno. Tylko czy dzięki niej więcej osób schudnie, czy nabawi się kompleksów?

Nadwaga i otyłość dotykają dziś w Polsce 64 proc. mężczyzn i 46 proc. kobiet. Wciąż przybywa dzieci, które ważą za dużo, dlatego – jeśli tego trendu nie uda się odwrócić – będzie nadal przybywało osób z otyłością. Już dziś cierpi na nią prawie co czwarty dorosły Polak – pod tym względem zajmujemy niezbyt chlubne szóste miejsce w Europie.

Otyłość to przede wszystkim problem psychiczny i zdrowotny, a nie tylko estetyczny. WHO uznała ją za najpoważniejszą chorobę przewlekłą, która prowadzi m.in. do takich powikłań jak miażdżyca, niewydolność serca, cukrzyca typu 2, niektóre nowotwory (jelita grubego, piersi), depresja, zaburzenia hormonalne, zwyrodnienie stawów.

NIE TYLKO HAMBURGERY

Eksperci od wielu lat zastanawiają się, jakie działania podejmować, by zmniejszyć problem nadwagi i otyłości. Są programy w przedszkolach, szkołach, kampanie edukacyjne prowadzone przez samorządy, uczy się dzieci przygotowywania zdrowych, atrakcyjnych posiłków, promuje aktywność fizyczną. Na razie przynosi to średnie efekty – udało się jedynie zmniejszyć tempo, w jakim Polacy przybierają na wadze. Wciąż jednak osób z otyłością jest u nas 1,7 proc. więcej, niż wynosi średnia w Europie.

Może więc mają sens kontrowersyjna kampania Galerii Plakatu AMS i afisze widoczne na przystankach wielu miast? Choćby „Czarny punkt", na którym liczbę rannych i zabitych w wypadkach drogowych zastąpiono procentem osób z nadwagą i otyłością, plakat „Żyj, a nie żryj" albo inny, z osobą otyłą siedzącą na mikroskopijnym krzesełku?

Magdalena Gajda, prezes Fundacji Osób Chorych na Otyłość OD-WAGA i społeczny rzecznik osób praw chorych na otyłość, nie kryje oburzenia niektórymi plakatami. – Nieludzkie jest utożsamienie osób jedzących ze zwierzętami (żyj, a nie żryj), tym bardziej gdy

eprasa.pl e3336b6748

mówimy o osobach chorych, bo przecież otyłość jest chorobą. Nie rozumiem też, co zabawnego jest w wizerunku człowieka chorego na otyłość skrajnie olbrzymią, który siedzi na mikroskopijnym krzesełku. Sama ważyłam 150 kg i nie było w tym nic zabawnego – przekonuje.

Na otyłość choruje od dzieciństwa i uważa, że tego typu kampanie nikogo nie wyedukują, za to dotykają i krzywdzą. – Osoby z otyłością to dziś najbardziej wykluczona grupa w Polsce, często ukrywają się po domach, żyją na granicy biedy, nie mają wsparcia, rodzina się od nich odwraca, mają problemy nawet z przyjęciem do szpitala. Naigrawanie się z losu takiego człowieka, jeszcze z hasłem: „Jedz ostrożnie, bo będziesz wyglądać tak jak on", jest nieludzkie – oburza się Magdalena Gajda.

Kampania przystankowa wzbudziła sprzeczne emocje. Były żądania, żeby plakaty jak najszybciej zniknęły z przestrzeni publicznej („Nie zdziwię się, jeśli ujrzę plakat przedstawiający garbatego i napis: »Wyprostuj się«"). Były też głosy poparcia: „Od dawna moim znajomym powtarzam: »Chcesz być chudszy, wstawaj wcześniej od stołu. Do niektórych trzeba prosto i między oczy«".

– Otyłość nie bierze się z jedzenia hamburgerów; to skomplikowana choroba, u której podstaw stoi wiele czynników środowiskowych, psychologicznych, metabolicznych, hormonalnych, genetycznych. Tego typu plakaty krzywdzą też osoby z zaburzeniami odżywiania, chorobami tarczycy, genetycznymi, pacjentów przyjmujących leki sterydowe, hormonalne. Oni nie są chorzy na otyłość dlatego, że jedzą hamburgery i frytki – dodaje Magdalena Gajda.

PRZYMUS JEDZENIA

W ok. 10 proc. przypadków otyłość jest spowodowana chorobami, np. niedoczynnością tarczycy, niektórymi zespołami genetycznymi albo przyjmowanymi lekami (np. sterydowymi). W 90 proc. przypadków jej powodem są zaburzenia odżywiania i długotrwałe spożywanie zbyt dużej ilości kalorii w stosunku do potrzeb energetycznych organizmu. Tłumaczenie: „Jadł za dużo, więc jest za gruby" nie jest jednak do końca prawdą, bo gdyby wystarczyło zacząć mniej jeść, nie byłoby osób z otyłością. Każda z nich wielokrotnie próbuje pozbyć się nadmiaru kilogramów.

Zdrowe niemowlę ma dobrze funkcjonujące mechanizmy głodu i sytości: je tyle, ile potrzebuje. Część dzieci za żadne skarby nie da się namówić na zjedzenie dodatkowej porcji, inne za to – zwykle ku zadowoleniu rodziców – chętnie zjadają więcej. Przekarmianie, podawanie przekąsek między posiłkami, przyzwyczajanie do picia słodkich napojów, nagradzanie słodyczami – to wszystko powoduje, że dzieci tyją i mniej chętnie się ruszają, a więc przybywają na wadze jeszcze więcej. Mechanizmy głodu i sytości łatwo rozregulować, dlatego pediatrzy tak nawołują, by nie przekarmiać.

Nie o wszystko można „obwiniać" rodziców. Duże znaczenie w powstawaniu otyłości mają geny. Coraz więcej badań udowadnia też, że wpływ na tempo przemiany materii na całe życie ma okres prenatalny – niedożywienie kobiety w ciąży może ułatwiać rozwój nadwagi u dziecka. Problem może też pojawić się w okresie dojrzewania, co jest spowodowane mniejszą aktywnością fizyczną w tym okresie, zwłaszcza u dziewcząt, i trudnymi dla młodego człowieka sytuacjami emocjonalnymi. Niebezpieczny jest też okres po 40.–50. roku życia – wraz z wiekiem metabolizm zwalnia, a my zwykle mniej się ruszamy.

Zidentyfikowano ok. 100 hormonów wydzielanych przez układ pokarmowy, które decydują o tym, czy czujemy głód. Szczególnie ważna jest wydzielana w żołądku grelina, która po dotarciu do mózgu daje sygnał, by jeść. U osób z otyłością, które jedzą za dużo, produkcja greliny jest zwiększona. Jedzą nie dlatego, że nie mają silnej woli, tylko dlatego, że odczuwają fizyczny głód.

KULĄ W PŁOT

Otyłości najlepiej zapobiegać, promując zdrowy styl życia – choć nie zawsze to się udaje, gdy jej przyczyną są choroba lub przyjmowane leki. Już nawet z niewielką nadwagą warto iść do specjalisty (lekarza lub dietetyka), a nie odchudzać się na własną rękę.

Chociaż otyłość sama w sobie jest chorobą, którą trzeba – tak jak inne – leczyć, wiedza o tym bardzo wolno przebija się do naszej świadomości. Wciąż większość osób uważa, że wystarczy mniej jeść, więcej się ruszać, by ze 120 kg schudnąć do 80 kg. Stąd rady: „Weź się w garść, zrób coś ze sobą".

– Otyłość nie jest „winą" chorego. Żeby ją wyleczyć, trzeba wyleczyć jej przyczynę. Wiele zaburzeń psychologicznych powoduje, że dochodzi do dodatniego bilansu energetycznego: to np. zespół kompulsywnego jedzenia, zespół nocnego jedzenia, nałogowe jedzenie, depresja, obniżenie samooceny – mówi prof. Magdalena Olszanecka-Glinianowicz, prezes Polskiego Towarzystwa Badań nad Otyłością.

Już nawet z niewielką nadwagą warto iść do specjalisty (lekarza lub dietetyka), a nie odchudzać się na własną rękę

Podkreśla, że diety cud niewiele pomogą. Niezbędne jest leczenie prowadzone pod okiem kompetentnego lekarza (najlepiej obesitologa) w interdyscyplinarnym zespole, w skład którego wchodzą też: dietetyk, psychoterapeuta, fizjoterapeuta, a czasami chirurg bariatra, gdyż konieczne może być przeprowadzenie operacji. Niezbędne są: zmiana nawyków żywieniowych, aktywność fizyczna, a często też stosowanie leków. – Nie ma „leku na otyłość", mamy jednak metody farmakoterapii, które wspomagają leczenie. Jego ważnym etapem jest terapia behawioralna i zmiana nawyków, a także psychoterapia – mówi prof. Olszanecka.

Leczenie nie jest jednak łatwe, trwa latami i spada na pacjenta, bo wciąż trudno znaleźć lekarzy zajmujących się tym problemem, porady dietetyczne zwykle są komercyjne, a leki nie podlegają refundacji. Osobom, które zmagają się z otyłością, potrzebna jest pomoc. Na pewno nie plakaty z mikroskopijnym krzesłem czy hasła, które wpędzają w kompleksy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Gdzie szukać pomocy

Listę lekarzy zajmujących się leczeniem otyłości, certyfikowanych przez Polskie Towarzystwo Badań nad Otyłością, można znaleźć na stronie: certyfikacjaptbo.pl. Przez stronę poradnia.ncez.pl można umówić się na bezpłatne konsultacje dietetyczne on-line uruchomione przez Instytut Żywności i Żywienia, m.in. dla osób z nadwagą i otyłością.

eprasa.pl e3336b6748

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Portret kresowego dziada

Kresowy dziad to ważny element folkloru wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Spotkamy go i dzisiaj na Lubelszczyźnie, Podlasiu, Podkarpaciu. Zwykle mieszka samotny za wsią, w starej chałupie, pokłócony z rodziną i sąsiadami. Jest skarbnicą lokalnych zwyczajów i wiedzy, nie lubi obcych, a chociaż niełatwy w pożyciu, warto go mieć po swojej stronie. Okazuje się bowiem pożyteczny – pomoże przy budowie, odstrzeli wilka dla skóry na husarską zbroję. Przegna spod dworu dziki, niedźwiedzie i lewackich cyklistów, a jego bimber jest jak najlepsza wódka czysta…

Pierwowzorem kresowych dziadów był Mikołaj Bazyli Potocki, herbu Pilawa, urodzony ok. 1712 r., właściciel Potoka, Horodenki, Gołogór i Buczacza, a także klucza baryskiego i peczeniżyńskiego – w dawnym województwie ruskim. Zwany „starostą Mikołajem", „starostą kaniowskim", „szalonym baszą" lub „szałaputą koronnym" stał się awanturnikiem, o którym zachowało się więcej podań, legend i opowieści niż źródeł historycznych. Potocki pozował na stepowego hajdamakę. „Życie jego było proste, kozackie, jadł u stołu pospolitego" – napisał o nim Julian Ursyn Niemcewicz. Mikołaj palił fajkę, golił głowę, utrzymywał prywatne chorągwie wojskowe i oddziały mołojców, które budziły grozę wśród sąsiadów. Już w roku 1733 jego rota przypominała osławioną „kmicicową kompanię". Pięć lat później popełnił z nią tyle gwałtów i pijackich wybryków we Lwowie, że król August III Sas kazał mu opuścić miasto. 17 lat później Potocki dopuścił się krwawych burd z żołnierzami z garnizonu – za co został skazany przez komisję wojskową na grzywnę. Sprawiedliwość każe jednak odnotować, że w roku 1759 uwolnił ze swoim wojskiem szlachtę halicką od band opryszków i zbuntowanych chłopów.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Cała reszta to tradycja. Słynął z okrucieństwa i niepohamowanej chuci. Jego ulubioną rozrywką było batożenie chłopów, Żydów i dzierżawców jego własnych majątków. Gdy odwiedzał oficjalistów dworskich, padał na nich blady strach. Starosta skrupulatnie sprawdzał rachunki, a za jego plecami stali kozacy z nahajami, gotowi sypać plagi, jeśli odkryłby nieprawidłowości. Gdy jednak sprawy przebiegały po myśli pana Mikołaja, zapraszał wszystkich na bankiet, gdzie każdy mógł opić się jak bąk.

Powiadano, że pewnego razu zabił starozakonnego w miasteczku sąsiada. Gdy właściciel chciał pozwać Potockiego do sądu, starosta nakazał połapać w swoich dobrach Żydów, związanych wrzucić na wielki, drabiniasty wóz i odprowadzić go przed oblicze sąsiada. Tam słudzy wyrzucili ich na ziemię i przekazali, że: „Nasz pan kłania się jegomości i za jednego zabitego Żyda przysyła czterdziestu". Starym babom kazał wchodzić na drzewa i kukać jak kukułki, po czym strzelał im w zadek śrutem.

Potocki znany był także z bójek. Za byle co kazał smagać nahajami szaraczków, zaraz jednak po tym – co przyznawali wszyscy – płacił sowite basarunki. Zdarzało się więc, że szlachetkowie prowokowali zwady, aby potem otrzymać sowite wynagrodzenie. Potocki ponoć kiedyś powiedział pewnemu szukającemu z nim zwady szlachcicowi: „Ne ma hroszi, ne budu byty" (Nie ma pieniędzy, nie będę bił).

Ekscesy i gwałty starosty szły w parze z niezwykłą dewocją i hojnością dla duchowieństwa obu obrządków. W latach 1743–1760 zbudował kościół w Horodence, ogromne sumy zapisywał lwowskim dominikanom. W roku 1761 wspomógł odbudowujący się kościół ormiański w Tyśmienicy. W 1758 r., nie otrzymawszy rozgrzeszenia, przeszedł na obrządek unicki. Zbudował w Buczaczu klasztor ze szkołą i z konwiktem dla 12 studentów, ufundował ponadto cerkiew w miasteczku, a także w Horodence i Potoku. Od roku 1771 wspierał klasztor w Poczajowie na Wołyniu, gdzie wzniósł sobór Zaśnięcia Matki Bożej. Ławra Poczajowska stała się też dla niego schronieniem. Kiedy po pierwszym rozbiorze Rzeczypospolitej, w roku 1772, Austriacy zakazali utrzymywania prywatnych oddziałów wojskowych, Potocki, obawiający się zemsty sąsiadów, osiadł tam na pokucie – mieszkał jednak nie w zabudowaniach, ale w drewnianym dworku, który wzniósł na dziedzińcu. „Rano i wieczór na pacierze zakonne do cerkwi chodził, mnichów niedbałych przestrzegał, a mimo tego u siebie dziewek kilka dla rozpusty trzymał, rano je budząc do różańca, który wraz z niemi odmawiał, a jeżeliby która w czasie tej modlitwy rozśmiała się, cybuchem po plecach karał, ażeby (jak mówił) Boga nie obrażała" – napisał o nim Franciszek Karpiński. Potocki zmarł w 1782 r. w Srebrnej, pochowany został w krypcie pod cerkwią poczajowską, otoczony aurą człowieka świątobliwego do tego stopnia, że na jego grób przychodziły pielgrzymki! ©℗

eprasa.pl e3336b6748

INDYJSKĄ HERBATĘ NA POLSKĄ POGODĘ PARZY JAROSŁAW KRET

Mieszkając kilka lat w Indiach, nauczyłem się pić. Brzmi to prawie jak wyznanie pijaka. Nie, nic bardziej błędnego. Alkoholu nie piję od urodzenia i bardzo mi z tym dobrze. Mówię o piciu w ogóle, a szczególnie podczas upałów i po indyjskim jedzeniu. Picie podczas upałów to przede wszystkim opanowanie takiej umiejętności „spożywania" płynów, by natychmiast nie wyparowały i by oprócz błogiego uczucia ugaszenia pragnienia przyniosły organizmowi jak najwięcej korzyści. Otóż w czasie upałów najlepiej pić ciepłą wodę i pić mądrze, tak by natychmiast jej nie wypocić. A jeżeli jednak wypocimy, to poza wodą trzeba uzupełnić minerały i witaminy, więc najlepiej dodać je do wody, Przyrządzamy więc sobie ciepłą wodę z imbirem (imbir rozgrzewa nas od środka, tym samym wyrównując temperaturę z tą na zewnątrz, więc nie powoduje nadmiernego pocenia się), dodajemy też nieco soli, nieco cukru i sok z limonki lub z cytryny. Kiedy ugasimy już pierwsze pragnienie polecam herbatę z przyprawami, tzw. ćaj masala. Stała się dla mnie błogosławieństwem w naszym klimacie. Pijąc ją regularnie od wczesnej jesieni do późnej wiosny, unikam skutecznie wszelkich infekcji gardła. To przede wszystkim zbawienne działanie imbiru. Na drugą część kapryśnej zimy polecam więc z czystym sumieniem ćaj masala.

FOT. TOMASZ ADAMOWICZ/FORUM

Składniki:

- 250 ml mleka
- 100 ml wody
- 1 łyżka czarnej herbaty
- świeży korzeń imbiru (ok. 2 cm)
- laska cynamonu (ok. 5 cm) (lub cynamon w proszku)
- kilka goździków
- kilka ziaren kardamonu (mogą być 3–4 szczypty sproszkowanego kardamonu)
- fragment gałki muszkatołowej
- 3 ziarenka pieprzu
- 2–3 łyżki cukru (do smaku)

Przygotowanie:

Imbir, kardamon, goździki, gałkę i cynamon lekko rozgnieść w moździerzu. Do garnka wlać mleko, wodę i wsypać przyprawy, zagotować, następnie wsypać herbatę i gotować ok. 2–3 min. Odstawić na ok. 3 min i dodać cukier, wymieszać. Następnie przelać przez sitko do dzbanka. Ćaj najlepiej nalewać do filiżanki lub kubka, trzymając wysoko dzbanek, tak aby lekko się spienił. Smacznego. ©℗

oprac. raw

Jarosław Kret jest prezenterem pogody, dziennikarzem i podróżnikiem.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Piąty smak miso

To jedna z tych rzeczy, które albo się kocha, albo ich się nienawidzi. Trzeciej opcji nie ma. Chyba że się jest Japończykiem, dla którego zupa miso jest czymś w rodzaju owsianki. Banalnym, codziennym śniadaniem.

Krótki pobyt w Japonii dwa lata temu nie obudził we mnie namiętności do tej zupy. W fazę zachwytu nad miso weszłam późno i dosyć przypadkowo. Byłam chora, bez specjalnej ochoty do jedzenia i jeszcze mniejszej do gotowania. Przyszły dzieci i żeby nas rozerwać, przyniosły sushi oraz miso. To było odkrycie i miłość od pierwszej łyżki. Łagodny, lekki, nieznany dotąd smak, ani słony, ani kwaśny, ani ostry. Delikatne wodorosty, grzyby i kawałki tofu.

Od miso Japończycy zaczynają dzień, wierząc, że dodaje ona energii i pobudza trawienie. Mają rację. Pasta miso, podstawa tej zupy oraz tradycyjny składnik kuchni japońskiej i chińskiej, zrobiona ze sfermentowanych ziaren soi, zawiera same cenne składniki. Masę witamin z grupy B, E i K, mikroelementy: cynk, mangan, żelazo oraz jako produkt fermentacji – miliony dobroczynnych probiotycznych bakterii. Pastę można dodawać do sosów, dressingów, sałatek, jarzyn, marynat. Wszystkiemu nadaje tego tajemniczego „umami", piątego smaku.

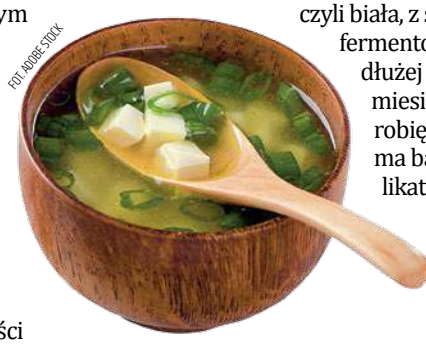

FOT. ADOBE STOCK

Istnieją setki odmian pasty miso w zależności od regionu. Intensywność i smak zależą od czasu fermentacji i rodzaju ziaren. Miso shiro, czyli biała, z soi i ryżu, fermentowana nie dłużej niż dwa miesiące (taką robię w domu), ma bardzo delikatny smak. Podobna, choć trochę mocniejsza jest shinshu, miso żółta. Czerwona zawiera więcej sfermentowanej soi – nawet przez trzy lata ma intensywny, głęboki smak i kolor. Dodając ją do dań, trzeba uważać, żeby nie przedobrzyć. Może zdominować smak potrawy.

Mugi to odmiana z owsa i soi, o procesie fermentacji dłuższym niż shiro. Ma słodkawy smak owsa, ale jest równie łagodna, co biała.

Miesiąc minął, a u mnie nie było dnia bez miso. Najpierw przynoszonej z susharni, potem robionej w domu. Moja zupa to miso shiro, odmiana biała, robię ją na bazie wywaru z warzyw lub delikatnego bulionu, dodaję pastę, suszone wodorosty i pokrojoną w kostkę soję. Można dodać kurczaka, krewetki, grzyby. Wszystkie składniki (poza bulionem) kupuję w Kuchniach Świata. Trzeba tylko uważać z wodorostami – przedawkowane mogą być niebezpieczne. ©℗

eprasa.pl e3336b6748

NOWE WCIELENIE LEGENDY

Nowa Toyota GR Supra – piąta generacja klasycznego, sportowego wozu japońskiej marki – po wielu latach testów zadebiutowała wreszcie na North American International Auto Show w Detroit. Pod maską znalazła się trzylitrowa jednostka napędowa R6, która generuje 340 KM oraz 500 Nm momentu obrotowego. Auto od 0 do pierwszej setki rozpędza się zaledwie w 4,3 s. Ograniczona elektronicznie prędkość maksymalna wynosi 250 km/godz.
W dynamicznej jeździe pomaga ośmiobiegowa automatyczna skrzynia biegów. W standardzie znajduje się też adaptacyjne zawieszenie, które w razie potrzeby obniża auto o 7 mm, aby np. zwiększyć przyczepność na zakrętach. Wersja europejska będzie też wyposażona w mocne hamulce oraz 19-calowe aluminiowe felgi z naprzemiennie srebrnymi i czarnymi ramionami. W kabinie inżynierowie umieścili m.in. trójramienną kierownicę, wyświetlacz przezierny HUD oraz dotykowy wyświetlacz o przekątnej 8,8 cala. Pierwsze egzemplarze sportowej Toyoty mają trafić do klientów w połowie tego roku. Cena: ok. 300 tys. zł.

NAJPOTĘŻNIEJSZY MUSTANG W HISTORII

Drapieżna sportowa sylwetka, napęd na tylną oś, ponad 700 KM i niemal 1000 Nm momentu obrotowego. To najważniejsze cechy nowej odmiany Forda Mustanga. Shelby GT500 ma pod maską silnik V8 o pojemności 5,2 l i dodatkowy kompresor mechaniczny o pojemności 2,65 l, który pozwolił na znaczące zwiększenie mocy. Najszybszy mustang w historii na rozpędzenie się od zera do pierwszej setki ma potrzebować niecałych czterech sekund. Ta odmiana Forda będzie dostępna jedynie w wersji z automatyczną siedmiostopniową skrzynią biegów. Producent chwali się, że zmiana biegu trwa mniej niż 100 milisekund. Kierowca będzie miał do dyspozycji nie tylko tryb „kontroli startu", lecz także „line-lock", który teoretycznie ma służyć do nagrzewania opon, a w praktyce do palenia gumy przed tłumem rozwrzeszczanych nastolatek. Pierwsze egzemplarze do klientów za oceanem mają trafić jesienią tego roku. Ta odmiana mustanga raczej nie będzie dostępna u dilerów w Polsce.

PORSCHE DLA SZYBKICH

GTR 8XX EvoR BiTurbo. Taką nazwę nosi modyfikacja Porsche 911 wykonana przez niemiecką firmę tuningową Gemballa. Auto jeździ lepiej niż się nazywa. Kierowca ma bowiem do dyspozycji 818 koni mechanicznych i niesamowity moment obrotowy, który wynosi aż 1098 Nm.
Tak dużą moc generuje podrasowany 3,8-litrowy, sześciocylindrowy silnik. Na autostradzie auto może nie mieć sobie równych: niemiecka strzała od zera do pierwszej setki przyspiesza bowiem zaledwie w 2,38 s. Od zera do drugiej setki Porsche po tuningu osiąga już w 7,5 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 340 km/godz.

SAMOCHODY MOCNO ZDROŻEJĄ?

Konieczność dostosowania samochodów do zaostrzonych norm emisji dwutlenku węgla – Parlament Europejski wymaga, aby do 2030 r. samochody osobowe emitowały o 37,5 proc. CO_2 mniej – w połączeniu z coraz surowszymi wymogami dotyczącymi bezpieczeństwa doprowadzi do znaczącego wzrostu cen nowych pojazdów – ostrzega Volkswagen Group. Szef sprzedaży VW Christian Dahlheim prognozuje, że stosunkowo największy wzrost cen będzie dotyczył najtańszych aut. ©℗

opracował Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e3336b6748

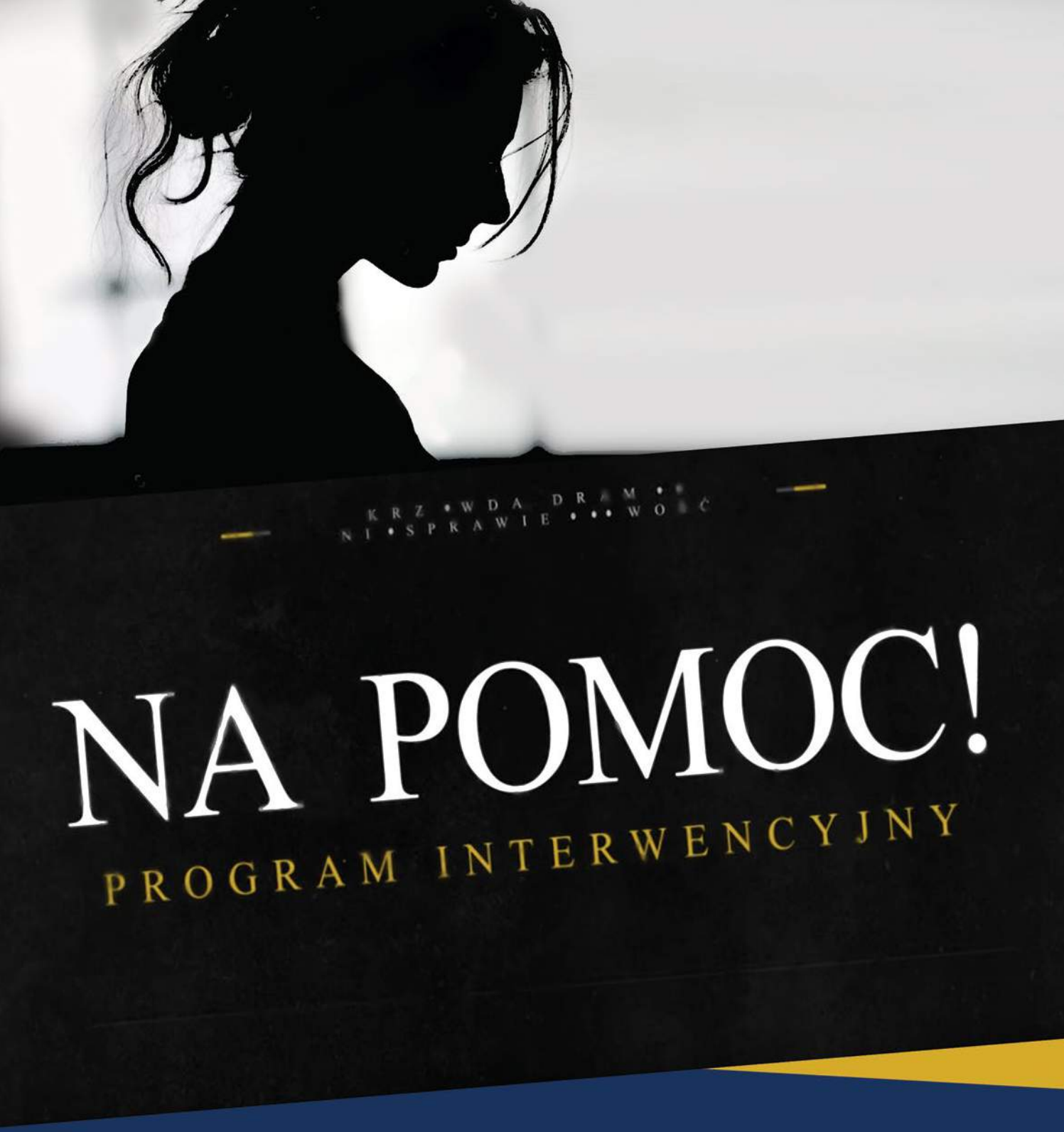

ŚRODA 21:30

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl

REPUBLIKA

eprasa.pl e3336b6748

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Westerplatte – 10 lat później

ANDRZEJ NOWAK

Skończył się rok wielkiego jubileuszu odzyskania niepodległości. W nowym roku przed nami także kilka ważnych dat, które trzeba przypomnieć: z myślą o tym, jak niepodległości nie stracić. 80 lat temu odrodzona II Rzeczpospolita zdecydowała się bronić przed napaścią pary totalitarnych sąsiadów. I to był początek (przynajmniej w Europie) drugiej wojny światowej. To trzeba przypomnieć.

80. rocznicę wybuchu II wojny trzeba zorganizować tak, by skorzystały na tym prawda historyczna oraz idea prawa mniejszych narodów do niepodległości

Jak tego nie robić, wiemy dzięki tragicznej lekcji, której dostarczyły nam zorganizowane na Westerplatte dekadę temu huczne obchody 70. rocznicy wybuchu wojny.

W imię walki z wewnętrznym przeciwnikiem, czyli PiS i prezydentem Lechem Kaczyńskim, ówczesny premier Tusk zdecydował się wykorzystać tamtą rocznicę, by udowodnić, że diagnoza Rosji Putina jako raczej zagrożenia niż bezpiecznego partnera dla Polski jest błędna. Do odegrania głównej roli w obchodach 70. rocznicy wybuchu wojny zaprosił zatem właśnie Putina. A było to, przypomnijmy, rok po najeździe czołgów rosyjskich na Tbilisi i dwa lata po ogłoszonej przez Putina na konferencji w Monachium otwartej deklaracji nowej zimnej wojny przeciw Zachodowi. I było to dokładnie w tym czasie, kiedy armia rosyjska ćwiczyła taktyczny atak nuklearny na Polskę.

Polskiemu premierowi to nie przeszkadzało. Putin został przywitany 31 sierpnia 2009 r. hołdowniczym artykułem w „Gazecie Wyborczej", podpisanym przez ministra Sikorskiego. Określił on Rosję premiera Putina jako kraj, który nigdy wcześniej w swej historii „nie hołdował tak wartościom demokracji i nie był tak inspirowany ich przesłaniem" jak w tamtym momencie. Nie wiem, czy zgodziliby się z tym określeniem mordowani właśnie wtedy w Rosji obrońcy praw człowieka i dziennikarze. Dzięki Sikorskiemu dowiedzieliśmy się jednak niedawno o istotnym „szczególe" rozmów toczonych przy okazji tamtej rocznicy. Według byłego polityka PO jego premier usłyszał wówczas od gościa z Moskwy sugestię rozbioru Ukrainy. Komentując tamte obchody i wizytę Putina w Trójmieście, dostrzegłem niespodziewane zachowanie obecnej na uroczystościach premier Ukrainy, Julii Tymoszenko. Ignorowana przez swojego polskiego odpowiednika ogłosiła, że nie będzie czekać na spotkanie z Tuskiem, bo ma pilne sprawy do załatwienia w… Libii. Dzisiaj, dzięki wynurzeniom Sikorskiego, rozumiem to inaczej. Tusk, balansując na krawędzi zdrady państwowej, nie poinformował prezydenta Kaczyńskiego, zwierzchnika sił zbrojnych i głowy państwa, o szokującej propozycji premiera Rosji. Jednak służby Putina mogły od razu przekazać otoczeniu Julii Tymoszenko „przeciek": nasz premier rozmawia właśnie z polskim premierem o rozbiorze waszego kraju. Tak właśnie imperium wykorzystuje rocznice historyczne do bieżącej polityki: dziel i rządź. Polska tamtej rocznicy nie wykorzystała. Została wykorzystana. Jak bardzo – okazało się w konsekwencji bezprecedensowego rozdzielenia wizyt premiera i prezydenta RP na kolejnych obchodach historycznych: w kwietniu 2010 r. w Katyniu.

80. rocznicę wybuchu drugiej wojny trzeba zorganizować tak, by skorzystały na tym prawda historyczna oraz idea prawa mniejszych narodów do niepodległości. Dlatego trzeba zaprosić naszych regionalnych sąsiadów: Litwinów, Łotyszy, Estończyków (wcześniej musimy uzgodnić z nimi sposób upamiętnienia złowrogiego paktu Ribbentrop-Mołotow), naszych bliższych i nieco dalszych sąsiadów z południa, oczywiście także Białorusinów (dziś nawet Łukaszenko czuje na sobie zimny oddech północnego imperium), Ukraińców. Warto zorganizować, właśnie przy takiej okazji, szczyt Trójmorza. Z doproszonymi do niego najwyższymi przedstawicielami i Waszyngtonu, i Berlina. Donald Tusk może wybrać, czy pojedzie na obchody 17 września do Moskwy, czy jednak przyjedzie do Polski 1 września, by uderzyć się we własne – tym razem – nie cudze, piersi. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

W tym miejscu oprócz Andrzeja Nowaka na zmianę felietony publikować będą: Elżbieta Polak-Pałkiewicz, Sławomir Cenckiewicz oraz Grzegorz Kucharczyk.

eprasa.pl e3336b6748

OKIEM JASTRZĘBIA

Było miło

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

No ja wiem, że komuś się to może nie spodobać, ale niestety, niestety, niestety Monika Jaruzelska jest bardzo miła. Ja sobie tutaj abstrahuję od jej rodziny, historii i poglądów, bo sobie lubię tak czasem delikatnie poabstrahować. Taki jestem po prostu. A wiem, że jest miła, bo wielokrotnie z nią rozmawiałem osobiście. Rozmawialiśmy co najmniej raz do roku. Generalnie latem, późnym latem. Pani Monika miała bowiem w zwyczaju raz do roku na Mazurach pływać sobie w jeziorze na golasa całkiem. Ściągała te krępujące tekstylia i nura. Natomiast bezwstydny paparazzo udający wodnika szuwarka miał w zwyczaju zdradziecko pływać nieopodal. I tak co roku. Efektem owych moczeń były regularne, choć jak już wspomniałem nieczęste fotografie kobiety pięknej i dojrzałej oraz na golasa, które lądowały na moim biurku szefa tabloidu. Ja je sobie oglądałem w ramach obowiązków służbowych wyłącznie. Jak je już pooglądałem okiem bezstronnym, wówczas nachodził mnie coroczny dylemat: czy można trzymać takie fotografie dla siebie? I zawsze po wewnętrznych bojach przegrywałem i decydowałem, że nie można zatajać, że świat musi znać tę prawdę pełną tajemnego uroku.

Coś tam zasłanialiśmy na tych zdjęciach przy publikacji, ale robiliśmy to wbrew sobie, z niechęcią po prostu. Po publikacji zdjęć w gazecie pani Monika telefonowała do mnie osobiście telefonem komórkowym. W głosie jej wyczuwało się zefir pretensji: Panie Sławku, no co pan… – zaczynała lekko umęczona. Do pewnego rytuału należała moja odpowiedź: – Czy coś się stało? – co wprawiało ją w lepszy nieco humor. Potem rozmawialiśmy chwilkę o rzeczach, które wypada, i o tych, których nie wypada, nie dochodząc jednak do jednoznacznych wniosków. Ja obiecywałem poprawę i przeprosiny w druku i zawsze, ale to zawsze pani Monika była miła.

A nie wszyscy, którzy do mnie dzwonili, byli mili. Że sobie tak wspomnę. A właśnie, właśnie, à propos wspominania. Tak sobie wspomniałem nasze miłe rozmowy z panią Moniką i jej wysoką kulturę osobistą i moje aspirowanie do tejże kultury, gdyż przeczytałem, że pani Monika jako radna musiała złożyć oświadczenie majątkowe. Swój majątek oszacowała na ponad 8 mln zł, co wcale nie jest tak mało. Ba! Nawet musiała wszystko wymienić, ile mieszkań, ile domów, ile działek i ile oszczędności. Szczegółowo musiała, bo takie jest prawo. Każdy był ciekaw, ile Jaruzelska Monika ma, i teraz każdy wie. I w odróżnieniu od zdjęć z Mazur ta informacja nie będzie dla wszystkich lekka, miła, łagodna. Niezależnie od kultury osobistej i od et cetera. ©℗

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Precz z samochodami!

MARCIN MAKOWSKI

Typowy ciąg przyczynowo-skutkowy, dotyczący poruszania się samochodem po każdym większym mieście w Polsce, zaczyna wyglądać podobnie jak w przypadku Krakowa. Najpierw niemal całkowity zakaz wjazdu do centrum, później do kolejnych turystycznych dzielnic, następnie stopniowe rozszerzanie stref parkingowych, plany wprowadzenia poboru opłat w weekendy oraz podnoszenie stawek godzinowych. Tak robi cywilizowana Europa. A my przecież czerpiemy wzorce od najlepszych.

Co dalej? Tworzenie „zielonych stref", do których mogą wjeżdżać jedynie taksówki, pojazdy elektryczne, wodorowe i na gaz. W końcu Polacy nie gęsi, i swoją elektromobilność mają. A przynajmniej mieć będą, bo spółka Electro-Mobility Poland, odpowiedzialna za budowę rodzimej Tesli, część przeznaczonych na to środków wydała na promocję samej idei i znów potrzebuje państwowego wsparcia. A postęp prac nad autem, ze względu na czyhającą zza krzaka konkurencję, utajniła.

I teraz prawdziwy hit. W ramach – jak to określił jeden z urzędników miejskich – „walki ze smogiem i otyłością", na wzór eksperymentów w Wiedniu i Londynie, również w Krakowie i Poznaniu włodarze zastanawiają się nad możliwością wprowadzenia zakazu dowożenia dzieci samochodem bezpośrednio pod szkołę.

Załóżmy na chwilę, że projekt ma głębszy społecznie sens – jak miałby zatem wyglądać w praktyce? W Krakowie obecnie funkcjonuje 109 przedszkoli samorządowych, 111 szkół podstawowych i 50 liceów oraz techników. Chociaż pomysłodawcy uspokajają, że nie chcą czasowo wyłączać z ruchu głównych arterii, nie trzeba bujnej wyobraźni, aby sobie uzmysłowić, jak na poranny szczyt, w i tak niewydolnym komunikacyjnie mieście, wpłynie podobna decyzja. Dlaczego zatem inni mogą, wyznaczają trendy, chcą być eko i fit, a tylko jakiś zakochany w spalinach publicysta marudzi i wtyka kij w rowerowe szprychy?

Odpowiedź jest prosta. Na przykładzie idei ograniczenia szkolnych podwózek jak na dłoni widać intelektualne chodzenie na skróty władz polskich metropolii, które chciałyby implementacji efektownych rozwiązań z Zachodu, bez świadomości, w jakich warunkach mają one rację bytu. Wiedeńskie metro (5 linii), przewozi codziennie ponad 1,5 mln osób. Londyńskie (11 linii) – ponad 3,7 mln pasażerów. Zamiast tego w Krakowie od dekady dyskutuje się nad tym, czy budowa kolei podziemnej w ogóle ma sens. Jeśli zatem nasze miasta chcą coś w komunikacji i jakości powietrza zmienić, niech zaczną od marchewki (np. w Danii postuluje się ulgi podatkowe dla jeżdżących do pracy rowerem), a nie od mandatów i restrykcji. Przykład z góry też by się przydał. Może na start zakaz dojazdu pod urzędy autami służbowymi. Zgoda? ©℗

eprasa.pl e3336b6748

OKIEM BLOGERKI

W klimacie linczu

KATARYNA

RYSZARD CYBA: ***Chciałem zabić Kaczyńskiego, tylko za małą broń miałem.***

W uzasadnieniu wyroku skazującego niedoszłego zabójcę Jarosława Kaczyńskiego na dożywotnie więzienie sąd wskazał, że Cyba „swoje rozumowanie opierał na przekonaniach własnych oraz analizie artykułów określonych tytułów prasowych i informacji uzyskiwanych za pośrednictwem Internetu". Po morderstwie Pawła Adamowicza politycy, dziennikarze i zwykli internauci mniej lub bardziej otwarcie oskarżają telewizję publiczną o współsprawstwo tej strasznej zbrodni, twierdząc, że zabójca naoglądał się „Wiadomości" i to one go sprowokowały do czynu. Hipoteza kusząca – nic się tak nie nadaje do walenia w politycznego przeciwnika jak czyjaś trumna – ale niebezpieczna. Bo choć antypis bardzo nie chce tego pamiętać, zbrodnia na Adamowiczu nie była pierwszą taką od czasów zabójstwa Narutowicza. Osiem lat wcześniej miało miejsce podobne polityczne zabójstwo, ktoś mógłby też zacząć spekulować, co i gdzie wyczytał człowiek, który chciał zabić Kaczyńskiego, ale z powodów logistycznych musiał się zadowolić innym politykiem PiS. Zwłaszcza że to sąd stwierdził, iż Cybę do zbrodni pchnęło to, co wiedział z mediów.

Niecały tydzień przed łódzką zbrodnią „Gazeta Wyborcza" opublikowała artykuł Tomasza Wołka, który alarmował, że Kaczyński – wtedy jeszcze w opozycji – prowadzi Polskę do wojny domowej, podpala ją, wywraca i niszczy cały dorobek. „Kaczyński podjął grę śmiertelnie dla Polski niebezpieczną. Wydaje się, że gotów podpalić Polskę, byle dopiąć swego. Już zdołał podzielić społeczeństwo, rozbudzić agresję, ożywić nastroje bliskie zapalnej, pogromowej atmosferze lat 20. i 30. Już wie, że legalnymi, demokratycznymi metodami do władzy nie wróci. Pozostają zatem nieskrywane rachuby na kryzys, zamęt, zamieszki, destabilizację, wręcz rozkład państwa. Na coś w rodzaju wojny domowej. W gruncie rzeczy już ją rozpoczął. To wszystko dzieje się naprawdę, na naszych oczach, w jarzącym blasku pochodni. On chce państwo wywrócić. Tej aż nadto realnej groźbie zapobiec muszą nie tylko rząd oraz instytucje państwa. Wierzę bowiem, że o naszej przyszłości przesądzą nie »prawdziwi Polacy«, lecz zgoła bezprzymiotnikowi obywatele pragnący po prostu żyć w normalnym, spokojnym, bezpiecznym kraju".

Czy można postawić tezę, że „bezprzymiotnikowy obywatel pragnący po prostu żyć w normalnym, spokojnym, bezpiecznym kraju" Ryszard Cyba posłuchał wezwania Tomasza Wołka i postanowił uratować podpalaną przez Kaczyńskiego Polskę? Nie przyszłoby mi to do głowy, ale skoro dla komentatorów zabójstwa Adamowicza związki między materiałami prasowymi a czynem szaleńca są takie oczywiste… Jestem skłonna się zgodzić, że to PiS jest winien śmierci Adamowicza, oczywiście w takim samym stopniu, w jakim antypis jest winny śmierci Rosiaka. Coś mi jednak mówi, że żadna ze stron politycznego sporu nie zgodzi się na takie postawienie sprawy.

Dla oceny dziennikarskich materiałów nie ma znaczenia, czy ktoś kogoś pod ich wpływem zabił lub zabije – są albo nie są rzetelne, uczciwe, ważne niezależnie od tego. Szukanie winnych zabójstwa w redakcji, która robiła podłe materiały o ofierze, jest nieuczciwe, chore i bez sensu. A nade wszystko jest budowaniem klimatu sprzyjającego odwetowi, który może być równie brutalny. Mimo wszystko mam nadzieję, że nie o to chodzi. ©℗

PODSŁUCHANE

Ja to muszę pokazywać

Cześć, Grzegorz, Jacek mówi.
Jaki Jacek? Ten Jacek?

No ten, ten, a jaki ma być? Słuchaj, mam prośbę.
Ty? Do mnie? Porąbało cię? Ja mam twoje prośby spełniać?

Czekaj, daj mi powiedzieć. Przecież bym nie dzwonił, jakby to nie było dla nas obu dobre. Zresztą z Władkiem już rozmawiałem i on zrobił, o co go prosiłem.
Zaczynam rozumieć… Mówisz o tym liście do Kaczora, żeby cię odwołał?

Właśnie! Weź też coś zrób takiego, tylko już nie list, żeby nie powtarzać. Jakiś wniosek o debatę w Sejmie nad stanem TVP, konferencję jakąś, wywiad dla jakiejś niemieckiej gazety… Albo najlepiej zróbcie bojkot, nie przychodźcie do programów, tylko nie za długo. Może tak z tydzień. Protestu nie rób pod siedzibą, bo i tak nikt tam nie przychodzi, niepoważnie to wygląda, a ja to muszę tak pokazywać i efektu nie ma.
No i?

No i chyba nie muszę ci tłumaczyć. Ty solidnie po mnie pojedziesz, zbierzesz sobie tam jakieś punkty, ci twoi się nakręcą, a mnie z kolei po czymś takim Kaczor w życiu nie odwoła. Wiesz, ciemny lud to kupi. Sztama stoi? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wiadomo było, że gdy PiS dojdzie do władzy, trzeba będzie bronić przyzwoitych ludzi. Trudniej było przewidzieć, że obrony będą też wymagały drzewa i dziki".

TOMASZ LIS, *publicysta na Twitterze*

eprasa.pl e3336b6748

Partia Salonowych Lokajów

fot. Jerzy Gumowski

Powszechnie na świecie za rażący brak wyobraźni uważa się powtórny ożenek z tą samą kobietą (czyli z własną byłą żoną), co się prawie zawsze kończy *„klapą”*. W XX wieku najgłośniejsze dubeltowe matrimonium wlepił sobie sławny aktor Richard Burton (spośród Polaków Bohdan Łazuka), a w XXI wieku szef koncernu Tesla, Elon Musk (obaj z aktorkami). Tymczasem u nas czymś takim jest ponowna koalicja sejmikowa PO z PSL. Przejdźmy teraz do drugiej quasi–filozoficznej refleksji warunkującej politykę dziedzinami zupełnie innego rodzaju. Polscy miotacze młotem (nie tylko męscy, również żeńscy) zdominowali w ostatnich latach tę konkurencję sportową na szczytach światowych, zaś peeselowscy miotacze sierpem zdominowali w ostatnich dekadach rodzimą scenę polityczną jako *„języczek u wagi”*, niezbędny/rytualny koalicjant salonowców, zezwalający Salonowi rządzić całym lub przynajmniej lokalnym społeczeństwem. Sejmikowy sojusz PO/KO–PSL zdaje mi się rodzimym odpowiednikiem niegdysiejszego internacjonalnego sojuszu między salonowymi mediami Stanów Zjednoczonych a komunistyczną partyzantką wietnamską (ta koalicja pokonała wówczas USA, upokarzając światowe mocarstwo numer 1).

„Ludowcy” (PSL–„Piast”, Stronnictwo Ludowe, itp.) już w *„międzywojniu”* byli mniej lub bardziej skrycie pogardzani/wyszydzani jako siła polityczna, na dowód czego przytoczę wersy trzech ówczesnych poetów. Tadeusz Żeleński (Boy):

„Szczwane stronnictwo już się puszy
W dzień ludowego zgromadzenia.
Wytrwałe nawet więdną uszy
Od beknięć, chrumknięć i ględzenia.

Wyłazi trybun jeden z drugim,
Sztandary wietrzy na wieśniaku,
I przemówieniem setnie długim
Przeciąga go do swego znaku”.

Konstanty Ildefons Gałczyński:

„Lubił też wieś, bek owiec,
un peu peeselowiec”.

Marian Hemar:

„Chłopski rozumek w płaskim
Ustalił sobie czółku,
Że, panie, w polityce
To jak w spółdzielczym kółku”.

Za PRL–u wiejski *„ruch spółdzielczy”* i ówczesna *„czapa”* chłopskiej społeczności, łże–niezależna partia ZSL (Zjednoczone Stronnictwo Ludowe), udająca niezawisłą ideowo od komuchów, grały istotną rolę w tumanieniu oraz pacyfikowaniu stanu wieśniaczego. Jako podwykonawczy współorganizator czerwonego totalitaryzmu ZSL po roku 1980 wspierało toczoną siłami PZPR i MSW brutalną kampanię obrony komunizmu przed naciskiem „Solidarności” (wsparło również *„stan wojenny”* i esbeckie represje). Po roku 1989 dokonało ludowej *„transformacji”*, przepoczwarzając się w dzisiejsze PSL i od razu fikając ostro na priwiślińskiej scenie politycznej. Miewało premierów, wicepremierów, ministrów, marszałków Sejmu, zawiązywało koalicje z postkomunistami i *„różowymi liberałami”*, a swoją *„specialité de la maison”*, czyli granie *„języczka u wagi”*, przerobiło w morderczy instrument, bardzo często rozstrzygający kto będzie rządził ojczyzną. Trudno się zatem dziwić permanentnemu gniewowi kontrsalonowych ugrupowań, którego głośną emanacją było parsknięcie członka PiS, posła Adama Hofmana, o *„ludowcach”* sejmowych: *„ — Zdziczałe, zbaraniałe chłopy, co wyjechały ze wsi i kompletnie im odbiło!”*. Nie brakowało też kontrpeeselowskich *„kawałów”*, jak ten: *„ — Wiecie, że u któregoś ludowca wykryto symptomy afrykańskiego pomoru świń?... Lecz jest także dobra wiadomość: mają wybić całe stado”* (zacytowałem aktualną wersję tego dowcipu; dawniej, gdy jeszcze nie słyszano o *„afrykańskim pomorze świń”*, żarcik ów zawierał *„gąbczaste zwyrodnienie mózgu”* występujące na wsi u rogacizny).

Cyprian Kamil Norwid: „Podnoszenie ludowego do ludzkości? Rozmowa myśli ludowej z myślą społeczeństwa?... Parabole ludowe są jak pole ugoru”

Tzw. *„szary obywatel”* III RP głosujący na PiS lub na Kukiz'15 gardzi PSL–em za kilka rzeczy. Za to, że klejący się do *„czerwonych”* i *„różowych”* PSL to PSL (Pazerna Sitwa Ludowa, Platformerskiego Salonu Lokaje, itp.). Za to, że przed paroma laty PSL stało się, wbrew wszelkim sondażom, niespodziewanym megabeneficjentem samorządowych wyborów, bulwersując wszystkich swym *„astronomicznym”* wynikiem, który z miejsca okrzyknięto jako bezczelne *„fałszerstwo wyborcze”*. Po trzecie: za to, że lata temu peeselowski bonza Waldemar Pawlak podpisał z Rosjanami długoletnią umowę, wskutek której koszt kupowania przez Polskę ruskiego gazu jest absolutnym rekordem świata, ceną bandycką (dzisiaj jedni wytykają Pawlakowi z tej przyczyny debilizm, a inni świadomą zdradę stanu). I wreszcie po czwarte: za paragangsterską *„nocną zmianę”*, którą szczęśliwie sfilmował (1992) kamerą dokumentalisty Jacek Kurski. Gdy się dziś ogląda jak Wałęsa i Pawlak wprost mafijnie obalają antylewacki rząd Olszewskiego — ciarki przechodzą po skórze. Wałęsa, który usadowił wówczas Pawlaka na opróżnionym fotelu prezesa rady ministrów, do dzisiaj darzy czułym sentymentem postPawlakowe *„chłopstwo”*. Szczęśliwie gdański elektryk to już nie krajowy *„playmaker”*, który rozdając polityczne karty mógłby znowu posadzić jakiegoś usłużnego *„ludowca”* na tronie, ino zdebilały mamrot, którego kolejne brednie rywalizują same ze sobą w rankingu krajowych obciachów.

Przez całą kampanię wyborczą PSL wychodziło ze skóry, by powiększyć swój elektorat o warstwy bardziej oświecone, czemu miał służyć elegancko ubrany frontman Kosiniak–Kamysz, strojący miny intelektualne i perorujący czasami biznesowo. Być może istotnie ci nowi wodzireje PSL–u to warstwa lepiej wykształcona od dawnych przaśnych *„buraków”*, ale jak mawiało wielu sentencjonistów (Francuzi La Rochefoucauld i Chamfort, u nas Jerzy Dobrowolski): *„Nie ma nic gorszego aniżeli człowiek wykształcony ponad swoją inteligencję”*. Starali się nawracać elektorat ku sobie, wszelako ich obiecanki–cacanki uderzyły *„kulą w płot”* (zwłaszcza wiejski — chłopi dzisiaj preferują PiS). Kierownictwo PSL sądziło, że powtórzy wynik z *„niedzieli cudów”*, a tu *„wtopa”*. Satyryk Marian Józefowicz (pseudonim Józef Mayor): *„Doznał zawodu kundel biedaczysko, sądząc, że już szczęście blisko”*. Zostały im małe szczęścia, jak choćby wypożyczanie swych partyjnych kolegów salonowym partiom będącym w dużych tarapatach (ostatnio .Nowoczesnej).

Podczas tej kampanii elekcyjnej PiS zapowiadało *„wyeliminowanie PSL”*, i wiadomo było, że do zera nie da się tego zrobić, lecz utrata przez PSL 60% mandatów (ze 170 dotychczasowych) to sukces partii *„Prezesa”*. Mogli chyba *„ludowcy”* stracić jeszcze więcej, gdyby to nie *„bankster”* Morawiecki, a wcześniejsza premier Szydło stanowiła prowincjonalną twarz pisowskiej kampanii — Piotr Zaremba: *„Czy «nasza Beata», bardziej ludowa i swojska, posunęłaby proces marginalizacji PSL dalej?”*. Możliwe.

Platformersi również uważają peeselowców za ludzi, od których nie powinno się kupować używanego samochodu, ale *„necessitas ultimum telum”* — konieczność jest ostatnią bronią służącą przeważeniu wroga, więc *„nolens volens”* połączyli się w tylu sejmikach z *„ludowcami”*, by przemóc to aeuropejskie, apostępowe, faszystowskie Prawo i Sprawiedliwość. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl e3336b6748

Graj, gdzie chcesz i kiedy chcesz

LOTTO JEST WSZĘDZIE

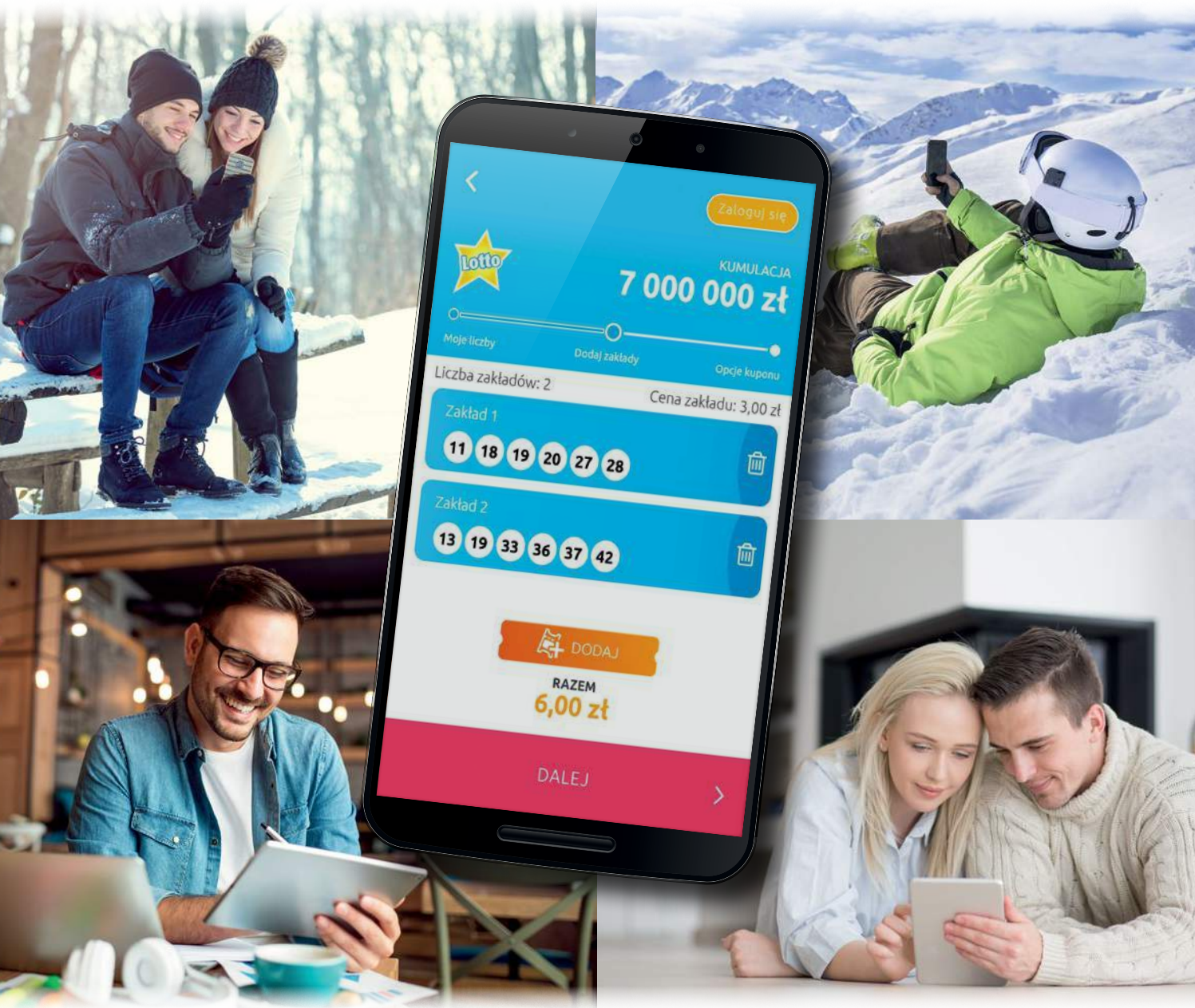

Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

eprasa.pl e3336b6748